

David Morrell

Strach w garści pyłu

(Testament)

Przekład Anna Krasko

Wstęp

W 1972 roku coś w podświadomości przypomniało mi o artykule, który czytałem kilka lat wcześniej, kiedy pisałem powieść Rambo. Pierwsza krew. Skończywszy ją, szukałem tematu do kolejnej książki i właśnie wtedy, szperając w domowym archiwum, z zadowoleniem odkryłem, że zachowałem ów artykuł. Analizował proces powstawania i działalność prawicowych organizacji paramilitarnych w Ameryce pod koniec lat 60, a zwłaszcza grupy zwanej Minutemen. Jej dowódcy którzy zamierzali wysadzić w powietrze gmach Organizacji Narodów Zjednoczonych, trafili do więzienia za nielegalne posiadanie broni automatycznej.

Moją uwagę przykuły dwa aspekty artykułu. Po pierwsze – fanatyzm, z jakim członkowie grupy realizowali swoje zbrojne, rasistowskie cele. Po drugie – niezwykle zaufanie, jakim ich dowódcy obdarzyli autora artykułu, pozwalając mu obserwować swoje agresywne ćwiczenia bojowe, pokazując mu broń, a nawet wpuszczając go do swoich domów.

Zadałem sobie następujące pytanie: założmy że dowódcy jednej z takich organizacji – nazwijmy ją Strażnikami Republiki – mają stanąć przed sądem i żeby zdobyć przychylną opinię publiczną, zawierają układ z dziennikarzem, polegający na tym, że oni pokażą mu swój radykalny świat, a w zamian za to on napisze przychylnie o ich rasistowskich celach; co by się stało, gdyby sumienie owego dziennikarza, przerażonego ich brutalnością i nienawiścią, zmusiło go do pogwałcenia układu i napisania artykułu zjadliwego i potępiającego, zamiast łagodzącego i sympatyzującego? Jak zareagowałiby na taką zdradę Strażnicy Republiki?

I tak zacząłem pisać swoją drugą powieść Strach w garści pyłu. Mojego bohatera, Reubena Bournea, chciałem sprawdzić, wystawiając go na próby które są skutkiem jego zasad moralnych. Co by było, pomyślałem, gdyby Bourne, który nigdy w życiu nie zaznał prawdziwej przemocy, pisał również krwawe powieści sensacyjne i gdyby nagle musiał przetrwać w dziczy, polegając jedynie na czystej teorii, którą wykorzystał podczas pisania książek w rodzaju Rambo. Pierwsza krew? Innymi słowy, postanowiłem, że Reuben Bourne będzie moim odpowiednikiem i że podzieli moje obsesyjne obawy o bezpieczeństwo rodziny. O bezpieczeństwo rodziny zawsze lękałem się najbardziej. Założmy, że ktoś jej grozi: jak zareagowałby na to człowiek taki jak ja, człowiek nastawiony pokojowo, którego w twórczości literackiej – o paradoksie! – pociąga przemoc i gwałt?

Rozważając przeróżne możliwości, doszedłem do wniosku, że tematy natury pierwotnej wymagają pierwotnego podejścia, określonej struktury, dzięki której Reuben

Bourne mógłby cofnąć się w czasie i z wygodnego, podmiejskiego domku trafić do dziczy amerykańskiego pogranicza XIX wieku, a następnie do klaustrofobicznej śnieżnej jaskini, która mogłaby istnieć już przed trzydziestoma tysiącami lat, gdy na Ziemi pojawili się nasi przodkowie, pierwsi przedstawiciele homo sapiens. Żeby oddać hołd wielkim ideom mojego ulubionego psychologa Carla Junga, postanowiłem, że sceneria powieści będzie archetypowa.

Opracowawszy jej strukturę, zdałem sobie sprawę, że muszę zdobyć dużą wiedzę o tym, jak przetrwać w dzikim nieprzyjaznym środowisku. Profesorskie zwyczaje badawcze zaprowadziły mnie do biblioteki University of Iowa, lecz książki, które tam znalazłem, bardzo mnie rozczarowały. Odniosłem wrażenie, że ich autorzy pisali je w oparciu o inne książki i że tak samo jak ja nigdy w życiu nie byli w prawdziwej dziczy. Konieczność pchnęła mnie do konkluzji, że aby wiarygodnie napisać o walce Reubena Bournea z naturą, muszę tę walkę stoczyć osobiście. I tak pojechałem na obóz przetrwania zorganizowany przez National Outdoor Leadership School w Lander, w stanie Wyoming. Przez pięć wyczerpujących tygodni dźwigałem dwudziestotrzykilogramowy plecak, chodziłem po górach, forsowałem rzeki, marzłem podczas letnich zamieci śnieżnych, dowiedziałem się mnóstwa ciekawych rzeczy o wyziębieniu organizmu, o chorobie wysokościowej i o nagłych gwałtownych burzach. Do domu wróciłem o czternaście kilogramów lżejszy, z nową, twardą jak podeszwa skórą i wielkim szacunkiem dla sił przyrody.

W końcu zasiadłem do pisania, jednak bardzo szybko uznałem, że powieść wymaga większej różnorodności stylistycznej. Mając w pamięci esej Philipa Younga, ucznia Hemingwaya, mojego mentora ze studenckich czasów na State University, postanowiłem posłużyć się jego ulubioną techniką i wkomponowałem w powieść fragmenty, w których cicho, niczym delikatna basowa nuta, pobrzmiwa echo stylu wielu klasycznych pisarzy amerykańskich: Ihego, Hawthornea, Melville'a, Faulknera i Hemingwaya. Zawarłem tam nawet cytaty z Rambo. Pierwsza krew. Wytropienie tych wszystkich aluzji będzie dla czytelnika dobrą zabawą.

Z zaskoczeniem dowiedziałem się, że Strach w garści pyłu uznano za jeden z ważniejszych horrorów lat 70. W owym czasie nie traktowałem tej powieści jako klasycznego horroru. Jeśli nie liczyć niesamowitego, przyprawiającego o dreszcze miasta-widma, nie ma w niej żadnych elementów nadprzyrodzonych. Jednakże patrząc wstecz, coraz częściej dochodzę do przekonania, że określenie „horror” ma swoje uzasadnienie. Powieść jest bez wątpienia posepna. Z niejakim zdumieniem stwierdzam, że zawiera kilka bardzo dramatycznych i przykrych scen, dlatego postanowiłem, że już nigdy więcej nie zajrzę w głąb swojej mrocznej duszy równie wnikliwie, jak uczyniłem to

w Strachu w garści pyłu. Być może ów skok w odmęty największych lęków sprawił, że napisanie tej książki zajęło mi trzy lata.

Początek powieści was poruszy. Początek dlatego, że jest szokujący, koniec dlatego, że jest kontrowersyjny. Kiedy nad nią pracowałem, wojna w Wietnamie miała się ku końcowi. Amerykańscy żołnierze ustępowali pola nieprzyjacielowi, amerykańscy cywile podnosili ręce ze znużoną, niechętną, a w wielu przypadkach zadziorną ulgą. Pomyślałem, że skoro przemoc w Rambo była swoistym odbiciem przemocy w Wietnamie, Strach w garści pyłu powinien być odbiciem rozpaczliwego dążenia Ameryki do jak najszybszego pożegnania z bronią. Nie mam wątpliwości, że niektórzy czytelnicy odczują potrzebę dalszej przemocy. Moim zdaniem w Strachu w garści pyłu jest jej aż za dużo. Ci, którym to nie wystarczy, powinni zajrzeć w głąb swojej duszy, bo taki jest właśnie cel tej książki.

Część pierwsza

Tego ranka po raz ostatni byli razem – mąż, żona, córka i syn. Dziewczynka chodziła do podstawówki, chłopczyk nie wyrósł jeszcze z pieluch. Czy to zresztą ważne? Z czasem wszystko straciło sens. To spadło na nich jak w wiejskiej komedii – mężczyzna, z bosymi stopami na zimnych deskach podłogi, siedział przy śniadaniu, kiedy kotka wpadła do miski mleka. Rzucił okiem w stronę pieca. Głupia syjamka! Zasypiała na nagrzanym telewizorze, a potem przewracała się we śnie, spadała i rozpaczliwie drapiąc tylną ściankę odbiornika, wytrzeszczała zdziwione oczy. Zafascynowana ogniem, potrafiła wsadzić nos w płomień świecy i przypalić sobie wąsy. A teraz już nawet nie umiała napić się mleka! Jej widok zawstydził mężczyznę, lecz gdy usiłowała wydostać się z miski, otrząsając mokrą mordkę, omal nie wybuchnął śmiechem. Omal... Bo nagle kotka zachwiała się, wpadła w mleko, a jej łapki zabębniły o ścianki naczynia.

I znieruchomiały.

Mężczyzna zmarszczył brwi, wstał i podszedł do syjamki. Leżała bez ruchu w kałuży mleka z przechylonej miski. Podniósł ją. Uwolnione od ciężaru naczynie powróciło do pionu. Kotka była dziwnie bezwładna i ciężka; jej głowa, z szeroko otwartymi oczami, kiwała się powoli. Krople mleka skapywały z mokrego futerka i dłoni do kałuży.

– Rany boskie!

Claire nic nie zauważyła, zajęta sadzaniem dziecka na wysokim stołku i podgrzewaniem butelki. Teraz odwróciła się i podobnie jak przed chwilą mąż, ze zdziwieniem zmarszczyła brwi.

– Jak ją wypuszczałam na dwór, nic jej nie było.

– Tatusiu, co się stało Samancie? – spytała Sara. Wciąż w piżamie, spoglądała ponad oparciem krzesła, przechylając głowę. – Co jej jest? Zachorowała?

Mówiła powoli, spokojnie, ale jej oczy zezowały lekko, jak zawsze, gdy się czymś martwiła. Sypiała razem ze swoją kotką, a nawet ułożyła o niej piosenkę:

Samanta z zadartym ogonem chodziła, A nawet majtek nie włożyła.

– Idź lepiej do pokoju, skarbie.

– Ale co jej jest?

– Powiedziałem, idź do pokoju.

Domyślał się, co się stało. Wiedział, że kotka była na dworze; z furią wspomniawszy starucha dwa domy dalej. Ten zawsze mylił Samantę z dwoma innymi kotami

syjamskimi, które często zabijały drozdy i sójki w okolicy. Właśnie wczoraj zatrzymał Sarę na chodniku, kiedy niezdarnie niosła kotkę.

– Słuchaj no, smarkulo, trzymaj tego swojego kota w domu – zapowiedział. – Zabija mi ptaszki, a wiesz, co robię z kocurami, jak mi zabijają ptaszki? Łapię je, wsadzam do worka i przywiązuję do rury wydechowej samochodu. Albo czekam, aż wejdą mi na podwórko, i wtedy do nich strzelam.

Sara biegiem wpadła do domu i próbowała ukryć kotkę w szafie w piwnicy. Stary nie otworzył jej ojcu, gdy poszedł się z nim rozmówić.

– Co robisz? – spytała Claire.

– To sprawka tego wrednego starucha. Szukam jakichś ran.

Nic jednak nie znalazł. Żadnego śladu wskazującego na robotę sąsiada. Nic nie rozumiał. Jak zginęła Samanta?

– Nie czepiaj się starego – zaproponowała Claire. – Mogło ją zabić Bóg wie co.

– Na przykład? Słucham.

– A skąd ja mam wiedzieć? Miała szesnaście lat. Może to atak serca?

– Może. Jasne, to możliwe. – Ale nie mógł sobie wybić starego z głowy.

Obok niego Sara szlochała. Chłopczyk na dziecięcym stołku zaniósł się płaczem. Ojciec wyniósł kotkę na schody do piwnicy, wrócił i wziął córkę w ramiona.

– Nie myśl o tym, skarbie. Chodź, zjedz kaszkę.

Stała bez ruchu. Kiedy posadził ją na krzesło, odwróciła się i patrzyła na piwniczne schody. W końcu udało mu się ją namówić, by pokazała, że taka duża dziewczynka sama potrafi zrobić sobie kaszkę.

– Grzeczna dziewczynka. Kocham cię.

Chłopczyk nie przestawał płakać. Wykrzywił brzydką, pomarszczoną buzię, gdy Claire podniosła go ze stołka i posadziła przy stole, żeby nakarmić go z butelki. Przytknęła smoczek do nadgarstka, sprawdzając temperaturę.

– Po śniadaniu jadę do weterynarza. Już ja się dowiem, co to było.

Wciąż myślał o starym. Może trucizna? Stary mógł podstawić zatrute mięso, rybę albo...

Albo mleko...

Kiedy Sara z trudem podnosiła ciężki dzbanek i rozcieńczała kaszkę mlekiem, rozlewając trochę na stół, nie myślał już o starym, myślał o Kessie, o ich spotkaniu sprzed ośmiu miesięcy i o tym, co Kess powiedział na temat trucia ludzi. Chryste, nie! Nawet Kess by się na to nie zdobył.

Nachylił się błyskawicznie i złapał Sarę za rękę, zanim zdążyła podnieść łyżkę do ust – Butelka! – rzucił do Claire. – Nie...

Za późno. Claire właśnie wsunęła dziecku smoczek do buzi. Chłopczyk zakrztusił się, wyprężył i znieruchomiał.

„Trucizna – powiedział Kess – to wspaniała broń. Łatwo ją zdobyć. Ta, której potrzebujesz, prawdopodobnie leży gdzieś na półkach najbliższej szkółki drzew i czeka na destylację. Łatwo ją podać. W końcu każdy musi jeść i pić. – Wyliczał zalety na palcach, coraz bardziej zapalając się do tematu. Głos miał miły, łagodny. – Skutek jest pewny i natychmiastowy. Morderca nie musi być blisko ofiary; wystarczy dodać trucizny do tłuczonych ziemniaków albo mleka czy kawy i uciec na drugi koniec miasta, zanim ofiara połknie to i padnie. No i najlepsze gatunki trucizn mają to do siebie, że bardzo trudno wysledzić, skąd pochodzą”.

2

Co chwila wyglądał przez wielkie okno w salonie, czekając na karetkę i policję. Co oni wyprawiają? Dlaczego ich jeszcze nie ma? Krążył po pokoju, nie czując nawet, że stąpa po miękkim dywanie. Zatrzymał się, gdy w oddali zabrzmiała syrena – dźwięk wyraźnie narastał. Wyrzwał przez okno na róg ulicy. Zawodzenie osiągnęło apogeum i cichnąc, oddaliło się na północ. Kolejna syrena zawyła, przybrała na sile i też ucichła na północy. Karetki pędzą do wypadku? Policja kogoś ściga? Bóg raczy wiedzieć. Dlaczego nie podjechali tutaj?

Zerknął na Claire, czuwającą przy synku w kuchni. Wyglądała coraz gorzej – niczym katatonik wpatrywała się pustym wzrokiem w szeroką smugę mleka na czarnym stole. Bardzo atrakcyjna, właściwie zawsze miała ciemną karnację i gładką cerę; jedynie po porodzie, kiedy wciąż wstawiała w nocy do dziecka, twarz spletała jej psikusa – naciągnięta skóra stała się groteskowo blada, dokładnie tak jak teraz. Czuł, że żona z każdą chwilą jest coraz bardziej spięta, zbiera się w sobie. Wolał nie myśleć, co się stanie, jeśli coś nagle w niej pęknie i znów dostanie ataku szału. Kiedy dzwonił po pomoc, cisnęła w kuchni butelką dziecka o ścianę. Naczynie rozprysło się, odłamki szkła i mleko zalały kominek, a Sara zakryła uszy, krzyknęła:

– Przestań! Nie chcę tego słuchać! Dosyć! – i uciekła.

Gdzie się schowała? A oni, dlaczego ich jeszcze nie ma? Jak odbije się na córce ten wstrząs? Coraz bardziej zaniepokojony, chciał ją odszukać, przytulić, ale nie mógł, bał się spuścić żonę z oczu.

To Kess. Nie musiał tego robić. Nie dziecko. Żeby nie wiem co, nie musiał...

Chryste, nie musiał zabijać dziecka!

Półtora roku temu, na wiosnę, omal nie odszedł z inną kobietą. Ta śliczna i dobra

dziewczyna złapała go w czasie, gdy wydawało mu się, że całe jego życie składa się wyłącznie z pracy i obowiązków wobec Claire i Sary. Historia stara jak świat, więc powinien wykazać więcej rozsądku. Była mężatką. Dla niego zdecydowała się porzucić męża, potem jednak uznała, że nie jest jeszcze gotowa zamieszkać z nim pod jednym dachem, że jakiś czas musi pobyć sama, a to oznaczało definitywny koniec. Tymczasem on zdążył już wyznać Claire, że chce odejść, i dopiero poniewczasie zdał sobie sprawę ze swej głupoty.

Drugie dziecko miało na nowo scementować ich związek. Asystował nawet przy porodzie. Bie czterech godzin stał przy łóżku Claire i trzymał ją za rękę, kiedy wciągała powietrze, zatrzymywała je podczas parcia i wypuszczała wolno, po czym znów oddychała głęboko. Zbyt gruba owodnia nie chciała pęknąć i lekarz musiał ją przebić. Wody płodowe zalały łóżko. Doktor znieczulił rozszerzoną szyjkę macicy za pomocą długiej igły, pielęgniarki zawiozły Claire na salę porodową, on i lekarz przeszli przez drzwi obrotowe, włożyli białe czapki, fartuchy, maski na twarz i osłony na buty, i nagle znalazł się w jasnej, śmierdzącej środkami odkażającymi porodówce, na stołku u wezglowia żony, i patrzył w lustro ustawione ukośnie między jej rozchylonymi nogami. Pod maską czuł swój oddech – ciepły, wilgotny, lekko duszący. Pielęgniarki układały na tacach instrumenty. Śmiał się z żartów lekarza, że dziecko nielecho się zdziwi, jak się przekona, że jest na innym świecie. Doktor wziął nożyce i rozciął wejście do pochwy, połała się krew, oboje z Claire ujrzeni w lustrze włochatą, brązoworóżową główkę dziecka, dumna matka wystękała: „Chodź do mnie, wyjdź wreszcie” – i wyszło, wychodziło z każdym skurczem, a lekarz pomagał wydostać najpierw jedno, potem drugie ramię, czekając w napięciu na wynik, pielęgniarka powtarzała: „No, chodź, mały” – on zaś mamrotał: „Nie, może to dziewczynka” – aż nagle jednym gładkim ruchem dziecko wskoczyło lekarzowi w ramiona i kwiląc cichutko, rozpaczliwie wierciło się, próbując zaczerpnąć powietrza – dobrze zbudowany, zakrwawiony chłopczyk, pokryty grubą warstwą śluzu przypominającego brązową owsiankę; gruba, gumopodobna pępowina poprzecinana sinoczarnymi żyłkami nadal łączyła go z ciałem matki, a kiedy Claire zdobyła się na jeszcze jeden skurcz, w ręce doktora wpadło śliskie czerwone łożysko.

A teraz Ethan skończył na jej rękach. Przez Kessa. Nie dopuszczał do siebie tej myśli, nie potrafił się z tym pogodzić. Za każdym razem, kiedy odwracał się od okna i widział Claire wtuloną w syna, muskającą jego twarz długimi czarnymi włosami, świadomość tego, co się stało, porażała jego ciało i umysł.

„To tak jak w hodowli – tłumaczył Kess. – Chcąc usunąć jednego szkodnika, należy się dobrać do wszystkich, zlikwidować zło u samego źródła, wypłenić całe potomstwo.

Powinien się pan czuć zaszczycony wyróżnieniem. Nikt obcy nie widział tej kartoteki. Zawiera nazwiska ponad stu pięćdziesięciu tysięcy naszych sympatyków oraz ich akta utrwalone na mikrofilmach. Niektórzy z nich to tylko bierni naśladowcy, większość jednak stanowią prawdziwi agitatorzy, często na bardzo wysokich stołkach. Jedno moje słowo, a w niecałe trzy godziny każdego z nich mogę mieć na muszce karabinu. A potem ich rodziny”.

Nie, powtórzył w duchu i potrząsnął głową. Nie dziecko. Spróbował zająć myśli czym innym, postanowił zaparzyć sobie kawę, żeby ochłonać. Błąd. Bo kiedy zobaczył, jak kotka wpada do miski, właśnie miał sobie dolać mleka do pierwszej tego dnia filiżanki kawy. Gdyby nie zajął się kotem, wypiłby mleko wraz z kawą i umarł tak samo jak Ethan. Utrata dziecka odsunęła te myśli i dopiero teraz zdał sobie sprawę, że rozminął się ze śmiercią o włos. Zimna gula podeszła mu z żołądka pod gardło. Lodowata. Strach. Mógł już nie żyć, mógł leżeć bezwładnie na stole; pęcherz i zwieracz odbytu odmówiłyby mu posłuszeństwa i wypróżniłyby się pod siebie. Za dwa dni by go pochowali, leżącego spokojnie w zapieczętowanej trumnie. Choć może trwałoby to dłużej – gdyby Claire i Sara także wypily mleko, a nikt nie zainteresowałby się ich nagłym zniknięciem, mogliby tak leżeć, dopóki nie zgniją. Ściśnięte lodem serce zatrzepotało.

Sara! Od schodów w głównym korytarzu usłyszał jej szybkie, równe kroki, wytłumione przez dywan. Stał w progu i zobaczył, jak pokonuje ostatnie schodki. Spróbowała przecisnąć się koło niego do salonu.

– Gdzie byłaś, skarbie? – zapytał, zagrządzając jej drogę.

– W łazience. – Z niepokojem patrzyła na coś za jego plecami i próbowała przedostać się do pokoju.

– Co tam niesiesz?

– Aspiryne.

– Po co?

– Dla Ethana.

Desperacka wiara Sary, że lekarstwo wróci jej brata, jeżeli dotrze z nim na czas, była nie do zniesienia. Zamknął oczy.

– Nie, skarbie – wydusił przez ściśnięte gardło.

– Ale może on wcale nie umarł. To mu pomoże.

– Nie, skarbie – powtórzył niskim, ochryłym głosem.

– No to dla mamy.

Tego już było za wiele. Tama pękła.

– Czy ty mnie kiedyś wreszcie posłuchasz, psiakrew? Powiedziałem: nie!

Na podjeździe hamowała karetka pogotowia. Gwałtownie otworzył drzwi. – Dlaczego jechaliście bez sygnału? – zawołał do kierowcy, który biegł ku niemu przez zalany słońcem trawnik.

– Nie było potrzeby. Ruch prawie żaden. – Mężczyzna przebiegł przez werandę, minął go i wpadł do ciemnego hallu.

– To dlaczego to tyle trwało?

– Dziesięć minut to długo? Panie, ja gnałem przez całe miasto!

Zauważył, że kierowca jest młody, ma długie włosy, wąsy i baczki. Za nim wbiegł na oko jeszcze młodszy lekarz; ten włosy miał jasne, przylizane i starannie rozdzielone przedziałkiem. Rany boskie, pomyślał zaskoczony, nie potrzeba mi tu dzieci! Dlaczego szpital nie wysłał kogoś starszego?

Zanim zdążył cokolwiek wytłumaczyć, wpadli przez salon do kuchni i zatrzymali się jak wryci na widok Claire. Coraz bardziej napięta skóra na twarzy uwydatniała zarys kości policzkowych i szczęki. Przyciskała syna do piersi; szeroko otwarte, błyszczące oczy napawały strachem. Kiedy lekarz ruszył w jej kierunku, natychmiast stała się czujna i dopiero we trzech udało im się odebrać dziecko. Wydzieranie żonie zwłok syna przyprawiało o mdłości. Lekarz osłuchiwał dziecko stetoskopem, sprawdził latarką reakcję źrenic i, naturalnie, stwierdził zgon.

– Zwłoki są tak malutkie, że zaczęło się już stężenie pośmiertne – oświadczył. – Lepiej, żeby ich dłużej nie oglądała.

Kiedy jednak kierowca chciał wynieść dziecko do karetki, Claire wrzasnęła dziko i rzuciła się na niego z pazurami.

– Niech pan przytrzyma żonę – polecił lekarz, przemywając jej ramię watką nasączoną alkoholem.

Cierpki zapach spirytusu drażnił nozdrza. Zmaganie się z żoną, wbijanie palców w jej ramię, aż do kości, przyprawiało o katusze.

– Claire – powtarzał tylko. – Claire, proszę cię.

Pomyślał, że solidny policzek pewnie by ją uspokoił. Wiedział jednak, że nigdy się na to nie zdobędzie.

Gdy lekarz dźgnął ją strzykawką w ramię, wyrwała się gwałtownie. Wyglądało na to, że igła się złamie, rozora ciało, ale lekarz wyciągnął ją szybko; we dwóch wyprowadzili Claire z salonu i zataszczyli po schodach do sypialni, gdzie kurczowo uczepliła się drzwi, powtarzając:

– Dziecko, oddajcie mi dziecko – podczas gdy oni rozwarli jej palce, zawlekli ją do łóżka i przytrzymali.

Walczyła z nimi, jęcząc:

– Oddajcie mi dziecko! – aż w końcu opadła z sił, odwróciła się na bok i zanosła płaczem, z twarzą ukrytą w dłoniach i podciągniętymi pod brodę kolanami. Wreszcie mogli ją puścić.

– Nie, proszę nie walczyć – poradził lekarz. – Niech pani się odpręży, uspokoi. Niech pani spróbuje o tym nie myśleć.

Podszedł do okna i zaciągnął zasłony; przebijające przez nie blade światło pozostawiało większość pokoju w cieniu.

Łóżko było jeszcze nie zasłane. Claire leżała na zmiętej pościeli; przez chwilę szlochała rytmicznie, potem oddychała głęboko, wstrząsana spazmami, aż znowu wybuchnęła płaczem.

Po domu chodziła przeważnie w spranych dżinsach, dziś jednak włożyła pomarańczową plisowaną spódniczkę; zadarty materiał ukazywał teraz jej pośladek okryty jedwabną niebieską bielizną. Figi nie miały ściągaczy; one także zadarty się, odsłaniając białe biodro. Między nogami Claire spod majtek sterczało kilka kędzierzawych włosów łonowych. Mąż zerknął na lekarza i skromnie obciągnął jej spódnicę. Wzdrygnęła się pod dotykiem jego dłoni.

– Nie ma się co rzucać, naprawdę. Proszę się poddać środkom uspokajającym, pomogą pani zasnąć – przykazał lekarz, nachylając się nad pacjentką. Zarumieniona z wysiłku twarz kontrastowała z jasnymi włosami. Obserwował ją uważnie, jak płacze, wzdryga się i oddycha. W końcu wyprostował się powoli. – No, już zaczyna działać. Za chwilę zaśnie. – Przeciągnął dłonią po zmierzwionych włosach. – A jak tam z panem?

– Bo ja wiem? – Wysuszone usta nie pozwoliły mu przełknąć śliny. – Chyba wszystko w porządku. Tak, nic mi nie jest.

– Akurat!– Lekarz sięgnął do torby i wyjął przezroczystą fiolkę kapsulek. – Niech pan weźmie dwie i popije pełną szklanką wody. Pozostałe dwie proszę wziąć przed snem. – Kapsułki były żółte i podłużne. – A jedną niech pan da córce. Tylko niech pan pamięta... pełna szklanka wody. Zwłaszcza dla dziecka.

Na wzmiankę o córce zainteresował się nagle, gdzie się tym razem podziała. Dwukrotnie widział ją na dole, ale znikła.

– Chwileczkę – zaprotestował. – To nie są środki nasenne?

Doktor spojrział na niego z ukosa.

– Jasne, że nie. Przecież nic panu nie jest.

– Po prostu nie mam zamiaru spać.

– Te proszki tylko pomogą się panu uspokoić. To prawda, niech pan tak na mnie nie patrzy. Może pan być po nich trochę otepiały, więc lepiej nie siadać za kierownicą, no i oczywiście ani kropli alkoholu. Chyba że chce się pan zwijać po podłodze.

Claire prawie już spała; szlochała powoli, cichutko.

– Ja z nią zostanę, dopóki się całkiem nie uspokoi, a pan niech lepiej zażyje lekarstwo.

Spojrzał na żonę, przez chwilę ociągał się, lecz w końcu posłuchał lekarza.

4

Łazienka była po drugiej stronie korytarza. Myśląc o zatrutym mleku, niepewnie patrzył na trzymaną szklankę. Woda, jak zawsze po kilkudniowym deszczu, była szara i mętna. A jednak nie mógł wybić sobie trucizny z głowy. Może w kapsułkach? Nie, wiedział, że to głupota. Nawet gdyby Kessa miał zamiar ponowić atak, wybrałby kogoś innego, kogoś starszego, bardziej przypominającego doświadczonego lekarza. Człowiek Kessa na pewno by się przedstawił i wspomniał o szpitalu, by zyskać na wiarygodności. A ten po prostu bez słowa wziął się do roboty.

Woda zalatywała piaskiem i ziemią, co naturalnie zabiło ewentualny smak kapsulek. Krztusząc się, przełknął je na dwie raty, wsadził dłonie pod kran i kilkakrotnie ochlapał twarz zimną wodą.

Wiedziałaś, co to za człowiek. Znałeś Kessa, zanim go jeszcze spotkałeś. Więc co ci strzeliło do tego głupiego łba?!

W grudniu ubiegłego roku trzech ludzi Kessa stanęło przed sądem. Działo się to w Hartford, w stanie Connecticut. Oskarżono ich o próbę zamordowania pewnego senatora, po raz trzeci z rzędu zasiadającego w Kongresie. W hali, gdzie miał przemawiać do tłumu sympatyków, podłożyli bombę, i mówca tylko dlatego uniknął śmierci, że w trakcie występu niespodziewanie zszedł na widownię, by nawiązać bezpośredni kontakt z publicznością. Odłamki na podium ciężko raniły osiem osób w pierwszym rzędzie. Sprawcami okazali się członkowie stanowych oddziałów organizacji Kessa, ludzie cieszący się powszechnym szacunkiem: policjant, strażak i nauczyciel botaniki w szkole średniej.

Następnego dnia na farmę w stanie Nowy Jork, gdzie młodzież z sekty Dzieci Jezusa spędzała ferie zimowe, spadło sześć pocisków z moździerzy. Piętnastominutowy ostrzał z broni palnej zabił dwie dziewczyny i chłopaka, dwaj inni chłopcy spłonęli w ogniu po wybuchu pocisków, a pozostałych rozerwały szrapnele. O zmroku policja przeprowadziła nalot na położony w ustronnym miejscu klub łowiecki, należący do innej grupy Kessa

i spełniający rolę poligonu. Aresztowano pięciu ludzi i skonfiskowano osiem karabinów maszynowych, trzy granatniki, dwa moździerze, wyrzutnię pocisków przeciwpancernych, dwa karabiny typu Browning, osiem wojskowych aparatów nadawczo-odbiorczych oraz mnóstwo broni krótkiej, dubeltówki, sztucery i dziesięć tysięcy sztuk amunicji.

W obu wypadkach Kess twierdził, jakoby nie miał pojęcia o planach swoich podwładnych. Odnosiło się wrażenie, że jest autentycznie wstrząśnięty i wściekły. Kiedy jednak tydzień później, w Wigilię, policja wtargnęła do jego posiadłości w Providence, w stanie Rhode Island, skonfiskowano dwanaście nie zarejestrowanych pistoletów maszynowych Thompsona i dwie skrzynki granatów, właściciela rezydencji zaś oskarżono o pogwałcenie ustawy o kontroli broni palnej, a także o planowanie ataku (połączonego z kradzieżą) na arsenał stanu Illinois.

Teraz, we wrześniu, patrząc, jak woda ścieka mu z twarzy do zlewu i spływa do rury, przypomniał sobie tamte czasy. Tak pilnie śledził relacje z aresztowania Kessa, tak bardzo chciał zobaczyć, jak on wygląda. Ale nie pokazano żadnych zdjęć. Pamiętał, ile czasu i wysiłku kosztowało go doprowadzenie do spotkania z Kessem... Nagle przed oczami stanął mu Ethan; całym wysiłkiem woli postarał się skupić na zimnej wodzie wysychającej mu na policzkach. Gwałtownie wytarł twarz ręcznikiem. Cokolwiek, byleby tylko nie myśleć. Zajmij się czymś, powtarzał sobie. Rób coś!

Na przykład co?

Na przykład znajdź Sarę. Sprawdź, jak się czuje.

Znalazł ją od razu – w jej pokoju na końcu korytarza. Siedziała podparta poduszkami u wezglowia łóżka i udawała, że czyta. Ale książkę trzymała do góry nogami.

– Mam dla ciebie zadanie – powiedział.

Odwróciła kartkę i spojrzała na nią.

– Czy mamusia też umrze? – zapytała cichutko zza książki.

Znów musiał zamknąć oczy.

– Nie – odparł. – Ale jest strasznie zmartwiona i za wszelką cenę musimy jej pomóc.

To właśnie twoje zadanie.

Napięcie zelżało, otworzył oczy. Sara opuściła książkę i przyglądała mu się z ukosa.

– Czy mamusię bolało, kiedy lekarz robił jej zastrzyk?

– Troszeczkę. – Czując, że gardło mu się ściska, czym prędzej wyrzucił z siebie, co miał do powiedzenia: – Skarbie, jak lekarz sobie pójdzie, idź do sypialni, przykryj mamę kocem i przytul się do niej. Mamusia na pewno bardzo się ucieszy. Ona śpi i nie poczuje, że się koło niej kładziesz, ale to bardzo ważne, żeby ktoś z nas był przy niej, jak się obudzi. Zrobisz to dla niej? Smutno pokiwała głową.

– Skrzyczałeś mnie i popchnąłeś.

– Tak, wiem. Przepraszam.

5

Stali w zalanych słońcem drzwiach i spoglądali w górę. Patrzyli na niego. Jeden był wysoki i szeroki w biodrach, drugi chudy; obaj ściskali w wyciągniętych rękach policyjne odznaki. Ani na chwilę nie spuścili z niego wzroku, kiedy schodził do nich, trzymając się balustrady.

Powiedział, że nazywa się Reuben Bourne. Siedział przy stole i podczas gdy wysoki zadawał pytania, chudy rozglądał się po kuchni, ogarniając spojrzeniem rozlane mleko i szczątki szklanej butelki przy piecu.

– Ja jestem Webster – oznajmił szeroki w biodrach – a to jest Ford. Czy pan wie, co to za trucizna?

– Nie. – Ich nazwiska wydały mu się nieważne. Może przez te proszki, pomyślał. Wiedział, że te nazwiska obity mu się już kiedyś o uszy, ale pigułki tak bardzo mąciły mu myśli, że nie pamiętał, gdzie i kiedy.

– Wie pan, jak dziecko dostało truciznę?

– Tak. W mleku, które przyniesiono dziś rano.

– W mleku? – Webster nie dowierzał. Wymienili z Fordem szybkie spojrzenia.

– W mleku. Kotka też od tego zdechła. Położyłem ją na schodach do piwnicy. – Proszki najwyraźniej działały już na dobre. Miał wrażenie, że jego głos dochodzi gdzieś z daleka.

Ford poszedł obejrzeć kotkę, omijając rozlane mleko i kawałki szkła. Zdawało się, że nigdy nie pokona tych ostatnich kroków dzielących go od drzwi do piwnicy. Zmęczony czekaniem, aż Ford dotrze do celu, powoli odwrócił się na krześle i zza kuchennego stołu, przez wielkie okno w salonie, spoglądał na ulicę: kierowca karetki wycofał samochód z podjazdu i zaparkował przy krawężniku jezdni, między dwoma świerkami. Widział, jak siedzący za kierownicą szofer przyczesuje włosy i przegląda się w lusterku wstecznym.

– Panie Bourne, zadałem panu pytanie – mówił Webster. – Pytałem, czy nie wie pan czasem, w jaki sposób trucizna znalazła się w mleku?

– Kess – odpowiedział, nie odrywając wzroku od karetki. W bocznych oknach były zaciągnięte zasłonki; widział przez nie zarys niewielkiego przedmiotu, ale nie miał pewności, czy to Ethan. Myślał o szorstkim, wykrochmalonym białym prześcieradle, na którym jego syn leży i nic nie czuje.

– Co to znaczy?

– Kess to zrobił.

– Pan go zna? Wie pan, że to na pewno on?

– Nie osobiście. To znaczy, znam go, ale nie sądzę, żeby to on sam zatrzał mleko. Prawdopodobnie zlecił to komuś. Spotkałem go dwa razy na początku roku, kiedy zbierałem materiały do artykułu. – Głos oddalał się od niego coraz bardziej. Brakowało mu tchu, żeby powiedzieć wszystko.

Kierowca skończył się czesać.

– Panie Bourne, niech pan patrzy na mnie.

Jakimś cudem udało mu się odwrócić, by spojrzeć na Webstera., – O co chodzi z tym artykułem?

– Jestem pisarzem.

– Coś podobnego! Naprawdę? – odezwał się zaciekawiony Ford. Właśnie wrócił z piwnicy. Były to jego pierwsze słowa, odkąd przyjechał do tego domu. – A co pan pisze? Może coś czytałem.

– Powieści, opowiadania... – Trudno było to tak szybko wytłumaczyć. Właśnie przez tę pisaninę stracił syna, ale nie miał siły o tym opowiadać. Poprzestał więc na szablonowej odpowiedzi, jakiej zwykle udzielał obcym, którzy pytali go o to, czym się zajmuje. – Trzy lata temu uśmiechnęło się do mnie szczęście, moja powieść otarła się o listy bestsellerów i została sfilmowana. – Podał tytuł.

– Widocznie ją przegapiłem – skwitował Ford.

Webster rozglądał się po kuchni i salonie. Dom miał ponad sto lat, wewnętrzne ściany zrobiono z cegły i dębu. Forsa zarobiona na książce pozwoliła Bourne'owi kupić go i odrestaurować. Panowała w nim atmosfera ze starych fotografii – ciemne belki o grubych słojach, grube spoiny zaprawy murarskiej na ścianach i inne przedmioty, które przetrwały swoich twórców. O tak, chłopie, miałeś fart, pomyślał Webster, na głos zaś zapytał:

– I co z tym artykułem?

– Czasem, jak książka mi nie idzie, odkładam ją i robię sobie przerwę. Wtedy siadam do artykułu. Bóg chciał, że akurat w zeszłym roku, w grudniu, zrobiło się głośno wokół Kessa i postanowiłem o nim napisać.

– A kto to w ogóle jest? – zapytał Ford.

Tego już było za wiele. Miał wrażenie, że mózg powoli obraca mu się w czaszce, a kiedy siłą woli zatrzymał go w miejscu, kuchnia zawisła pod jakimś dziwnym kątem. Wstał, zachwiał się, złapał równowagę i stąpając po twardej, zimnej podłodze dotarł do grubego miękkiego dywanu w salonie, przy ścianie z regałem na książki.

– Co się stało? Co pan robi? – pytał Webster.

– Coś wam pokażę – odparł, zastanawiając się, czy będzie w stanie wrócić do kuchni i usiąść przy stole. Otworzył pismo ze swoim artykułem.– tak, lepiej wam tego nie opowiem.

6

Chemelec – wielka, rozłożysta parterowa rezydencja z bloków koksowniczych, które nadają jej wygląd olbrzymiego, pozbawionego okien bunkra – to baza organizacji Kessa, jego kwatery główna. Usytuowana pośrodku otwartego pola, na obrzeżach Providence w stanie Rhode Island, jest otoczona drutem kolczastym pod napięciem. Wokół krążą uzbrojeni strażnicy.

Spółka produkuje chemikalia i sprzęt elektroniczny, ale zyski czerpie głównie z okazałych subsydiów napływających z rozmaitych amerykańskich korporacji. W końcu to właśnie Kess od początku opowiadał się za zniszczeniem pracowniczych związków zawodowych. Naśladowcy Kessa wspomagają finansowo jego fabrykę: zakład musi działać, dobroczyńcom potrzebne są i chemikalia, i elektroniczne podzespoły służące do budowy skomplikowanych materiałów wybuchowych, którymi zamierzają posłużyć się w godzinie próby; poza tym chemia przydaje się podczas wojny jako broń, elektronika zaś – do zakłócania łączności radiowej.

Kess założył spółkę w 1965 roku; powstała na bazie jego dwóch wcześniejszych spółek, które w 1964 zbankrutowały, jak twierdzi, w wyniku nacisku rządu na jego dawnych klientów, by nie odnawiali z nim umów. Ten fakt jest tylko przejawem różnicy zdań między Kessem a rządem, nie zaś przyczyną niezgody. W 1945 roku Kess znalazł się w amerykańskich oddziałach, które zajęły Niemcy i którym nakazano zaprzestać walki, gdyż z drugiej strony już nadciągali Rosjanie. Kess, bez doświadczenia politycznego – miał wówczas ledwie dwadzieścia lat – widział wyraźnie, jak Rosja i Ameryka podzielą wpływy na terenie zajętych Niemiec. A przecież tylu kolegów zginęło na jego oczach! Upierał się więc, że Amerykanie mają prawo przejąć Niemcy dla siebie. Upierał się przy tym tak bardzo, że wreszcie kazano mu trzymać język za zębami. Niesubordynowanego Kessa zwolniono na podstawie wykrytych u niego zaburzeń psychicznych, określonych jako paranoja agresji.

W roku 1963 wraz z pięcioma kolegami polował na jelenie w górnym Michigan, kiedy inny myśliwy przypadkiem do nich wystrzelił. Wszyscy zgodnie zeznali, że zasmakował im strach; ukryli się, rozsypali w tyralierę, otoczyli faceta i ostrzelali, celowo chybiając, zmusili, by oddał im strzelbę, trzymali go pod bronią do końca dnia, aż wreszcie pod wieczór z wielkim krzykiem wygonili go z lasu. Największą frajdę sprawił

im fakt, że choć minęły lata od wyjścia z wojska, nadal umieli zachować zimną krew pod ostrzałem, nie zapomnieli, jak się podchodzi wroga, i sprawnie przeprowadzili całą akcję. Zaczęli wspominać wojenne doświadczenia i stwierdzili, że gdyby ich kraj został zaatakowany, co zdawało się mało prawdopodobne, wciąż byliby w stanie pokazać, co potrafią. Wypity tego wieczoru alkohol rozgrzał ich tak bardzo, że rozważali już techniczną stronę działań: snuli plany, jak to rozbiją obóz w górach, jak trzymając się z dala od ludzkich siedzib wyszkolą snajperów, napadną na jakiś patrol, to znów zaatakują magazyn zapasów wroga, a potem, nim nieprzyjaciel wyśle za nimi pościg, błyskawicznie wycofają się do lasu. Rzecz jasna, ideałem byłoby nie wpuścić wroga poza pas przybrzeżny, ale to wymaga niezwykle skrupulatnie przygotowanej obrony, na którą, ich zdaniem, rząd – zależny, jak sądzili, od wpływów samego wroga bądź jego sympatyków – nie mógł sobie pozwolić. Kess sam wymyślił nazwę organizacji: „Strażnicy Republiki”.

– Pańska żona zasnęła na dobre.

Bourne spojrzął na lekarza, stojącego w łukowatym przejściu łączącym salon z kuchnią. Dywan najwyraźniej wytlumił jego kroki. We włosach miał znów równiuteńki przedziałek.

– Obudzi się koło szóstej. Będzie miała zawroty głowy i nie będzie chciała jeść, ale mimo to proszę wmusić w nią trochę zupy. A jeśli znów zacznie szaleć, niech pan jej poda jeszcze dwie takie pastylki. O, proszę. Stopa bardzo panu dokucza?

– Jaka stopa?

Bourne zerknął w dół. Nagie stopy wydały mu się szalenie dalekie, zupełnie jakby oglądał je przez odwrotny koniec teleskopu. Z trudem powstrzymał się, żeby nie nachylić się ku nim za bardzo i nie zlecieć z krzesła. Paznokiec na dużym palcu prawej stopy był zdarty i na wpół oderwany od ciała; krew pod nim zakrzepła w ciemną grudę. Nie czuł bólu. To przez te proszki, pomyślał.

– Nawet nie zauważyłem. Musiałem go sobie naderwać w czasie szamotaniny z Claire. Sam to załatwię. Jak już sobie pójdziecie. Będę miał jakieś zajęcie, żeby o tym wszystkim nie myśleć.

– Potrzebna mi pańska zgoda na sekcję zwłok.

Nie był na to przygotowany. Nagle wyobraźnia podsunęła mu obraz lekarza rozcinającego małą klatkę piersiową Ethana; widział, jak lekarz odciąga płyty mięśni, wyjmując wnętrzności...

– Dobrze – powiedział szybko. – Tak, dobrze – dodał, wpatrując się w dwie długie żółte pigułki w dłoni, żeby zastąpić czymś widok rozciętego tułowia syna. – Okłamał mnie pan w sprawie tych prochów.

– Przecież uspokajają pana, prawda?

– Jasne. Jeśli to, że mam ochotę zwalić się z krzesła na ziemię, nazywa pan spokojem.

Lekarz uśmiechnął się i sięgnął po swój kuferek.

– Chciałbym zamienić z panem słówko, doktorze – zatrzymał go Webster.

Lekarz spojrział na niego.

– Naturalnie.

– Ale nie tutaj.

Bourne zastanawiał się, o co chodzi. Wdziął, jak lekarz obrzuca Webstera zdziwionym wzrokiem, wychodzi z nim z kuchni i przemierza salon, by wreszcie zniknąć w hallu koło drzwi wejściowych. Usłyszał, co Webster mówi w korytarzu, i zaspokoił ciekawość. Webster ściszył głos, ale jego słowa i tak dochodziły do kuchni.

– Zakładałem, że pan i tak sam wszystko sprawdzi, doktorze – powiedział Webster, ukryty w hallu. – Ale zabrał pan zwłoki, zanim zdążyłem rzucić na nie okiem i zrobić zdjęcia, więc powiem panu wprost. Chcę wiedzieć, czy na ciele dziecka nie ma śladów obrażeń. Podesłemy panu kogoś do pomocy w sekcji. Nasz człowiek zajmie się też kotem. Nie wątpię w pana kwalifikacje, ale to wszystko jest na tyle dziwne, że chcę się zabezpieczyć i mieć absolutną pewność, że nic nie przeoczymy.

Słuchając monologu Webstera, Bourne uparcie patrzył na Forda, który próbował udawać, że jest czymś bardzo zajęty. Najpierw z zakłopotaniem wpatrywał się w podłogę, potem przeniósł wzrok na mleko na stole, wreszcie na szkło koło pieca, jak gdyby właśnie dostrzegł coś, czego przedtem nie widział. W końcu wpadł na pomysł, by zapalić papierosa, i uszczęśliwiony, że nareszcie może otworzyć usta, poczęstował Bourne'a. Ale nie czekał na odpowiedź.

– Niech pan posłucha – zaczął. – Webster nie ma nic złego na myśli. Naprawdę. Po prostu taki już jest. Ostami raz okazał współczucie dziesięć lat temu. Ojciec zgłosił, że ktoś zgwałcił i zabił jego ośmioletnią córkę. Webster siedział przy nim. Opowiadali sobie, jakie to straszne. Facet wysunął hipotezę, że to sprawka pewnego licealisty. No więc jak tylko Webster wyszedł, gość wziął strzelbę w garść i poszedł szukać chłopaka. Znalazł go przed Websterem i rozwalił mu łeb na miazgę. Mało tego, okazało się potem, że obaj popełnili błąd: ten chłopak nie był sprawcą.

– Ale ja się nie myślę.

– Nie. Niech pan posłucha...

Właśnie wtedy lekarz wyszedł. Zamknął drzwi i po chwili Webster wrócił do kuchni.

– Niech pan sobie nie zawraca głowy obrażeniami. Nie mam zwyczaju bić pięciomiesięcznych niemowląt – wypalił Bourne.

- Słyszał pan?
- Tak, jakby pan trąbił z ambony.
- Przepraszam.
- Ja myślę!

– Przykro mi, że pan to słyszał, ale wcale nie zamierzam przeproszać za moje słowa. Chciałem załatwić to delikatnie, ale skoro podniósł pan tę kwestię, wyjaśnijmy sobie wszystko uczciwie. Trucizna w mleku jest dla mnie nowością. Za to miałem już do czynienia z historiami, kiedy niemowlę chwytało przez przypadek za butelkę z chlorem, pastą do podłogi czy mebli, tyle że przy wnikliwszym badaniu okazywało się, że to nie wypadki. Bo dzieciaki były pobite, zmalretowane. Niektóre miały popękane organy wewnętrzne, przemieszczone stawy, a durni rodzice po prostu wykończyli je, z nadzieją, że nie zauważymy siniaków. Pan twierdzi, że to sprawka Kessa, i nie mam powodu, żeby panu nie wierzyć. Ale muszę wszystko obwąchać sam, z lewa i z prawa. Zresztą, gdybym tego nie zrobił, chyba kiepsko by pan o mnie myślał. Ktoś do kogoś strzela, ktoś kogoś załatwia nożem, tak, to mogę zrozumieć, z tym mogę żyć i uznać to za normalkę. Ale sam mam dwójkę pacanów i kiedy słyszę, że ktoś otrul dziecko mlekiem, to Chryste Panie!

7

Karetka już dawno odjechała. Analitycy z policyjnego laboratorium, fotografowie, spece od odcisków palców – wszyscy już byli i odjechali. Po drugiej stronie ulicy stały kobiety i obserwowały ostatni radiowóz; patrzyły, jak we trzech wychodzą na ganek. Webster dał mu wizytówkę z numerem telefonu, a Ford stał w pełnym słońcu, ściskając dwie plastikowe torebki: w jednej miał na wpół pustą butelkę mleka, w drugiej – sztywno związaną kotkę. A Bourne wciąż nie kojarzył, gdzie słyszał ich nazwiska. Palec u nogi rwał go tak bardzo, jakby ktoś wbił mu ostrze sztyletu pod paznokieć. Nagle go olśniło! No jasne! Webster i Ford! Elżbietańscy dramatopisarze!

- Co pan mówi? – zapytał Webster.
- Nic, nic. To te dzisiejsze przeżycia. I proszki.
- Chyba powinien się pan położyć.
- Już leżę, niech mi pan wierzy.

Uśmiechnął się i chciał obrócić swoje zakłopotanie w żart, ale zaniepokoił się naprawdę. Skoro nie panował nad sobą do tego stopnia, że mówił na głos, nie zdając sobie z tego sprawy, to jak poradzi sobie z Sarą i Claire, kiedy się obudzą? Martwiły go też oczy. Najpierw kuchnia zasunęła się szarą mgłą – zupełnie jak szklanka wody –

a teraz, kiedy łapiąc równowagę chwycił się balustrady ganku i patrzył na dwóch detektywów zmierzających przez trawnik do samochodu, słońce tak mocno kłuło go w oczy, że z bólu musiał je mrużyć – osłona z dłoni nie pomagała. Kręciło mu się w głowie, więc oparł się o balustradę i patrzył, jak Ford rusza i odjeżdża. Kiedy radiowóz skręcił w przecznicę i zniknął z widoku, zadzwonił telefon.

I jeszcze raz. Drzwi wejściowe były otwarte; najbliższy aparat znajdował się w hallu. Bourne rzucił się, żeby podnieść słuchawkę, zanim telefon w sypialni zbudzi Sarę, a może nawet Claire.

– Halo! – Opadł na ławkę koło telefonu. Jego głos zabrzmiał chrapliwie. Strach wrócił.

– Dobra jest, gliny już odjechali, ale są czy ich nie ma, i tak cię dopadnięm, niech cię bańka o to nie boli.

– Co? – krzyknął i cały zesztyniał. – Co?! Kto mówi?

– Powiedzmy, że przyjaciel twojego przyjaciela. Tyle że wy znów nie takie przyjaciele, co? Widziałem, że do karetki zabrali tylko twojego bachora. Dobra jest. Nie przejmuj się, załatwimy was wszystkich po kolei, a wtedy będziem kwita.

Nie! – chciał powiedzieć. Chryste, już dość! Wystarczy to, co zrobiliście. Ale nie zdążył. Rozległ się metaliczny trzask i w słuchawce odezwał się ciągły sygnał.

8

Siedział na ławce i długo wsłuchiwał się w jednostajne buczenie. Po prostu siedział. Nie miał siły wstać ani odłożyć słuchawki. Nie miał siły na nic. Ogarnął go chłód. Drżały mu ręce i kolana i wiedział, że jeśli wstanie, i tak nie utrzyma się na nogach. Ten głos... Ten głos ciągle kołatał mu w głowie. Był pewien, że facet udawał prymitywa, że celowo mówił niepoprawnie. I choć nie rozumiał dlaczego, zaczął się bać jeszcze bardziej. Zimno zamieniło się w rozsadzającą jelita falę ciepła.

Chryste, skąd wiedzieli, że Ethana zabrano karetką i że policja właśnie odjechała? Skąd ten facet dzwonił? Był gdzieś blisko. Bardzo blisko. Ale tu nie ma żadnej budki telefonicznej! Skąd mógł dzwonić?

Z jakiegoś domu przy ulicy. Albo za rogiem.

Drzwi wejściowe były nadal otwarte na oścież. Bourne odwrócił się i spojrzał na dom naprzeciwko. Kobiety nadal stały na chodniku. Plotkowały, patrzyły.

Dość! Rzucił się, żeby zatrzaskać drzwi.

Ale przecież nikt z sąsiadów by tego nie zrobił. Co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości. Znał ich wszystkich. Przyjaźnił się z wieloma. Nawet ten wredny staruch

dwa domy dalej by tego nie zrobił. Nagle przypomniał sobie, że głos w telefonie mówił coś o przyjaciółach, i to, o czym Kess wspomniał kilka miesięcy temu...

Nie jesteśmy sami. Istnieją dziesiątki takich organizacji jak nasza. Mamy dwadzieścia tysięcy sprawnych żołnierzy. Kolejne dwadzieścia tysięcy czeka na szkolenie. Jeżeli doda pan ich do stanu innych lojalistycznych ugrupowań w kraju, otrzyma pan armię żołnierzy niewiele ustępującą liczbie poborowych amerykańskiej piechoty morskiej. A ten nabór, kiedy ostatnim razem sprawdzałem, to dwieście czterdzieści tysięcy rekrutów. Nasi ludzie są wszędzie. W przemyśle i w rządzie, w policji i w wojsku. Facet, od którego kupił pan samochód, cichy mieszkaniak pańskiej uliczki – każdy z nich może z powodzeniem być naszym człowiekiem.

Stanął przy zamkniętych drzwiach i zerknął na szczyt schodów. Zaskoczył go widok Sary.

Trzymała się za brzuch.

– Tato, źle się czuję.

– Bardzo źle? – spytał i czym prędzej zaczął wchodzić po schodach.

– Muszę wymiotować.

Proszki od tego doktora, pomyślał ze złością i natychmiast spróbował się uspokoić. Nie jest tak źle. Po tych pigułkach musi ciągnąć na wymioty.

I nagle zaczął się zastanawiać, czy nie popełnił błędu. Może lekarz był jednym z ludzi Kessa i podał im zatrute prochy?... Takie o opóźnionym działaniu, żeby gość zdążył odjechać.

Wpadał w panikę. Patrząc na bezradną buzię Sary, usiłował wziąć się w garść. Trucizna o opóźnionym działaniu byłaby przecież bez sensu, przekonywał sam siebie. Pierwsze objawy zatrucia stworzyłyby szansę na podanie antidotum.

Jasne.

Przemyślał to jeszcze raz, gruntownie.

Jasne.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział najspokojniej, jak umiał. – Zwymiotujesz i poczujesz się lepiej. Chodź.

Objął Sarę i zaprowadził do łazienki. Podniósł deskę.

– Niech żołądek zwróci, jeśli ma ochotę – poradził łagodnie. – Klęknij, a ja cię przytrzymam. Nie ma się czego bać.

I czekał.

– Tato...– Uklękła przed muszlą.

– Tak, kochanie.

– Czyja też dostanę tego, o czym mówiła mama?

– Czego, kochanie? Nie wiem, o co pytasz.

– Tego czegoś, czego dostała Samanta, bo miała już szesnaście lat.

Nie rozumiał. Próbował odtworzyć sobie moment śmierci kotki i to, co Claire mogła wtedy powiedzieć. Zdawało mu się, że od chwili, gdy umarł Ethan, i od wszystkich późniejszych wydarzeń minęły całe wieki.

– Myślisz o zawale serca?

– Tak. Czy ja też dostanę zawału, kiedy skończę szesnaście lat?

– Saro, wiesz, że Samantę ktoś otruł. Chcę, żebyś zdawała sobie z tego sprawę. Bez mojej zgody nic nie wolno ci brać do ust.

– Ale czy jak będę miała szesnaście lat, też dostanę zawału?

– Nie. Koty starzeją się w innym tempie niż ludzie. Szesnastoletni kot jest jakby osiemdziesięcioletnim starcem.

– Więc ty też jeszcze długo nie dostaniesz zawału?

Chwycił ją mocno, przytulił i pocałował w kark.

– Nie, kochanie. Mam zamiar jeszcze długo żyć.

Nie zareagowała. Klęczała nieporuszona, a on tymczasem ścisnął ją i całował.

– Tato...

– Tak?

– Czy Ethan i Samanta są w niebie?

Nareszcie zrozumiał. Powoli odsunął ją od siebie, żeby widzieć jej twarz.

– Saro, muszę cię o coś zapytać.

Nie odezwała się.

– Naprawdę cię mdliło, czy chciałaś tylko z kimś porozmawiać? Czujesz się bardzo samotna, prawda? Nie bardzo wiesz, co się dzieje, niepokoisz się i jest ci smutno, tak?

Pokiwała opuszczoną głową.

– Trzeba mi było powiedzieć. Zrozumiałbym to, naprawdę. A tak zdenerwowałem się tylko, że jesteś chora.

Nadal milczała.

– Posłuchaj, nie ma się czym martwić. Wszystko będzie dobrze. Coś ci powiem. Muszę jeszcze coś zrobić, ale najpierw zaprowadzę cię do sypialni, zapakuję do łóżka obok mamy i chwilę z wami posiedzę, tak będzie dobrze?

Podniosła głowę, żeby na niego spojrzeć. Milczała.

Musiał zadzwonić do Webstera i powiedzieć mu o tym telefonie. Może Webster wyśle kogoś, kto przeszuka okoliczne domy. Może coś zrobi. Coś, cokolwiek. Odkładał ten moment, jak tylko mógł; chciał mu dać czas na dotarcie do komendy. Może nawet teraz jeszcze nie dojechał? Ale Bourne nie był w stanie czekać dłużej.

Wstał; kolana miał obolałe i sztywne od klęczenia. Musiał łagodnie pociągnąć Sarę za rękę, żeby zrobiła pierwszy krok. Przeszli na drugą stronę korytarza, do sypialni. Claire leżała na boku pod miękkim błękitnym kocem i spała głęboko; w bladym świetle wpadającym zza opuszczonych żaluzji zdawało się, że wcale nie oddycha. Niecierpliwie poczekał, aż Sara wpełźnie pod koc obok matki, i właśnie kiedy nachylał się nad nią, by pocałować ją w policzek – zdecydowany, że jednak nie zaczeka, tylko od razu zejdzie na dół i zadzwoni do Webstera – na nocnym stoliczku głośno zaterkotał telefon.

9

Zamarł.

– Tato, co się stało?

Zastygł w bezruchu, nachylony nad córką. Obejrzał się na aparat. Telefon zadzwonił ponownie.

– Tato, dlaczego nie odbierasz?

Ten ktoś pewnie znów charczy w słuchawkę...

Kolejny dzwonek. Ale może to Webster, który dojechał już na komendę i chce mu o czymś powiedzieć?

A może nie.

A jeśli to jednak Webster? Postanowił zaryzykować i chwycił słuchawkę. Zmroziło go.

– Słuchaj no, skurwielu. Wydzwanianie do glin nic ci nie da. I tak was dopadniemy, żeby nie wiem co. Pomyśl o tym. Skup się i pomyśl, kto będzie następny. Może twoje drugie dziecko? Albo żona? A może ty sam? Teraz już masz nad czym główkować.

– Tato, co ci jest? – zapytała Sara. – Twoja twarz...

Czuł, jak jego skóra napina się i ziębnie. Nie mógł opanować drżenia głosu.

– Zaczekaj. Nie odkładaj znów słuchawki – błagał. – Musimy porozmawiać. Proszę. Nie możecie tego zrobić. Musicie przestać.

– Przestać? – warknął mężczyzna w telefonie. – Jasna cholera, rozczarowujesz mnie, koleś. Podobno jesteś rozgarnięty, co nie? No wiesz, napisałeś niby te swoje książki. Sam rozumiesz, że nie możemy teraz przestać. Nie czujesz, że dopiero się rozkręcamy?

– Nie, nie! Posłuchaj! Powiedźcie, czego naprawdę chcecie. Proszę. Zrobię wszystko. Wystarczy jedno słówko. Chodzi o forszę? Czy forsa was powstrzyma? Na litość boską, muszę wiedzieć!

– Koleś, moim zdaniem, to ty już dość zrobiłeś. Ale wiem, co może poprawić sytuację.

– Co? Zrobię wszystko!

– Następnym razem szybciej odbieraj telefon. Zmęczyłem się tym czekaniem.

Trzask i Bourne znów słuchał buczenia centrali.

– Kto to był, tato?

– Nie wiem, kochanie. – Udało mu się jakoś zapanować nad głosem.

– Dlaczego tak z nim rozmawiałeś? – Zaniepokojona, usiadła na brzegu łóżka.

Nie mógł sobie pozwolić na dalsze denerwowanie Sary. Wolno, drżącą ręką, odłożył słuchawkę na widełki.

– Ale dlaczego tak z nim rozmawiałeś? – nie ustępowała.

Oderwał wzrok od córki i spojrzał na pogrążoną we śnie Claire; długie, ciemne, rozrzucone włosy zakrywały policzek. Popatrzył na siedzącą Sarę, dziewczynkę o krótkich włosach koloru piasku. Pomyślał o śniadej twarzy Claire i jej brązowych oczach. Sara miała jasną cerę, błękitne oczy i piegi. Matka i córka. Były tak różne, że komuś obcemu nie przyszłoby nawet do głowy doszukiwać się pokrewieństwa.

Obie jego. Wtedy, kiedy omal nie odszedł od nich z inną kobietą, czasami rozmyślał po nocach, o ileż prostsze byłoby jego życie, gdyby obie, Sara i Claire, zginęły w wypadku. Nienawidził się za takie myśli. Wiedział, jak bardzo by rozpaczał, gdyby umarły. Ale to nie on byłby winien ich śmierci, więc mógłby dalej normalnie żyć. Gdyby jednak zginęły teraz, już nigdy by się nie pozbierał.

– Zostań tu – przykazał Sarze. – To ważne. Muszę zadzwonić z dołu. Nie wychodź z łóżka.

10

Sekretarka powiedziała „dzień dobry” i zaczęła przepisowo objaśniać, że to właśnie zakłady Chemelec, kiedy wpadł jej w słowo:

– Chcę przekazać Kessowi wiadomość.

U niego była dziesiąta rano czasu górskiego, w Providence – południe. Bał się, że sekretarka mogła już wyjść na lunch.

Nie odpowiedziała od razu. Wreszcie stwierdziła ostrożnie:

– Bardzo mi przykro, ale pan Kess już z nami nie pracuje.

– Ukrywa się, ale pani wie, jak nawiązać z nim kontakt. – Ciepła słuchawka ślizgała mu się w dłoni.

– Nie, proszę pana, nie wiem. W ogóle nie wiem, o czym pan mówi.

– Przecież musi mnie pani pamiętać. Osiem czy dziewięć miesięcy temu dużo ze sobą rozmawialiśmy. Chodzi tylko o to, żeby się pani z nim skontaktowała i przekazała,

że dzwonił Reuben Bourne. Proszę mu powiedzieć, że już wystarczająco mnie ukarał. Jestem zdenerwowany i przestraszony i może się pani wydawać, że mu rozkazuję, ale to nieprawda. Błagam go. Proszę... Niech mu pani powie, żeby zostawił nas w spokoju.

– Szalenie mi przykro, ale słowo daję, nie wiem, co to wszystko znaczy, i nic nie mogę...

– Nie, proszę, niech pani nie odkłada słuchawki!

– Życzę panu miłego dnia. Dziękuję, że zechciał pan do nas zadzwonić.

– Nie! Jeszcze chwilkę!

Znów metaliczny trzask odkładanej słuchawki i tym razem buczyk linii zamiejscowej. Cała rozmowa nie mogła trwać dłużej niż trzydzieści sekund. Rozpaczliwie wierzył, że kontakt z Kessem może ich jeszcze ocalić, a nie umiał nawet powiedzieć wszystkiego jak trzeba. I nagle urwało się. Ogarnęło go uczucie, że zamiast żołądka ma dziurę.

A czego ty się właściwie spodziewałeś, pytał sam siebie. Naprawdę sądziłeś, że wystarczy jeden telefon z prośbą o litość?

Chryste, litość! To w ogóle nie w stylu Kessa!

11

– Oczywiście, że nie mogę przeszukać każdego domu na ulicy – stwierdził Webster.
– Sędzia oderwałby się od czytania konstytucji i natychmiast chciałby usłyszeć, czego właściwie szukam. I co bym mu wtedy powiedział? Że faceta z fałszywą chrypą?

Siedzieli w salonie: Bourne – załamany na krześle, a Webster na kanapie, pochylony do przodu.

– Nawet gdyby sędziemu odbiło i zezwolił na dokładne przeczesanie okolicy, sama procedura przygotowania tylu nakazów trwałaby za długo – objaśniał. – Do tego czasu ten, kto dzwonił, dawno by się stąd zmył, co pewnie i tak już zrobił, a wszystkie podejrzane przedmioty, broń albo – załóżmy – trucizna, zniknęłyby razem z nim. Zresztą, nie ma najmniejszych podstaw, by sądzić, że w ogóle dzwonił z domu. Przypuszczam, że raczej miał telefon w samochodzie. Wiedział o śmierci pańskiego synka, bo przejeżdżał ulicą, kiedy sanitariusze wynosili ciało do karetki. I wiedział, kiedy odjechaliśmy z Fordem, bo siedział w zaparkowanym wozie i obserwował dom.

Wyprany z wszelkiej nadziei, słuchał, zapalając kolejnego papierosa z paczki Webstera. Trzy tygodnie temu rzucił palenie, ale to już nie miało znaczenia. Pełną piersią wciągnął dym w płuca i czekał, aż świat przestanie wirować.

– Wracając do drugiej sprawy – ciągnął Webster. – Że pan zaplanował sobie telefon

do mnie, a facet akurat zadzwonił, żeby pana zniechęcić... Toż to czysty teatr! Wiedział, że będzie pan szukał ze mną kontaktu po jego pierwszym telefonie, no i wyczekał, aż dotarłem na komendę, po czym zadzwonił drugi raz, żeby pana przestrzec. Wszystko to razem wyglądało tak, jakby czytał w pańskich myślach. Była jeszcze możliwość, że się spóźni, że zadzwoni po pańskim telefonie do mnie. Wtedy wyglądałoby na to, że pański aparat jest na podsłuchu.

– Ale przynajmniej sugerowałem, gdzie go szukać – odparł słabym głosem.

– Niech pan posłucha. Mogłem to panu powiedzieć przez telefon. Nie po to tu przyjechałem. Chciałem pana zobaczyć i mieć pewność, że pan wszystko rozumie. Znalezienie tego człowieka to już moje zmartwienie, nie pańskie. Pan ma inny problem: jak się teraz wziąć w garść.

– I co mi z tego przyjdzie? Widzi pan, w jakim jestem stanie. Jeśli nawet pozbięram się jakoś do kupy, i tak ich to nie powstrzyma przed kolejnym atakiem.

– Ich? Nie wiedziałem, że jest ich aż kilku.

– Co najmniej ośmiu, najwyżej dwunastu. Tak zwykle działają. Tworzą komórkę. Zawsze razem.

– Wystąpiłem do FBI o sporządzenie listy ludzi Kessa na naszym terenie.

– To nic nie da. Kess nie trzyma archiwum kart członkowskich. Rozkazy wydaje ustnie, a kolejne szczeble organizacji przekazują je w dół taką samą drogą. W FBI mogą znać kilku z tej okolicy, ale nie ma sposobu, żeby ich ze sobą połączyć.

– Muszę coś panu powiedzieć. Miał pan rację w sprawie tego Kessa. W lutym, kiedy okazało się, że nie uniknie procesu, Kess zszedł do podziemia. Jedni twierdzą, że siedzi w Indiach Zachodnich, inni, że na Hawajach.

– Albo tu.

Webster spojrzał na niego ostro.

– Pan musi zachować zimną krew. Jestem w stanie zapewnić panu bezpieczeństwo. Jest wiele różnych środków. Niedługo przyślę człowieka, który założy podsłuch w pańskim aparacie. Jeśli ten facet zadzwoni jeszcze raz, może uda nam się go namierzyć. Wysłałem Forda do mleczarni, która dostarcza panu mleko. Szuka pańskiego dostawcy. Już niebawem powinienem dostać raport, określający rodzaj użytej trucizny. Przy odrobinie szczęścia zlokalizujemy jej źródło.

– Mają szkółkę drzew.

O jeden raz za dużo pouczył Webstera, jak powinien brać się do roboty. Detektyw zeszywniał.

– Wiem, panie Bourne – odparł z naciskiem. – i tym też się zajmiemy. – Otworzył usta, żeby coś jeszcze powiedzieć, po czym spuścił wzrok na dywan, zakłopotany. – Jest

jeszcze jeden powód, dla którego pan mnie tu teraz ogląda. Dostałem już wyniki sekcji. Przepraszam... Nieczęsto się zdarza, że coś mnie porusza. Na ciele dziecka nie znaleziono śladów obrażeń. – Jasne, że nie. – To było prawie śmieszne.

12

Ale Webster musiał mieć jeszcze inny powód, żeby do niego wrócić. I nie chodziło o pytania, które zaczął zadawać, bo wszystkiego mógł się dowiedzieć z artykułu Bourne'a.

– Dobrze, dobrze. Niech pan mówi.

Bourne zaciągnął się tak mocno, że prawie spalił filtr. Zdusił niedopalek.

– Proszę bardzo – zaczął. – Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłem, kiedy strażnik wprowadził mnie do gabinetu Kessa, był wielki rewolwer typu magnum, leżący na stercie papierzyk. Na blacie biurka wałały się rozsypane naboje, a łuska pocisku z haubicy, przycięta u podstawy, robiła za popielniczkę.

– Pan się zna na broni? Skąd pan wiedział, że ten rewolwer to magnum?

– Dużo czytam, zanim siądę do pisania książki, a taką wielką spluwę rozpoznam zawsze i wszędzie. Tamta była największa z możliwych. Kaliber czterdzieści cztery. Pierwsze, co Kess zrobił, wychodząc zza biurka, żeby uścisnąć mi dłoń, to wyraził ubolewanie, że tak długo musiałem czekać, zanim się zgodził na wywiad.

– Ale skoro już od tak dawna nie dopuszczał do siebie dziennikarzy, to dlaczego zdecydował się z panem spotkać?

– Przypuszczalnie spodziewał się, że i tak czeka go proces, i wiedział, że będzie się musiał ulotnić. Ten wywiad miał być jego ostatnim publicznym wystąpieniem, i widać uznał, że ja w sam raz nadaję się do tego, żeby przedstawić go w możliwie najlepszym świetle. To z powodu książek, które napisałem.

– Jeśli je czytał, ma nade mną przewagę.

Bourne wiedział już, o co szło Websterowi: chciał go wyciągnąć na rozmówki, chciał, żeby wyrzucił z siebie wszystko i się odprężył. Wiedział, bo czuł, że manewr Webstera jest skuteczny. Co prawda żołądek nadal kurczył się jak zaciśnięta pięść, a lodowate ręce i nogi drżały, ale, o dziwo, czuł się mniej spięty. Nie był sam.

– Te książki opowiadają o strachu – wyjaśnił i zapalił piątego papierosa z paczki Webstera. – Niech pan lepiej schowa kilka dla siebie, zanim je wszystkie wypalę.

– Ja nie palę.

– Więc po co te papierosy?

– Zawsze je noszę dla swoich rozmówców.

Manewr Webstera sprawdzał się coraz lepiej. Chcąc nie chcąc, Bourne wykrzywił usta w uśmiechu. Zaciągnął się głęboko i przestał oddychać. Kiedy wypuścił powietrze, w jego wydechu nie było już prawie dymu. Drapało go w gardle, zaschło mu w ustach.

– Pościgi. Uciekający, samotni mężczyźni, zaszczuci... zmuszeni w końcu do obrony. Kess dostrzegął w tym siebie. Zupełnie jakby pragnął wrócić do jakiegoś podmokłego lasu sprzed trzydziestu tysięcy lat. To jego wielkie marzenie. W obliczu wrogiej inwazji chciałby zgromadzić swoich ludzi, skryć się w górach, uderzać na arsenały, strzelać z ukrycia do nieprzyjacielskich patroli, uciekać przed pogonią. I w tym tkwi cały dowcip! Widział się w moich książkach i wykombinował sobie, że będę po jego stronie. Zgodził się łaskawie na wywiad, a ja miałem tym samym okazję, żeby się wcielić w któregoś z moich bohaterów. Tyle że oni zawsze wiedzą, co robić, a ja mało nie sikam ze strachu.

– Skoro o tym mówimy... Nie będzie pan sam. Człowiek, który przyjdzie założyć u pana podsłuch, zostanie tu na wypadek, gdyby miało się jeszcze coś zdarzyć. Będzie was ochraniał. Kazałem wozom patrolowym krążyć po okolicy i wypatrywać samochodów osobowych i ciężarówek, które zatrzymują się tu na dłużej albo za często wracają. Postawię też radiowóz przed domem. Już za chwilę. Naprawdę, niech się pan nie martwi. Dopadniemy ich wcześniej niż oni was.

Bourne niemal mu uwierzył. Ale właśnie wtedy Webster rzucił: „Niech pan zatrzyma papierosy” – i wstał, zbierając się do wyjścia. W tej samej chwili Bourne poczuł, jak spokój, który go zaczął ogarniać, gwałtownie z niego ulatuje.

– Niech pan jeszcze trochę zostanie. Nie może pan? – Bourne niepokoił się jak małe dziecko. Nie umiał nad sobą zapanować.

Webster patrzył na niego przez chwilę.

– Ma pan jakąś broń?

– Trzy sztuki. Strzelbę, pistolet i rewolwer. Dwudziestki dwójki.

– Wie pan, jak się z nimi obchodzić?

– Zaliczyliśmy kurs strzelecki w ramach Narodowego Stowarzyszenia Strzelców. Uczył nas były instruktor piechoty morskiej.

– Niech pan nie zawraca sobie głowy – powiedział Webster łagodnie, ale Bourne i tak odczuł to jak policzek. – Wszystko wygląda inaczej niż w książkach. To się dzieje naprawdę i nie chcę, żeby ktoś przez pomyłkę stracił życie. Jeden z moich, czy ktoś, kto się akurat nawinie. Był pan w wojsku?

– Nie.

– Bo?

– Studiowałem i dostałem zwolnienie.

– Tym gorzej. Jeśli zechce pan policzyć się z nimi na własną rękę, może się okazać,

że pisać o tym, jak zastrzelić człowieka, to coś innego, niż mieć w sobie parę, żeby dobrze wymierzyć i pociągnąć za spust. Równie dobrze może pan od razu palnąć sobie w łeb i zaoszczędzić facetom kłopotu. Zresztą tymi pociskami i tak nie zrobiłby pan nikomu krzywdy.

Słyszał to już wcześniej, widział na własne oczy, pisał o tym. Wtedy gdy Kess oprowadzał go po salach w Chemelec.

„Udowodniliście, że trafiacie do celu na tarczy – zwracał się do słuchaczy instruktor. – Ale strzelanie do człowieka to całkiem inna historia. Po pierwsze, żywy cel może odpowiedzieć ogniem. Po drugie, nie będzie na tyle uprzejmy, żeby stać nieruchomo na otwartej przestrzeni i czekać, aż go traficie. W przyszłym tygodniu pojedziemy na ćwiczenia, gdzie stworzymy symulowaną walkę, w trakcie której postrzelacie do ukrytych celów. Tymczasem przejrzyjcie sobie w skrypcie rozdział o celowaniu i zapamiętajcie wskazówki. Zwróćcie uwagę na punkt pierwszy. Nigdy nie zapominajcie, że celując do obiektu, który biegnie pod górę, najczęściej będziecie mierzyć za nisko. Ktoś biegnie, a więc cały czas ucieka wam spod muszki, musicie zatem mierzyć odpowiednio wyżej. Jeśli chcecie trafić go między łopatki, celujcie w tył głowy”.

Webster doszedł już do drzwi.

– Proszę pana? – zaczął Bourne piskliwym, łamiącym się głosem. – Nie mógłby pan jeszcze trochę zaczekać?

– Na co?

– Na człowieka, który przyjdzie zakładać podsłuch. Chyba wpadam w paranoję. Jak poznam, że to pański człowiek? Niech pan zaczeka do jego przyjazdu, dobrze? Żebym miał pewność.

I wtedy zadzwonił telefon.

Bourne podskoczył. Poczł gorący zastrzyk adrenaliny. Najpierw wlepił wzrok w aparat w hallu, później przeniósł spojrzenie na Webstera.

Tyle że Webstera już tam nie było. Szedł w stronę telefonu. Podniósł słuchawkę.

– Halo! – rzucił krótko. I więcej się nie odezwał. Słuchał. Bourne stanął obok i obserwował jego twarz, na której nie dopatrywał się najmniejszej zmiany.

Nie mógł się powstrzymać.

– O co chodzi? Co mówią?

A Webster wciąż tylko słuchał. Wreszcie przełknął ślinę i łagodnie odłożył słuchawkę.

– Co to było?

Milczenie.

– Nic.

- Ale pan tak długo słuchał. Musieli przecież coś mówić.
- Nie. Nikt nic nie mówił. Słyszałem tylko czyjś spokojny oddech.
- Było coś jeszcze! Wiem o tym. Pan świetnie panuje nad twarzą i niczego nie zdradza. Ale pańskie oczy się zmieniły.
- Nie słyszałem nic prócz oddechu.
- Tu chodzi o mnie i o życie mojej rodziny! Nie ma pan prawa niczego przede mną ukrywać. Niech mi pan powie, co pana tak zastanowiło, do cienkiej cholery!
- Znowu milczenie.
- Nie dałbym głowy... Dlatego tak długo słuchałem. Naprawdę, ktoś tam tylko oddychał, tak cichutko... Ale po chwili usłyszałem jakiś szczególny odgłos... Dalej nie jestem pewien, czy aby się nie mylę. Zdawało mi się, że to oddech kobiety.

13

Doktor się pomylił – Claire nie obudziła się o szóstej, jak przewidywał. Bourne przyciągnął sobie krzesło do łóżka i patrzył na nią w bladym świetle zza zaciągniętych zasłon. Oddychała, i na tym koniec. Nie obudziła się też o siódmej. Światło na dworze przygasało. Gdyby nie obudziła się do wpół do ósmej, miał zamiar zadzwonić do doktora.

– Tato, jestem głodna – oznajmiła Sara, stojąc w otwartych drzwiach. Przez ostatnie dwie godziny siedziała w swoim pokoju, nie robiąc nic. Raz poprosiła, żeby z nią w coś zagrał, ale nie miał serca do zabawy i odeszła z niczym. Myślał o tym, że Sara siedzi na łóżku i gapi się w podłogę. Małe dziewczynki na ogół nie miewają aż tyle cierpliwości.

– Ja chyba też – odparł. Głodny... Powinienem chociaż poudawać, że jestem głodny, pomyślał. – Ale nie mogę teraz zejść, żeby przygotować jedzenie. Mama może się zbudzić akurat wtedy, kiedy będziemy w kuchni.

Jeśli w ogóle się zbudzi, pomyślał. Zbudzi się, zbudzi. Na pewno się zbudzi.

No dobrze, ale co mógłby zrobić na kolację? Czy w domu jest coś, czego się nie boi? Gdzieś z tyłu spiżarni, w puszcze. Zupa. Groszkowa z szynką. Na myśl o zupie z zielonego groszku poczuł kwaśny smak w ustach.

– Sama mogę coś zrobić – stwierdziła Sara.

– Chętnie bym ci pozwolił, kochanie, ale wolę cię mieć blisko siebie.

– Dlaczego? – Wciąż stała w drzwiach, głową ledwie sięgając wyłącznika światła.

Właściwie nie musiał tego przed nią ukrywać.

– Kochanie, teraz powiem coś, co trudno ci będzie zrozumieć, ale chcę, żebyś mi uwierzyła. Jest pewien pan, który uważa, że wyrządziłem mu krzywdę, i teraz jego

koledzy chcą się na mnie zemścić. Chcą skrzywdzić ciebie. Mamę też. Zrobili to Ethanowi i Samancie.

– Zabili ich?

– Tak.

– Dlaczego?

– Właśnie ci tłumaczyłem.

– Nie. Dlaczego ten pan sądzi, że zrobiłeś mu krzywdę?

– Napisałem o nim coś, co mu się nie spodobało.

– Musiałeś?

– Kiedyś zdawało mi się, że muszę. Teraz... – Teraz nie jesteś już taki pewien, myślał. Ale lepiej bądź. Bo jeśli zapłaciłeś już za to Ethanem, a kto wie czy nie zapłacisz i resztą rodziny, to przynajmniej niech to będzie warte tej ceny!

Ale nie było.

Claire obróciła się, odetchnęła głębiej i wymamrotała:

– Oddajcie mi dziecko. – I znów znieruchomiała. Po chwili zorientował się, że i on zastygł w bezruchu. Chciał się odprężyć, ale nie potrafił. Barki miał napięte aż do bólu.

Kiedy spojrział w stronę otwartych drzwi, Sary już tam nie było. Wróciła.

– Przy telefonie na dole jest jakiś pan – stwierdziła zaskoczona.

Detektyw, którego Webster podesłał im dla ochrony. Rozzłościło go to.

– Zesłaś na dół, chociaż ci zakazałem?

Zmieszła się.

– Zesłałam tylko kawalek.

– Do jasnej cholery, szoruj do swojego pokoju i siedź tam!

Ledwie to powiedział, zrobiło mu się przykro. Zmieniła się na twarzy i wyglądało na to, że się za chwilę rozplacze. Chciał ją przeprosić. Ale musiał przekonać ją, że to nie żarty. Musiał wyegzekwować posłuszeństwo na teraz i na przyszłość. Więc nie spuszczać z niej wzroku, dodał:

– Powiedziałem. Marsz do swojego pokoju.

Odwróciła się, posłała mu smutne spojrzenie i odeszła niechętnie.

W sypialni zapadał mrok. Bourne siedział w ciemności. Słuchał, jak Claire obraca się niespokojnie, mruczy i oddycha ciężko. Wreszcie nie mógł już tego znieść. Musiał coś zrobić. Podszedł do okna, rozsunał zasłony i spojrział w ciemność na dworze. Latarnie się nie paliły. Zaniepokoił się.

Nie mógł sobie przypomnieć, żeby ostatnio była tu jakaś awaria. W zaparkowanym na ulicy samochodzie rozbłysła zapalka. Żółtawy płomyk. Czuł, że ogarnia go zdenerwowanie, więc instynktownie stanął z boku okna. Płomień zgasł, a Bourne

w bladym świetle wieczoru dostrzegł stożkowaty kształt policyjnej lampy na dachu wozu.

Ale i tak zaciągnął zasłony. Dusił go ciemność sypialni. Włączył mdłą lampkę w rogu, w blasku której nikt nie mógł zobaczyć jego sylwetki na tle zasłon. Spojrzał na łóżko. Claire miała otwarte oczy.

Puste. Niewidzące.

Ale nareszcie otwarte.

Z wolna koncentrowała wzrok.

– Reuben? – wychrypiała. Zamknęła oczy i znowu otworzyła. Wargi jej spuchły i spierzchły, wysuszone. Przesunęła po nich czubkiem języka. – Reuben?

– Ciii... Poczekaj chwilę, zanim obudzisz się na dobre. Lekarz dał ci środek na uspokojenie. Spałaś cały dzień.

– Lekarz? – wymruczała głupkowato. Mówiła, prawie nie otwierając ust. Uniosła ręce do twarzy i przeciągnęła je po policzkach i w dół, aż znieruchomiały na piersiach. – Jaki lekarz? – wypytywała niemrawo. – Gdzie Ethan? Wystarczyło czystych pieluszek?

Ominął ją wzrokiem i wbił oczy w mroczną ścianę.

– O mój Boże... – szepnęła. – Ethan nie żyje.

Znów go chwyciło. Ten sam paraliż, jaki ogarnął go na widok Ethana, który zachłysnął się, zeszywniał i umarł.

– Jak się czujesz?

– A jak myślisz?

– Lekarz powiedział, żeby ci dać trochę zupy.

– Nie chcę.

– O tym też mówił, ale i tak kazał mi coś w ciebie wmusić.

Nie odpowiedziała. Patrzyła w sufit i mrugała szybko. Poza tym z rękami skrzyżowanymi na piersi wyglądała, jakby już sama nie żyła. Siedział obok i spoglądał na nią z niewyraźną miną. Po chwili podniósł się, żeby zejść na dół i zrobić zupę. Nie chciał od niej odchodzić. A jednak poczuł ulgę.

Jej głos osadził go w drzwiach.

– Nie przynoś mi mleka. – Siła, z jaką to powiedziała, zaskoczyła go. Odwrócony do niej plecami stał, jakby kij połknął. W ciemnym korytarzu ujrzał szarą, niedużą postać Sary.

– Co w nim było? – usłyszał.

Odczekał moment i odwrócił się.

– Trucizna.

Wciąż nie odrywała wzroku od sufitu. Bourne ani drgnął.

- Naturalna czy jaka?
- Pytasz, czy ktoś ją tam włożył?
- Właśnie.

Nie mógł tego zrozumieć. Przecież wciąż powinna być półprzytomna.

- Kess – odparł. – Albo jego ludzie.
- Przez ten twój artykuł?
- Na to wygląda.

Wolno obróciła głowę w jego stronę. Zdawało się, że jej oczy są pozbawione białkówki.

- Zabiłeś Ethana.

Słyszał, jak stojąca w korytarzu Sara wstrzymuje oddech.

- Nie – odpowiedział spokojnie. – Zabił go Kess albo któryś z jego ludzi.
- Nie, to ty go zabiłeś.

Proszki, pomyślał. Nic nie pomogły. Może nawet pogorszyły jej stan.

- Proszę cię, Claire. Sara słucha w korytarzu. Nie wiesz, co mówisz.

Jej głos przybrał na sile:

- Wiem, że nie musiałeś tego wszystkiego pisać. Wiedziałeś, czym to grozi.
- Miałem zgodę Kessa na wszystko, co napisałem.
- Chciał, żebyś przedstawił ich w innym świetle. Zawarliście umowę. Pamiętasz? Musiał odwrócić wzrok.

– Przecież ostrzegał cię, prawda? Przecież ci mówił, że jeśli potraktujesz go tak jak inni... – odetchnęła głęboko – i zrobisz z niego wariata, to cię kiedyś dopadnie. Mówił, prawda?

Nie potrafił wydusić z siebie słowa.

- Odpowiedz!

– Ale zaczął się wtedy ukrywać. Był w tarapatach. Kto mógł przypuszczać, że serio potraktuje te groźby?

– To ty zabiłeś moje dziecko! Teraz ja ciebie ostrzegam. Nie kładź się spać. Klnę się na Boga, że jak tylko zaśniesz, zabiję cię!

Noc spędził na dole, w salonie. Usiłował czytać, ale nie mógł. Z pisania też nic nie wyszło. Wciąż myślał o telefonie. Wreszcie, o jedenastej, rozległ się dzwonek. Mimo iż się go spodziewał, zmroziło go na sekundę i dopiero po chwili wstał, żeby odebrać telefon w hallu, nim zbudzi Claire. Gdyby podniosła słuchawkę w sypialni i usłyszała

chrapliwe sapanie... To by ją dobiło.

Dyżurujący policjant już włączył magnetofon.

– Może na przykład pańska matka. Nie musi być nic ważnego, ale nigdy nie wiadomo.

– Moja matka nie żyje od dwóch lat.

Okazało się, że to przyjaciółka Claire. Co z tego? I tak zaczął się trząść jak w febrze.

– Claire źle się czuje. Zadzwoń do ciebie jutro.

– Mam nadzieję, że to nic poważnego.

– Zadzwoń jutro – powtórzył i odłożył słuchawkę.

Mimo woli zaczął się zastanawiać, czy to aby nie ona była tą kobietą, która dyszała Websterowi w ucho. Nie, powiedział sobie. To czyste szaleństwo. Musisz przestać myśleć w ten sposób. Przecież to najlepsza przyjaciółka Claire.

Ale nie mógł odsunąć od siebie tej myśli.

– Wygląda pan okropnie – oświadczył Webster, kiedy następnego ranka przyszedł o siódmej ze zmiennikiem dyżurnego detektywa.

Ale i Webster nie wyglądał dobrze. Miał obwisłą bladą twarz i, po raz pierwszy, zgaszone spojrzenie. Jakby całą noc nie spał. Ubrany był w ten sam szary garnitur, tyle że teraz już mocno zmietoszony.

– To był glikol etylenowy – oznajmił. – I nie wzięli go ze szkółki leśnej, tylko z warsztatu. Wchodzi w skład niektórych płynów przeciwko zamarzaniu szyb i środków do mycia. Jest słodkawy i gdyby połknął go pan w mleku, wyczułby pan ten smak raptem na chwilę przed śmiercią. Wystarczą dwie kropelki. Kłopot w tym, że tylu ludzi kupuje te środki i nie sposób dojść, kto i kiedy.

– Chce pan powiedzieć, że nie potraficie odnaleźć faceta, który kupił truciznę? I fatygował się pan osobiście, żeby mnie o tym zawiadomić?

– W każdym razie widzi pan teraz, że jestem całkiem szczery. I jak dojdziemy do dobrych wiadomości, będzie mi pan wierzył.

– No więc, na litość boską, niech pan wreszcie powie coś krzepiącego.

– Akurat w tej chwili nic takiego nie mam. Nie mylił się pan, FBI niewiele nam pomogło. Roznosiciel mleka nie wygląda podejrzanie, ale i tak nie spuszczaamy go z oka. Zostawił mleko pod drzwiami koło szóstej, więc ktoś, kto chciałby wstrzyknąć truciznę, miał jeszcze sporo czasu. Lekarz skończył sekcję. Może pan zabrać syna do zakładu.

W pierwszej chwili nie zrozumiał, o czym Webster mówi. I nagle go olśniło. Pogrzeb. Nie wierzył w śmierć Ethana do tego stopnia, że nawet nie myślał o pogrzebie.

– O co chodzi? Coś się stało? – dopytywał się Webster.

Potrząsnął głową i zaraz po jego wyjściu zadzwonił do kościoła.

– Przykro mi – odezwała się gospoia na plebanii. – Księża są teraz na mszy. Interesantów przyjmujemy od dziewiątej.

Więc czekał i palił papierosy z nowej paczki, którą zostawił mu Webster. Smakowały jak gręplowana bawełna i trzeba było mocno pracować, żeby nie zgasły. Nie przyjałby ich od nikogo na świecie, poza Websterem. A nawet i jemu by nie ufał, gdyby już nie wypalił bezmyślnie tych, które policjant zostawił poprzedniego dnia. „Wystarczy wziąć ostrużyny z tego plastiku i wetknąć w papieros przeciwnika. Jedno sztachnięcie i gość leży sztywny”. Wykorzystał te słowa w swoim artykule, bacznie uważając, żeby nie podać nazwy plastiku. Ale co za różnica, pomyślał smętnie. Chryste, czy w ogóle istnieje coś, czego nie dałoby się użyć do zabicia człowieka?

Ksiądz powiedział, że za dwa dni znajdzie czas na pogrzeb. Bourne zajrzał do książki telefonicznej w poszukiwaniu zakładów pogrzebowych, ale pod „Z” nie znalazł nic. „Patrz: Przedsiębiorcy pogrzebowi”. No jasne, mruknął pod nosem. Właśnie tego mi trzeba. Jakiegoś pieprzonego przedsiębiorcy. Instynkt nakazywał mu wziąć pierwszego z brzegu i jak najszybciej załatwić sprawę. Ale wciąż myślał o Kessie i o tym, że wybór pierwszego zakładu od góry byłby zbyt oczywisty, więc czym prędzej przesunął palec w dół listy, zatrzymując się przy przedostatnim przedsiębiorcy. Wiedział, że ludzie Kessa szybko odkryją, z czyich usług korzysta, i zastawią pułapkę, ale nie chciał im ułatwiać zadania.

– Przeprowadzono sekcję zwłok – poinformował przez telefon przedstawiciela zakładu pogrzebowego. – Nie wiem, czy syn będzie mógł leżeć w otwartej trumnie.

Głos dochodzący z drugiej strony kabla był ciepły i gładki; przywodził na myśl pastora wygłaszającego kazania radiowe.

– Jeżeli życzy pan sobie wystawienia zwłok, zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby to zorganizować.

Zastanowił się chwilę.

– Tak. Moja żona na pewno będzie tego chciała. Niestety, nie mogę przyjechać, żeby wybrać trumnę czy inne niezbędne rzeczy. Proszę użyć wszystkiego, co najlepsze.

W głosie nieznanego mężczyzny usłyszał zdumienie.

– Naturalnie, proszę pana. Jak pan sobie życzy.

– I nie mogę też pojechać do szpitala, żeby załatwić formalności. Będzie pan musiał przywieźć mi dokumenty tutaj, bo inaczej nie wydadzą panu ciała.

Zdumienie jego rozmówcy podwoiło się.

– Oczywiście, proszę pana. Niech mi wolno będzie nadmienić, że nasi pracownicy będą się łączyć z państwem w bólu przez cały okres żałoby.

– Doskonale. Wolno panu nadmieniść, co pan tylko chce. Proszę bardzo, słucham.

15

Godzinę później w drzwiach stanął ksiądz. Był zgięty wiekiem i pomarszczony. Miał rzadkie włosy, mlecznobiałe, cienkie niby pajęczyna, i tu i ówdzie zakurzoną sutannę. Powiedział, że jest księdzem, ale Bourne nigdy go nie widział ani nie przypominał sobie, żeby Claire wspomniała mu o kimś takim. A zatem usiedli we trójkę w salonie: ksiądz, Bourne i detektyw pełniący dyżur przy telefonie.

Ksiądz przeprosił za niespodziewane najście. Najwyraźniej nie chciał rozmawiać o tym, po co przyszedł.

– To drobna sprawa – zapewniał, wierząc się na kanapie. – Ale niestety musimy ją omówić. Bardzo mi przykro, że muszę pana niepokoić w tak bolesnej chwili. – Mówił ściszym, rozstrojonym głosem, jakby natężonym szeptem ćwiczył fragmenty mszy w zakrystii.

– O co chodzi? – Bourne nadal nie dowierzał, że ma przed sobą duchownego. Rozważał, czy nie powinien zadzwonić do kościoła, żeby się upewnić. Detektyw trzymał rękę pod marynarką, blisko kabury pod pachą.

Ksiądz ociągał się.

– Jestem przekonany, że to zupełny drobiazg. Z całą pewnością drobiazg. Ale widzi pan, sprawdzałem nasze księgi, jak zwykle w takich przypadkach, i... cóż... Pan jest oczywiście katolikiem, panie Bourne?

– Tak.

– A pańska rodzina?

– Też.

– Czy państwo uczęszczają regularnie na msze?

– Moja żona i córka co niedzielę.

– A pan?

– Nie byłem już od dziesięciu lat.

– Nie był pan nawet u spowiedzi wielkanocnej?

– Nie.

Ksiądz spojrział w okno zmieszany, jakby przypadkiem zobaczył Bournea tak, jak go Pan Bóg stworzył. Odchrząknął.

– Czy mogę spytać, dlaczego nie chodzi pan do kościoła?

– Zaczęto odprawiać mszę po angielsku, a potem wprowadzono gitary.

– Niektórzy z nas żałują, że się tak stało. Ale mimo to, panie Bourne, powinien pan

odbyć spowiedź wielkanocną, by móc pozostać w naszej wspólnocie i zbawić swoją duszę. Pan po prostu nie wierzy, czy tak?

– Tak. – Miał wrażenie, że właśnie zaczął spowiedź.

– Nie wierzy pan w Kościół.

– Nie wierzę w Boga. Przepraszam, proszę księdza, ale o co chodzi?

– Chyba już rozumiem... Sprawdziłem wpierw nasze księgi, obdzwoniłem inne parafie. W urzędzie dowiedziałem się, że pańskie dziecko urodziło się tutaj, ale nie mogę nigdzie znaleźć aktu chrztu.

Boże Wszechmogący, zesłałeś nam swego Syna jedynego, by zbawił nas od grzechu i ofiarował wolność, której zaznają tylko Twoi synowie i córki. Teraz powierzamy Ci to dziecko, by umiało stawić czoło światu i jego pokusom i by walczyło z przebiegłością szatana. Twój Syn umarł i zmartwychwstał, byśmy zostali zbawieni. Przez Jego zwycięstwo nad grzechem i śmiercią wyprowadź to dziecko z ciemności, obdarz swoją łaską i wspomagaj w każdym momencie jego życia. Prosimy Cię o to przez Chrystusa, Pana naszego. Amen.

Przewidział już, co stanie się za chwilę, i wiedział, jak to podziała na Claire. Nie miał pojęcia, jak jej o tym powie. Zasady, myślał. Tyle rzeczy robiłem dla zasad.

– Rzeczywiście. Dziecko nie zostało ochrzczone. – Teraz już nie miał wątpliwości, że rozmawia z księdzem. Nawet Kess i jego ludzie nie wymyśliliby czegoś takiego.

– Synu mój, czy był jakiś istotny powód, żeby go nie ochrzcić?

– Dziecko bardzo chorowało przez pierwsze dwa miesiące i nie chcieliśmy ryzykować, wychodząc z nim na dwór.

– Ale z całą pewnością... Ile miesięcy liczył sobie pański synek? Przez telefon mówił pan, że cztery czy pięć. A więc z pewnością wzmocnił się już na tyle, żeby go wziąć do kościoła.

– Nie ochrzciłem go, bo nie byłem przekonany, że chcę go wychować na katolika – rzekł Bourne.

– Chrzest niczemu nie przeszkadza. Otwiera drogę każdemu, niezależnie od wyznania, do zbawienia w Kościele chrześcijańskim.

– Jeśli się jest wierzącym.

– Ale czy przez własne wątpliwości miał pan prawo zamykać dziecku drogę do zbawienia duszy? Czy jest pan absolutnie pewien, że nikt go nie ochrzcił? Może pielęgniarka w szpitalu? Albo pańska żona, kiedy synek tak bardzo chorował? Ksiądz nie jest do tego konieczny. Każdy może to zrobić zwykłą wodą.

Chrzczę ciebie w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego.

– Nie. Na pewno nikt tego nie zrobił.

- Sprawa staje się bardzo trudna.
- Śmiało. I tak wiem, co zaraz usłyszę.

Staruszek dobierał oficjalnych słów, kryjąc się za sztywnym językiem kościelnych pryncypiów.

– Prawo kanoniczne zabrania odprawienia mszy w intencji pańskiego syna. Zabrania również pochowania ciała w poświęconej ziemi. Ponieważ dziecko nie osiągnęło jeszcze wieku, kiedy mogło kierować się rozumem, zatem nie zostanie skazane na wieczne potępienie. Jego dusza zawisnie w nicości między niebem a piekłem: wolna od cierpień spowodowanych ogniem piekielnym, ale też boleśnie niezdolna do dzielenia chwały naszego Pana.

16

Tego samego dnia, wieczorem, w asyście dwóch detektywów wybrali się do domu pogrzebowego. Zdażył już powiedzieć Claire o wszystkim, spodziewając się z jej strony nowych oskarżeń. Oczekiwał, że zacznie krzyczeć, że rzuci się na niego, a w każdym razie coś zrobi. Ale Claire nie zareagowała w ogóle. Przez kilka godzin poprzedzających ich rozmowę milczała jak zakłeta, potem też nie odezwała się słowem – całkowicie zagubiona w myślach, jakby nieświadoma tego, co dzieje się wokół. Jeden z policjantów jechał w ich samochodzie, drugi innym wozem, za nimi, i sprawdzał, czy nikt ich nie śledzi. Przed domem pogrzebowym detektywi wysiedli, by rzucić okiem na ciemną, wysadzaną drzewami ulicę, i wreszcie pozwolili im wysiąść.

Pierwsze wrażenie wewnątrz to miękkie dywany i przytłumione głosy. Ciemnoczerwone, gęsto drapowane kotary kryły wszystkie ściany. Zza materiału przebijała różowa poświata, a z każdej ściany płynęła kojąca, cicha muzyka organów elektrycznych. Zaczyna się ponury ceremoniał grzebania, pomyślał Bourne. Czuł, że się dusi.

Nie chciał brać ze sobą Sary, ale denerwowałby się, gdyby zostawił ją w domu pod okiem dyżurnego policjanta. Wziął dla niej kilka książek, po drodze kupił mleko i jakieś herbatniki. I spokojny, że to, co nabył w zupełnie przypadkowym miejscu, jest całkowicie niegroźne, poprosił jednego z pracowników domu pogrzebowego, żeby zaprowadził Sarę w jakiś odosobniony kąt, gdzie mogłaby się posilić.

- Ale ja chcę zobaczyć Ethana – zaprotestowała. – Dlaczego nie mogę go zobaczyć?
- Bo nie będzie już taki, jakiego pamiętasz.

W tle mruzczały cicho organy elektryczne.

- Będzie wyglądał inaczej?

– Nie, ale nie będzie taki sam.

Jakiś czas trawiła tę informację, a potem spytała:

– Będzie wyglądał jak lalka?

Słowa córki poraziły go.

– Martwi cię to?

– Nie – odparła. – Chyba nie.

– Właśnie tak będzie wyglądał.

Wciąż rozważała ten problem, gdy któryś z pracowników wyprowadzał ją z hallu. Jeden z detektywów natychmiast poszedł za nią, bezgłośnie stąpając po miękkim dywanie; drugi sprawdzał wszystkie pomieszczenia, bez przerwy zerkając na drzwi wejściowe.

Od razu zjawił się szef zakładu. Nie tyle przyszedł, co przepłynął nad podłogą. Miał na sobie czarny, idealnie skrojony wełniany garnitur. Był wysokim mężczyzną o szczupłej, szarej, pełnej współczucia twarzy. Na jego widok – tak jak na widok księdza – Bourne zaczął nerwowo rozważać, czy Kess zdążył już do niego dotrzeć. Mężczyzna zerknął na obserwującego drzwi detektywa, a potem przeniósł wzrok na Bourne'a i wyciągnął rękę.

– Proszę przyjąć od nas najgłębsze wyrazy współczucia, panie Bourne. – Jego dłoń była sucha i ciepła. – Pański syn leży w tej części. Mam nadzieję, że będzie pan zadowolony z naszych starań.

Szli hallem, mijając salę, w której pod ścianą stała otwarta trumna. Widać w niej było twarz młodego mężczyzny. Przy trumnie klęczała ubrana na czarno kobieta; ramiona drgały jej od płaczu. Jej towarzyszka stała niepewnie obok, to unosząc ręce, to znów je opuszczając, niezdecydowana, czy może przeszkodzić płaczącej i pocieszyć ją dotykiem.

W następnym pomieszczeniu, w trumnie pod ścianą, leżał Ethan. Bourne poczuł nagle taki chłód, że z najwyższym trudem zmusił się, by wejść do środka. Detektyw stanął pośrodku sali, skąd mógł obserwować drzwi wejściowe, a tymczasem oni, przy akompaniamencie muzyki organowej, podeszli do trumny. Była z ciemnego dębu. Zupełnie jak dom, myślał Bourne, tyle że płytka i krótka, prawie jak zabawka. Wewnątrz, na sfalowanym białym atłasie leżał Ethan w błękitnym wełnianym pajacyku, najlepszym, jaki miał; Claire całymi godzinami przeglądała szuflady z jego ubrankami, by wreszcie wybrać ten strój i przysłać do domu pogrzebowego.

Bourne mylił się, mówiąc Sarze, że Ethan będzie wyglądał jak lalka. Ethan po prostu wyglądał jak nieżywy. Źle dobrano kosmetyki, użyto takich, którymi wypełnia się zmarszczki dorosłej twarzy. Ale buzia Ethana i tak była gładka, więc pod tą dodatkową

warstwą sprawiała wrażenie grubo pokrytej białym woskiem. Taki malutki, takie drobne rysy... Odwrócił głowę, zerknął za siebie i znów spojrział w trumnę. Stopniowo zaczynał się przyzwyczajać do tej obcej istoty, która kiedyś była jego synem.

Claire przyglądała się i przyglądała Ethanowi bez końca. Pod czarną woalką jej twarz była opuchnięta i stara. Ściągnęła ciemne włosy ciasno do tyłu, przez co jej rysy stały się wyraźniejsze. Płacz, zachęcał ją w myślach. Dlaczego ona nie płacze i nie wyrzuci tego z siebie, zanim ją ból wykończy?

A ty? – zadał sobie pytanie. Przecież to twój syn. Dlaczego ty nie płaczesz?

Ten wieniec z goździków, który zamówił... Mdły, słodki, stęchły zapach wędnących kwiatów. Śmierć, wszędzie śmierć.

Organy nie przestawały grać.

Potrząsnął głową i odwrócił się. Przedsiębiorca pogrzebowy nadal im towarzyszył. Czego on chce, zastanawiał się Bourne. Pochwał? Nie, niemożliwe, żeby czekał na pochwały za wygląd Ethana!

– Czy jest pan zadowolony?

– Bardzo ładna trumna.

– Najlepsza, jaką mieliśmy. Może pan być tego pewien. Zrobił pan dla syna wszystko, co tylko można. – Dywany i udrapowane na ścianach kotary tak bardzo tłumili jego głos, że Bourne odnosił wrażenie, jakby mówił do niego z drugiej sali. – Może napijecie się państwo kawy?

Pomyślał o truciznie.

– Nie.

– Wina, a może czegoś mocniejszego? To czasem pomaga.

– Nie, nie. Dziękuję.

– Gdybyście państwo mieli na coś ochotę, proszę nam dać znać. – W jego głosie zabrzmiała nuta zawodu. Powoli, bezszelestnie opuścił salę.

W każdym razie wyszedł za drzwi. Jakiś ciężko dyszący, zwałisty mężczyzna o czerwonej twarzy i w rozluźnionym krawacie, potykając się, przeszedł obok niego. Bourne nie zdążył nawet mrugnąć okiem, kiedy detektyw skoczył i rzucił faceta na ścianę.

– Mój Boże – sapnął przedsiębiorca pogrzebowy. – Mój Boże, co tu się dzieje?

Detektyw wyciągnął rewolwer. Przedsiębiorca gapił się na niego jak sroka w gnat, a mężczyzna o nabiegłej krwi twarzy mamrotał pod nosem:

– Co u diabła? Jezu Chryste!

– Spokój! – nakazał detektyw. Szukał ukrytej broni, obmacując nogi mężczyzny,

jego krocze i pachy. Skończył, zanim Bourne zorientował się, w czym rzecz.

– Czego pan tu szuka?

– Kolegi.

– Kolegi?

– Umarł. Przyszedłem go zobaczyć. Wpadł pod pociąg i już nie żyje.

– Ach, leży w sali obok – wyjaśnił przedsiębiorca pogrzebowy.

– I już nie żyje – powtórzył mężczyzna.

Detektyw pociągnął nosem i odwrócił twarz.

– Pójdziemy sprawdzić, jak to jest z tym pańskim kolegą. A przy okazji zobaczymy, ile to dzisiaj wypiliśmy.

– Nie – zaprotestował Bourne. – Niech pan nas nie zostawia.

– Wracam za sekundę. Muszę to wyjaśnić.

– A jeśli przysłali go tutaj specjalnie, żeby odwrócić pana uwagę? Co będzie, jeśli pan zniknie, a oni przyjdą po nas?

– Mimo wszystko i tak muszę go sprawdzić. Cały czas będę obserwował drzwi.

Nagły strach spowodował, że Bourne zaczął dygotać. Patrząc na odchodzących mężczyzn, czuł, że zaczyna go mdlić. Claire obserwowała scenę z pustym wyrazem oczu, w końcu z powrotem wpatrzyła się w Ethana. Widok martwego dziecka potęgował mdłości. Nawet kiedy detektyw wrócił do sali i wzruszył ramionami, Bourne nie poczuł się lepiej. Chciał usiąść, ale nie mógł odejść, musiał zostać przy Claire, walcząc z podchodzącym do gardła żołądkiem. A kiedy, nie odrywając wzroku od Ethana, nareszcie przemówiła – po raz pierwszy tego dnia – jej głos zabrzmiał słabo, ale spokojnie: – Dlaczego, Reuben? Dlaczego? Nie masz pojęcia, jak strasznie żałuję, że nie odszedłeś z tą dziwką.

17

Dwa dni później, rano, odbył się pogrzeb. Ksiądz powiedział, że niektóre modlitwy są dopuszczalne, ale tylko takie, w których nie pada ani jedno słowo o zbawieniu duszy. Trumna nie mogła być skropiona święconą wodą, nie wolno było też usypać na jej wieku symbolicznego krzyża z ziemi. Poza tym trumny z nie ochrzczonej dziećmi wpuszczano jedynie do przedsionka kościoła, na co Bourne powiedział: „Wszystko albo nic”, i ceremonia – czy raczej jej szczątkowa postać – została odprawiona w domu pogrzebowym.

Składane metalowe krzesła ustawiono w rzędach. On, Claire i Sara zajęli miejsca z przodu. Za nimi usiedli znajomi. Przyszło ich więcej, niż oczekiwał. Zastanawiał się,

czy ktoś z nich nie przyczynił się czasem do śmierci Ethana. Dwaj detektywi obserwowali drzwi.

Ksiądz odczytał modlitwy bez wzmianki o zbawieniu, zamknął modlitewnik i zaczął:

– Możemy zrozumieć śmierć ludzi starych. Przeżyli swój czas na ziemi, zrobili, co do nich należało, i Bóg w swojej wielkiej mądrości uznał, że są już gotowi, by stanąć przed Jego obliczem. Ale śmierć małego dziecka jest tą decyzją Boga, z którą z najwyższym trudem przychodzi nam się godzić. Patrzymy na to dziecko w trumnie i serce pęka nam z bólu nad wielką stratą, nad tym, że temu dziecku nigdy nie będzie dane poznać radości życia. Ono nigdy nie będzie się radowało smakiem jedzenia i picia, nie odczuje dumy z siły swego ciała, nie zazna przyjaźni i miłości rodzinnej. Ten chłopiec nie będzie miał okazji dokonać wielkich rzeczy. Nie wyrośnie na dobrego człowieka. Nie stanie się przykładem dla swych rówieśników, którzy przebywanie z nim poczytywałyby sobie za zaszczyt. Wszystkiego tego Pan Bóg mu odmówił. Co za straszliwa strata, myślimy.

Mógłbym powiedzieć: „Cieszcie się”, bo Pan Bóg uznał, że chłopiec jest już gotowy, by zaznać wiecznej szczęśliwości. Ale z powodów ciągle dla nas niejasnych, Pan Bóg nie zezwolił na chrzest tego dziecka. Piętno grzechu pierworodnego wciąż kala jego duszę, która teraz przebywa w nicości. Oto jeszcze jeden przykład bezpowrotnie straconej szansy: to dziecko nigdy nie będzie dzielić chwały Pana naszego. I przez to jeszcze trudniej jest nam pogodzić się z tą śmiercią.

Siedzimy nocą w ciszy naszych sypialni i zastanawiamy się: dlaczego? Mamy nadzieję, że znajdziemy jakąś pociechę w rozpaczach. Wreszcie dochodzimy do wniosku, że Bóg w swojej nieskończonej dalekowzroczności przewidział być może, że temu dziecku nie uda się osiągnąć wiecznego zbawienia, i przeniósł go w stan zawieszenia między błogostanem a bólem, żeby oszczędzić mu mąk ogni piekielnych. Poza tym, skoro mówimy, że życie jest radością, pamiętajmy też, że bywa przepełnione cierpieniem, strachem, chorobami i smutkiem. Niech nas pocieszy myśl, że chłopiec nigdy ich nie doświadczy, że nie będzie musiał być taki jak my, a zatem śmierć jest dla niego wielkim wybawieniem.

Bourne patrzył na pajęczynę białych włosów księdza i myślał o tym, że włosy i paznokcie rosną jeszcze jakiś czas po śmierci. A poza tym po śmierci nic już się nie dzieje.

Miejsce pochówku znajdowało się na skraju cmentarza, pod płotem, w cieniu wielkiego kasztanowca. Na sąsiednich grobach też nie było krzyży. Głęboki dół z cementowymi ścianami i dnem. Żeby się nie zapadał, kiedy trumna i ciało ulegną rozkładowi. Grabarze opuszczają trumnę, zacementują wierzch i zakryją ziemią. Ziemię

usypią w kopczyk, a potem nakryją sztuczną trawą. Jak umrę, niech mnie lepiej spała, pomyślał.

Dzień był gorący i słoneczny. Bourne wciągał zapach wilgotnego powietrza. Ksiądz powierzy ciało ziemi, z której prochów powstało, ale biorąc pod uwagę cały ten cement, jest to wierutne kłamstwo, skostatował w duchu Bourne. Stojący koło niego przedsiębiorca pogrzebowy szepnął, że czas już iść, lecz Claire nie chciała ruszyć się z miejsca.

– Zostanę do samego końca – oświadczyła i były to jej pierwsze słowa od tamtego wieczoru w domu pogrzebowym.

– Będzie tak, jak chce moja żona – stwierdził Bourne.

Przedsiębiorca pogrzebowy odbył więc krótką dyskusję z grabarzami i właśnie kiedy opuszczano maleńką trumienkę do dołu wielkości dorosłego człowieka, podeszła Sara, by położyć na wieku wieniec z kwiatów. Bourne wiedział, że to nie jej pomysł, że sama nigdy by na to nie wpadła. To Claire. Claire skłoniła ją do tego. Zerknął na żonę. Patrzyła na niego zza welonu. Spojrzał na opuszczaną do grobu trumienkę, a kiedy ciemne wieko z białymi kwiatami na wierzchu zniknęło mu z widoku, odwrócił się.

18

Najdłużej trwało, nim Claire pozwoliła mu znów spać obok siebie w łóżku. Odzywała się już, ale tylko po to, by spytać, jakie spodnie mu uprasować, albo żeby oznajmić, że kolacja gotowa. Jedzenie kupowali za każdym razem w innym supermarkecie. Odwozili Sarę do szkoły i przywozili do domu, nie pozwalając jej chodzić samej. Nie wolno jej było bawić się przed domem bez opieki. Mimo parkującego przed domem radiowozu, śledzili wzrokiem każdy przejeżdżający samochód.

Ale nic się nie działo. I im bardziej nic się nie działo, tym bardziej Bourne bał się każdego telefonu i skóra mu cierpła na myśl, że któregoś dnia usłyszy w słuchawce zachrypnięty, dyszący głos. Każdy niespodziewany ostry dzwonek wciąż powodował przyspieszone bicie serca. Usiłował nie myśleć o tym i skupić się na pracy, ale bez skutku; wiedział, w jakim jest położeniu, zbyt często to opisywał. Jeśli ktoś naprawdę chce cię dopaść, nie ma siły, żeby go przed tym powstrzymać. Istnieje tyle sposobów. Wszystko jest wyłącznie kwestią czasu.

Poszedł na górę. W szafie w korytarzu, na drugiej półce, ułożył strzelbę, rewolwer i pistolet wraz z pudełkiem pełnym naboju. Webster ostrzegał go przed tym, ale w końcu to nie Webster bał się niespodziewanej śmierci, a poza tym nie rozumiał, że lata studiów nad bronią uczyniły z Bourne'a prawdziwego eksperta. Broń trzymał zawsze w małej,

zamkniętej na klucz komodzie w sypialni. Dostęp do niej był trudny, ze względu na ryzyko wypadku, gdyby tak Sara postanowiła się do niej dostać. Teraz musiał pokazać córce, gdzie leżą śmiertelne narzędzia, i zakazać zagładania do szafy. Uwierzył jej, gdy obiecała, że niczego nie dotknie.

Któregoś ranka, kiedy zszedł na dół, odkrył, że przy telefonie nie ma już dyżurującego detektywa. Magnetofon, słuchawki i kable – cały sprzęt do nagrywania zniknął. Rzucił się do okna w salonie: radiowóz też odjechał. Nagle uświadomił sobie, że stoi tylko w cienkiej, luźnej piżamie. Natychmiast cofnął się od okna.

– Chciałem zobaczyć się z panem, zanim pan sam to odkryje – powiedział Webster, gdy przyjechał tego ranka. – Proszę zrozumieć, że nie miałem z tym nic wspólnego. Szef sam wydał polecenie. Ludzie siedzieli tu na trzy zmiany, jeden przy telefonie, dwóch w samochodzie na zewnątrz, kolejne pary w trzech wozach patrolowych objeżdżających dzielnicę. Niech pan pomnoży to przez tygodnie dyżurów, tak mówił, i skalkuluje koszty operacji. Poza tym policjanci potrzebni są też w innych miejscach. Bourne z najwyższym trudem panował nad sobą; twarz mu płonęła.

– Ale wy macie być stróżami porządku! Jeśli nie jesteście w stanie zapewnić nam ochrony, to co z was za pożytek?!

– Wiem, co pan czuje...

– Wcale pan nie wie!

– Dobrze, niech mnie pan wysłucha. Szef ma trochę racji. Twierdzi, że jeśli Kess i jego ludzie nie zrobili dotąd żadnego ruchu, to tylko z dwóch powodów: albo stracili już zainteresowanie panem, albo czekają, aż się stąd wyniesiemy, tak czy siak, nasze wystawanie pod domem zupełnie nie ma sensu. Stary twierdzi, że jeśli rzeczywiście czekają, aż zwiniemy żagle, to równie dobrze możemy tu tkwić choćby rok, dokładnie z tym samym skutkiem. A jak tylko rozwiązalibyśmy interes, Kess natychmiast siadłby panu na karku.

– Lepiej więc zaoszczędzić czas i niech od razu dzisiaj po nas przyjdą, tak? A może ten pański „stary” jest jednym z ludzi Kessa?

– Niech pan się liczy ze słowami! Całą noc dyskutowałem z szefem na ten temat, ale słuchając pana, zaczynam myśleć, że szkoda było fatygi. Rozmawiałem już z chłopakami, którzy pana pilnowali, i wszyscy zgodzili się zaglądać tu od czasu do czasu, żeby robić wrażenie, że nadal angażujemy się w sprawę. Pan ma moje telefony: służbowy i domowy. Jeżeli cokolwiek się stanie, nawet gdyby pan sądził, że coś się panu tylko przywidziało, niech pan od razu dzwoni. Nieważne o jakiej porze dnia czy nocy. Przy odrobinie szczęścia, może w ogóle nie będzie takiej potrzeby. Niewykluczone, że stary ma rację. Może ludzie Kessa stracili już zainteresowanie wami. Być może

zadowolili się tym, że nastraszyli pana i zabili pańskiego syna.

– „Być może”! Oni tu wrócą na pewno.

19

Nie zamknął drzwi samochodu i pędził przez gorący asfalt parkingu w stronę wejścia do szkoły podstawowej. Na budynku widniała nazwa szkoły: „Woodside”. Claire biegła za nim.

– Co? Co się stało? – krzyknął do zdenerwowanej kobiety, czekającej na nich na zewnątrz. W słońcu zdawała się blada i równie młoda, jak lekarz z karetki. Zbyt młoda. Nauczycielka Sary. Niska. Ciemne włosy bez połysku, przycięte równo z koniuszkami uszu. Wybrzuszona zielona sukienka. Piąty miesiąc ciąży, może szósty. – Niech pani powie, co się stało!

Dopadł ją wcześniej niż Claire.

– Ja... Ona...

Budynek był nowy, czysty i błyszczący – długi pawilon z cegły i szkła. Bourne minął nauczycielkę, gwałtownym pchnięciem otworzył oba skrzydła lśniących drzwi i wpadł na wybluszczoną marmurową posadzkę. W szkole unosił się słodko-ostry zapach terpentyny.

– Którędy? – rzucił, a jego pytanie odbiło się echem od ścian. – Gdzie ona jest? Na litość boską, gdzie ona jest?!

– Tędy – powiedziała nauczycielka i przełknęła ślinę.

Skręcił w prawo i szybko ruszył korytarzem, mijając otwarte klasy i fontanny z pitną wodą, umieszczone nisko na ścianach. Był zbyt zdenerwowany, by pukać do drzwi gabinetu z wywieszką „Dyrektor”. A tam, na krześle w rogu, siedziała zapłakana Sara, owinięta kocem. Obok niej stała pielęgniarka w wykrochmalonym białym fartuchu. Dyrektor zachwiał się, wstając zza biurka!

– To była pomyłka – zaczął. – Musi pan zrozumieć, że nie mogliśmy tego przewidzieć.

Bourne ledwie na niego spojrział: okulary o grubych soczewkach na biurku, przymrużone oczy, rozluźniony krawat, podwinięte rękawy koszuli. Przypadł do Sary, przytulił ją. Claire już dobiegła. Sara wciąż szlochała.

– Kochanie, powiedz, co się stało. Nic ci nie jest?

Najpierw pokiwała, potem pokręciła przecząco głową.

Wtedy dostrzegł krew na podłodze.

– Jezu...

- Musicie państwo zrozumieć... – bąknął dyrektor.
- Boże, ty jesteś ranna! Ktoś cię skaleczył! Kto cię skaleczył!? Gdzie?!

Chciał rozsunąć koc.

Pielęgniarka usiłowała mu przeszkodzić; była silniejsza, niż mógłby przypuszczać.

- Niech się pani nie miesza.
- Pan musi zrozumieć... – powtarzał dyrektor.

Bourne nagłym ruchem odwrócił się do niego. Pod pachami mężczyzny widniały ciemne plamy potu. W gabinecie unosił się stęchły zapach dymu, na pełnej niedopałków popielniczce leżał palący się papieros, inny, wypalony tylko do połowy i zduszony, jeszcze dymił.

- No dobra, do cholery! Niech mi pan powie, co takiego muszę zrozumieć!

Sara zaczęła płakać głośniej.

- Uspokoiliam ją – odezwała się pielęgniarka. – Przez pana znowu zaczęła się bać.
- O właśnie, dobra myśl – podchwycił dyrektor z wymuszonym uśmiechem. – Z całą pewnością osiągniemy więcej, jeśli wszyscy trochę ochłonimy.

- Niby czego miałyby się znowu bać?
- Policjanta – wychlipała Sara.
- Jakiego policjanta?
- Kochanie, spróbuj nam o tym opowiedzieć.
- Och, mamusiu, ten policjant...

– Zrobiliśmy, co w naszej mocy – oświadczył dyrektor. – Proszę, żebyście to państwo zrozumieli. Nie wiem dlaczego, ale w ciągu kilku ostatnich tygodni, kiedy Sara wróciła do szkoły, był tu zawsze jakiś dyżurny policjant. – Zaciągnął się głęboko dymem z papierosa, mrużąc nie uzbrojone w okulary oczy. – Dzisiaj zjawił się ktoś nowy.

- Nie!

– Powiedział mi, że musi zadać Sarze kilka pytań, że zaszło coś nowego i musi ją w związku z tym wypytać. Skąd miałem wiedzieć, co tu się naprawdę dzieje? Nikt mnie o niczym nie informował.

- Chcieliśmy, żeby prowadziła w miarę normalne życie.
- Co takiego?

– Zdawało nam się, że nie możemy trzymać jej cały czas w domu. Zaczynała już wariować. Chcieliśmy, żeby miała kontakt z dziećmi, trochę zabawy, coś do roboty, coś, co pozwoliłoby jej zapomnieć o pewnych sprawach. Gdybyśmy o tym panu opowiedzieli, nie zgodziłby się pan na jej powrót albo też wszystko rozniosłoby się po szkole i dzieci wytykałyby Sarę palcami. Wydawało nam się, że policjant będzie wystarczającą ochroną.

- O czym pan mówi?

– Ten policjant. Niech pan opowie o tym policjancie. Myliłem się.

– Przyszedł dziś rano i zażądał, bym zwolnił Sarę z lekcji. Mówił, że chce jej zadać kilka pytań. – Plamy potu pod pachami zataczały coraz szersze kręgi. – Nie sprzeciwiłem się. Pan rozumie dlaczego, prawda? A później jedna z nauczycielek usłyszała jej krzyki z piwnicy. Sara krwawiła, krzyczała i...

– Gdzie?

– W piwnicy.

– Nie. Gdzie krwawiła? – Ale już znał odpowiedź. Dławiło go w gardle, ale musiał wiedzieć na pewno. Usłyszał, jak dyrektor wyjaśnia, w jaki sposób została zaatakowana i czym musiał posłużyć się policjant, żeby to zrobić. Ogarnęły go gwałtowne mdłości.

– Nie – szepnął. – Nie, nie – powtarzał.

20

Wiózł Sarę do domu na przednim siedzeniu, między sobą a Claire. Wreszcie zatamowali krwawienie; lekarze w szpitalu wybałuszyli na niego oczy, kiedy tłumaczył im, co się stało. Pozszywali ją w miejscach, gdzie ciało zostało rozerwane lufą, zabezpieczyli podpaskami i dali zastrzyk przeciwbólowy. Znów pomyślał o truciznie. Później podali jej krew i chcieli zatrzymać na obserwacji, ale się sprzeciwił:

– Nie ma mowy. Następnym razem zamiast policjanta zjawi się lekarz. Wraca z nami do domu.

Więc teraz, wciśnięta między nich, siedziała, obejmując się ramionami i kurczowo ścisnęła otulający ją koc. Jej buzia miała kolor sproszkowanego szarego cementu.

– Dlaczego, tato? Dlaczego chciał mnie tam zranić?

Musiał to dobrze przemyśleć, zanim jej odpowiedział.

– Kochanie, czy pamiętasz, jak wtedy, kiedy mama nosiła w brzuchu Ethana, spytałaś, skąd się tam wziął? – Ujrzał Ethana sztywnego i bez czucia w trumnie, w grobie. Umilkł. Zorientował się, że zaczął przyciskać pedał gazu, i cofnął nogę. – Pamiętasz, jak myślałaś wtedy, że dziecko zaczyna rosnąć w brzuchu każdej kobiety, gdy osiągnie ona odpowiedni wiek albo gdy wyjdzie za mąż. Pytałaś, bo chciałaś się dowiedzieć, czy tak jest naprawdę.

Mocniej oplotła się ramionami.

– Powiedziałem ci, że to nie tak.

– Reuben, przestań – nakazała Claire.

– Sara zadała mi pytanie i odpowiem jej. – Zwrócił się do córki: – Opowiadałem ci, że mama i ja chcieliśmy być razem, mówiłem, co robiliśmy, żeby mieć Ethana. Hmm,

i dobrze postąpiliśmy. Twoja mama chciała, żebym to robił, ja też tego chciałem. Dzięki temu czuliśmy się bardzo szczęśliwi. To wyjątkowe przeżycie, jeśli ludzie się kochają. A jeśli wszystko dobrze się rozwija i można potem mieć dziecko, ten akt staje się jeszcze wspanialszy.

– Ale dlaczego on chciał mnie tam zranić?

Wyjechał zza zakrętu i nie mógł już dłużej zwlekać z właściwą odpowiedzią.

– Saro, nie wszyscy zawsze będą tak dobrzy wobec ciebie jak my. Są na świecie ludzie, źli ludzie, którzy czerpią przyjemność z tego, że odbierają innym coś bardzo szczególnego, żeby to zniszczyć. Nie wiemy, dlaczego ranienie nas sprawia im taką radość, ale lubią to robić, i już, a my musimy wystrzegać się ich jak ognia.

– Reuben!

– Odpowiem na pytanie do końca. Posłuchaj, Saro. Dlatego właśnie ostrzegaliśmy cię, żebyś nigdy nie brała żadnych cukierków od obcych i nie wsiadała do auta z nieznanymi. I przypominam ci jeszcze raz, żebyś zachowała ostrożność wobec wszystkich, których spotykasz. Mogą okazać się najlepszymi ludźmi pod słońcem, ale mogą też być źli. A takich złych jest wszędzie pełno, nie tylko tych, którzy chcą nas dopaść, ale i innych. Cieszą się, kiedy nas zraniają, kiedy nas okłamują, oszukują, ukradną coś, zniszczą nasze dobre imię. Dlatego, że są zawistni, że...

Skręcił już w swoją ulicę i kiedy zobaczył, co się stało, w pierwszym odruchu chciał gwałtownie przydeptać hamulec, a w drugim dodać gazu, żeby jak najszybciej znaleźć się wśród strażaków. Słyszał syreny nadjeżdżających wozów. Widział grube czarne węże ciągnące się od hydrantu na rogu, przez ulicę, do samego domu. Przyspieszył, przejeżdżając po nich, mijając gapiów, i dojechał do strażaków w błyszczących czarnych pelerynach. Walcząc z ciśnieniem w węzłach, z głośnym szumem wody zlewali dom i garaż.

Języki ognia pełzały po dachu garażu. Były jasnopomarańczowe w kłębach czarnego dymu, który walił w niebo, zlewany silnymi strumieniami wody. Zahamował tak ostro, że Sarę, Claire i jego samego gwałtownie rzuciło do przodu. Zdażył tylko wyciągnąć prawe ramię, żeby uchronić dziecko przed zderzeniem z deską rozdzielczą, i zaraz wyskoczył z auta. Usłyszał krzyki, warkot silników wozów strażackich, coraz bliższe wycie syren. Poczł zapach czarnej, lepkiej sadzy. Osiadała na nim wraz z drobniutką, lekką i chłodną mgiełką, wytwarzaną przez strumienie wody. Był tam też Webster. W szarym garniturze, z rękami w kieszeniach, stał oparty spokojnie o jeden z wozów strażackich.

Spojrzał na Bourne'a i ruszył wolno do niego, raz po raz zerkając na ogień i dym.

– To tylko garaż – powiedział. – Mówią, że dom wyjdzie z tego bez szwanku.

Bourne nie mógł wydusić z siebie słowa. Wiatr zmienił kierunek i przywiał dym

w ich stronę. Przy każdym oddechu parzyło go w nozdrza i gardło. Obserwował jasne języki ognia, które przedarły się przez czarny dym nad garażem. Spojrzał na Claire w samochodzie; przytuliła Sarę. Popatrzył na Webstera.

– Więc jak to zrobili? – wydusił.

– Jeszcze nie wiem. Przyjechałem, kiedy byli już tu strażacy. Zadzwoił jeden z sąsiadów.

– Ktoś ich widział? Podał jakiś rysopis?

– Mój człowiek dopiero to ustala. Prawdę mówiąc, jadąc tu, nic nie wiedziałem o pożarze. Przyjechałem powiedzieć panu, że nauczycielka podała nam rysopis mężczyzny, który zaatakował pańską córkę. Sprawdziliśmy kartoteki i nie znaleźliśmy nikogo zatrudnionego w policji miejskiej, kto by pasował do jej opisu. Nie wiem, jak zdobył mundur, ale to nie mógł być nikt z naszych. – Na jego twarzy i garniturze osiadły duże pląty sadzy. – Co znowu? – spytał. – Zdaje się, że pan mi już nie wierzy.

– Sam nie wiem, komu wierzyć. Mój syn nie żyje, córka poraniona i zmalretowana, dom stoi w ogniu. A mimo to policja nie chce nas chronić.

– Będziemy was chronić, spokojna głowa. Szef przyznał, że nie miał racji. Wyznaczył specjalną drużynę, która nie spuści z was oka.

– Jasne. A jeśli to jeden z waszych pożyczyl komuś ten mundur? A jeśli to właśnie on znajdzie się w tej drużynie?

– No tak, odkrył pan słaby punkt. Ale chyba trudno oczekiwać, że będziemy wysyłać podwójne patrole, żeby jedni policjanci pilnowali drugich.

– A więc znów jestem w punkcie wyjścia. Albo jeszcze dalej.

21

– Widać, gdzie się zaczęło – objaśniał komendant brygady.

Tylna ściana garażu była pośrodku przepalona na wylot, a sadza okalająca dziurę czarniejsza niż w innych miejscach, może z wyjątkiem belek stropowych. Czarny krąg miał nierówne brzegi i promieniste wypustki. Zaczekali, aż strażacy jeszcze raz zleją dymiące, syczące drewno, a potem ostrożnie, omijając kałuże wody i gruz, weszli do środka. Pod podeszwami czuł żar spękanej, mokrej podłogi z cementu. Sparzył sobie nogę o rower Sary, dymiący, z wygiętą ramą i stopionymi oponami. Dławił ich ostry swąd.

– O tutaj – tłumaczył komendant. – Widzi pan, o czym mówię? – Wskazał odłamki szkła na podłodze z tyłu garażu, a potem czarny wzór otaczający wypaloną dziurę.

Chwilę trwało, nim Bourne połapał się, o co chodzi.

– Koktajl Mołotowa – uprzedził go Webster.

Weź butelkę po lemoniady i zmieszaj jedną miarkę płynnego detergentu z dwiema miarkami benzyny. Zakręć i przyklej taśmą tutkę tamponsa. No jasne. Podjechali szybko, wysiedli, zapalili kartonową tulejkę, wrzucili butelkę do garażu. Trafiała w tylną ścianę i rozbiła się. Detergent sprawił, że mieszanina przykleiła się do drewna niczym napalm. Stąd dziura i czarne rozpryski wokół – utrwalony na ścianie ślad po rozbryzgu benzyny.

Najwyraźniej nie tylko o tym myślał, ale i głośno mówił, bo strażak spojrział na niego i spytał:

– A skąd pan tyle o tym wie?

22

Nie miał wyboru – noc musieli spędzić w domu. Jeśli groził im kolejny atak, nie mógł dopuścić, żeby zdarzyło się to w domu przyjaciół czy w jakimś hotelu, gdzie nie znał rytmu dnia i gdzie nic, co ten rytm zakłócało, nie mogło go ostrzec przed niebezpieczeństwem. Czekał z Claire i Sarą w samochodzie, dopóki dowódca oddziału nie upewnił się, że nie grozi już nowy wybuch ognia. Sarę, zbyt obolałą, by sama mogła przejść kilka kroków, musiał wnieść do domu. Claire zrobiła, co mogła, żeby przywrócić mieszkaniu dawny wygląd. Schody i górne piętro tonęły w wodzie. Czerniały ściany upstrzone były mokrymi plamami. Ułożył Sarę na łóżku w ich małżeńskiej sypialni; kiedy strażacy zakończyli akcję, pokój córki wyglądał jak pobożowisko. Z pomocą Claire otworzył okna, ale prawie nie było wiatru, więc gęsty, gryzący swąd dymu wisiał we wszystkich pokojach.

W którymś momencie Claire zniknęła, a kiedy zaczął jej szukać, odkrył, że siedzi w łazience, na opuszczonej klapie sedesu, w mokrych, czarnych po sprzątaniu dżinsach. Miała obwisłą, zmęczoną twarz. Pustym wzrokiem wpatrywała się w wannę.

– Może kąpiel by ci dobrze zrobiła? – zaproponował. – Co ty na to? Nie ruszą się stąd tak natychmiast po pożarze.

– Mnie już nic dobrze nie zrobi, Reuben.

– Przed domem stoi radiowóz, na dole przy telefonie znowu siedzi detektyw. Akurat teraz jesteśmy bezpieczni. Weź kąpiel.

– Nie mam już nawet siły, żeby cię nienawidzić. Jestem za bardzo skonana.

Uśmiechał się, proponując jej kąpiel. Teraz uśmiech zamarł mu na ustach i odrobina chęci działania, jaka w nim jeszcze została, wyparowała bez śladu. Wszystko, na co mógł się zdobyć, to wrócić do sypialni i sprawdzić, jak się czuje Sara. Spała. Po chwili usłyszał szum wody w wannie i mimo wszystko uznał to za dobry znak. Na wielką odmianę nie

miał co liczyć.

O dziewiątej Claire spała już obok Sary, a on pogasił wszędzie światła i snuł się po domu. Wypalił papierosa w towarzystwie detektywa przy telefonie; ogniki papierosów zarzyły się czerwono w ciemności. Poszedł na górę do sypialni i usiłował zasnąć, ale nie mógł znieść gryzącego swędu, więc stanął w otwartym oknie, żeby zebrać myśli i pooddychać świeżym powietrzem.

Już od godziny padał deszcz. Jednostajny, drobny kapuśniaczek. Siąpił na trotuar i cicho szeptał w trawie. Bourne wystawił głowę na zewnątrz i wdychał chłodne powietrze. Deszcz moczył mu włosy i ściekał po karku zimną strużką. Latarnie znów się nie paliły. Z wyjątkiem kilku rozmazanych, dalekich pojedynczych świateł przy końcu ulicy, wszystko tonęło w ciemności i ociekało deszczem.

Latarnie. Usiłował przekonać się w duchu, że mrowienie, które odczuwa w żołądku, to tylko jego rozstrojone nerwy, że nie ma powodu do paniki. Ale coś ciągnęło go na siłę do środka, coś wpychało go do sypialni i w końcu spanikował: cofnął się gwałtownie i uderzył głową w podciągnięte do góry okno. Rozległ się brzęk szkła i w tej samej chwili z mroku buchnęły eksplozje przeraźliwego światła. Trysnęły niczym fajerwerki, niczym błyski i grzmoty burzy, która mogła nadciągnąć z deszczem. Pięć, osiem, dziesięć ryczących błysków; nigdy nie dowiedział się, ile ich było naprawdę. Nieprzerwany strumień ognia bił pomiędzy domów po drugiej stronie ulicy. To były wielkokalibrowe strzelby typu *pump-action*. Rzucił się plackiem na podłogę, na dole dźwięczały szyby. Okno, przy którym stał, wpadło do sypialni, obsypując go kawałkami szkła, śrut grzechotał o przeciwną ścianę.

Claire, oszołomiona i osłupiała, usiadła na łóżku. Przerazona Sara zaczęła krzyczeć. Bourne przesuwał się na czworakach. Serce waliło mu jak młotem, woda z mokrych włosów spływała po plecach lodowatym strumieniem. Następna salwa trafiła w sąsiednie okno, obsypując szkłem matkę i córkę. Claire pisnęła przenikliwie. Wywlokła Sarę z łóżka, pociągnęła za sobą i przygniotła ją do podłogi. Kolejna salwa i jeszcze większy grad pocisków. Szkło. Znów słyhać było brzęk szkła. Sara dostała ataku hysterii.

– Tato! Tato!

Potem wszystko ucichło. Słyszał, jak otwierają się drzwi samochodu, jak mężczyźni wykrzykują coś w mrok. Podniósł się. Drżał. Kryjąc się za ścianą, ostrożnie wyjrzał przez okno. Policjanci. Wysiedli z wozu, rozdzielili się, biegli, rozpryskując wodę w kałużach, biegli przez deszcz pod osłonę dwóch wielkich jodeł przez domem. Webster, pomyślał Bourne. Musi skontaktować się z Websterem. Policjanci na pewno wezwali już pomoc przez radio, ale to bez znaczenia. Musi dopaść Webstera.

Obszedł łóżko, podniósł słuchawkę i kiedy usiłował przypomnieć sobie numer

Webstera, stwierdził, że telefon jest głuchy. Kabel. Kabel został przecięty.

– Zostańcie tu – zwrócił się do Claire i Sary. Już wychodził na korytarz. – Nie. – Zmienił zdanie. – Schowajcie się w łazience. W wannie. Znajdźcie jakąś osłonę.

Nie czekał. Schodząc na dół, słyszał płacz Sary. Potknąwszy się na schodach, omal nie wpadł na detektywa, który odszedł od telefonu i stał po ciemku w drzwiach wejściowych.

– Przecięli kabel telefoniczny – oznajmił Bourne.

– Wiem.

Nagle poczuł na swoim ramieniu twardą kolbę pistoletu policjanta i uświadamiając sobie, że detektyw może być jednym z ludzi Kessa, rzucił się do tyłu. Wpadł na barierkę.

– Spokojnie. Na litość boską, niech pan się tu nie płacze i wraca na górę! – rzucił ze złością detektyw.

– Musze wam pomóc. Niech mi pan powie, co mam robić.

– Wrócić na górę.

Ktoś krzyknął. Ktoś z ulicy.

– Wołają mnie – stwierdził detektyw. Wszedł do salonu, kucnął pod dużym roztrzaskanym oknem i wrzasnął: – W porządku! U mnie wszystko w porządku!

Tamten wykrzykiwał coś w odpowiedzi.

Informował detektywa o czymś, ale Bourne nie rozróżniał słów. Wreszcie usłyszał, jak wracający do hallu detektyw przeklina pod nosem.

– O co chodzi?

– Burdel! – odparł zirytowany policjant – Do naszego wozu też strzelali. Chłopcy uciekli pod świerki, ale jeden z nich oberwał w łeb i teraz tak broczy krwią, że nic nie widzi.

Policjant odblokował zamki i uchylił drzwi wejściowe. Noc była o ton jaśniejsza od ciemności hallu. Wraz z deszczem nadszedł leciutki wiatr, który teraz delikatnym powiewem napełnił dom chłodnym powietrzem.

– Chwileczkę! Co pan robi? – zaniepokoił się Bourne.

– Wychodzę. Muszę go tu sprowadzić.

Bourne wsłuchiwał się w szum kropli deszczu spadających na chodnik.

– Nie – zaprotestował. – Niech pan tu zostanie. Ten drugi go sprowadzi.

– Nie da rady. Jeśli tamci znów zaczną, musimy mieć kogoś, kto będzie nas osłaniał.

– Ale może ich pan osłaniać stąd! Proszę. Nie ma powodu, żeby wychodzić. Niech mnie pan nie zostawia!

– Muszę. Nie jestem tak bardzo na widelcu, bo drzewa mnie zasłaniają. Uda mi się tylko wtedy, kiedy ten drugi będzie w nich walił. A on ma dobrą pozycję.

- Detektyw szerzej otworzył drzwi i Bourne słyszał jego przyspieszony oddech.
- Nie. Proszę... – powiedział i wyciągnął rękę, chwytając detektywa za ramię.
 - Myśli pan, że nie wolałbym tu zostać? Myśli pan, że rwę się do tej jatki na ulicy?

23

I poszedł.

Bourne stał w ciemności przy otwartych drzwiach, wsłuchując się w odgłos szybkich kroków policjanta, najpierw na małym drewnianym ganku, na mokrym chodniku, potem na trawie. Wreszcie nie słyszał już nic oprócz monotonicznie kapiącego deszczu. Rękę, którą usiłował zatrzymać detektywa, wciąż trzymał wyciągniętą przed siebie. Wyobrażał sobie, jak skulony mężczyzna biegnie w stronę jednego ze świerków z palcem na spuście pistoletu, jak rzuca się szczupakiem na mokrą murawę, żeby odszukać rannego kolegę. Dlaczego jeszcze nie nadeszła pomoc? Dlaczego nie nadjeżdżały inne wozy? Dlaczego nie słyszał syren?

Myśli nakładały się na siebie i obejmując minione zdarzenia, zataczały coraz szersze kręgi. Przypominał sobie, jak czekał na karetkę po śmierci Ethana. Pamiętał, że stał prawie w tym samym miejscu, że chodził nerwowo tam i z powrotem, że denerwował się, dlaczego pomoc nie nadchodzi. Trucizna i kot. Ethan. Sara i pożar domu. Telefony. Dlaczego wciąż nie słyszał syren?

Bo Webster by ich nie włączył, żeby nie spłoszyć napastników.

I nagle ogarnął go chłód, który powiał z dworu. Bourne zadrżał, gdy uświadomił sobie, że być może policjanci w wozie nie byli w stanie wezwać posiłków. Może tak bardzo spieszyli się, żeby uciec z samochodu, że nie zdążyli nadać komunikatu? Wstrzymał oddech i drżąc na całym ciele, odliczył do trzech, wyętzając siły, żeby usłyszeć, jak detektyw wlecze rannego po trawie. Zapadli się pod ziemię? Dlaczego to tak długo trwa? Wyobrażał sobie, jak ludzie Kessa podchodzą pod dom, i miał szaloną ochotę zatrzaskać przed nimi drzwi. Nie mógł tego zrobić. Musiał zostawić je otwarte dla policjantów.

Ale gdyby tak ludzie Kessa wdarli się do domu siłą?

Tu i ówdzie zapaliły się światła. Z każdą minutą widział ich coraz więcej. Może teraz odejdą? Może już odeszli? A może nie. Zobaczył błysk ognia po drugiej stronie ulicy, usłyszał huk wystrzału, krzyk, nie wiedział czyj, i nie wytrzymał. Zatrzaskał drzwi i zablokował zamki. Jeden z napastników po drugiej stronie ulicy musiał walić z potężnego szybkostrzelnego sztucera na jelenie, bo śrut nie przebiłby sześciocentymetrowych drzwi, nie ogłuszyłby Bourne'a, nie obrócił go dookoła, rzucając

w ciemność, i Bourne nie poczułby tego straszego bólu, gdy coś rąbnęło go w bark.

Przenikliwy krzyk nie ustawał. Ale tym razem to nie policjant krzyczał. To on. Pozbierał się jakoś i wstał, wspierając się o ścianę łukowatego przejścia do salonu i ściskając pozbawione czucia ramię. I cały czas krzyczał, krzyczał wniebogłosey. Nie zauważył krwi. Nie rozumiał, dlaczego nie ma krwi, i wreszcie dotarło do niego, że nie oberwał pociskiem, tylko odłamkiem drewna. Ale to nic nie zmieniło. Gdy drugi nabój przeleciał z trzaskiem przez zamknięte drzwi, wciąż krzyczał potwornie. W powietrzu fruwały kawałki drewna i ostre drzazgi. Usłyszał kanonadę strzelb, wszystkich naraz, sporadyczne szczeknięcia krótkich pistoletów w odpowiedzi, a potem... potem grzmiały już tylko strzelby. Pistolety umilkły. Czuł, że ogarnia go szaleństwo. Wykończyli policjantów, myślał. Zaraz przyjdą po mnie. Przyjdą po nas wszystkich.

Puścił się biegiem na górę.

Potknął się, chwycił za obolałe ramię, dopadł szczytu schodów i rzucił się do szafy, w której trzymał broń. Po ciemku nie mógł trafić na właściwą półkę. Zapalił światło w korytarzu. Wciąż nie widział broni. Claire. Musiała ją gdzieś przenieść w obawie, żeby Sara jej nie ruszyła. Z sypialni dobiegł go histeryczny płacz córki. Dlaczego nie weszły do łazienki, jak kazał?

– Gdzie broń!? Gdzie położyłaś broń?!

Nareszcie znalazł. Na górnej półce. Pod kocami. Którą wziąć? Strzelba była chyba nieporęczna w strzelaniu na bliską odległość. Więc co? Pistolet czy rewolwer? Jakby w odpowiedzi, przypomniał sobie komentarz Webstera. Równie dobrze może pan od razu palnąć sobie w łeb i zaoszczędzić facetom kłopotu. Zresztą tymi pociskami i tak nie zrobiłby pan nikomu krzywdy.

Chwycił rewolwer, Rugera kaliber 7.62 mm, takiego jak na westernach. Był powolny i przed każdym strzałem trzeba było odwodzić kurek, lecz miał dodatkowy bębenek na pociski tego samego kalibru, ale typu magnum. Za naciśnięciem guzika właściwy bębenek wychodził, a w jego miejsce wsuwał się ten drugi. Naboje magnum przypominały już bardziej dziewiątkę. Nie, nie załatwiały człowieka na amen. Możliwe, że trafiony nie przewróciłby się nawet, ale na pewno by wiedział, że oberwał. A zresztą i tak Bourne nie miał nic innego.

Dopiero wtedy zorientował się, że dłonie ma usmarowane krwią. Przyglądał się im ze zdumieniem. Krew krzepła, zostawiając lepkie ślady na rugerze. Jeszcze raz obejrzał ramię. Dostrzegł tylko rozmazane krwawe smugi na koszuli. To nie ramię krwawiło, to ręce. Przez tę szybę, która posypała się na niego w sypialni. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że się tak skaleczył. Obolałą, puchnącą ręką wciskał do magazynka naboje, wydłubując je niezręcznie z pudełka i rozsypując po podłodze. Dłonie miał nieporadne,

drżące. Wreszcie skończył. Strzały na zewnątrz umilkły. Wykończyli policjantów. Zaraz tu będą.

– Claire! – zawołał, wbiegając do sypialni. – Claire, wstawaj! Uciekamy!

Ale Claire nawet nie drgnęła. Jakby go w ogóle nie słyszała. Na dworze ktoś znów zaczął krzyczeć – tak przeraźliwie, tak wytrwale, tak monotonnie, że Bourne czuł, jak cierpnie na nim skóra. A Claire trzymała Sarę w objęciach, kołysała ją w ramionach, całowała we włosy i w bladym świetle płynącym z korytarza szeptała:

– Panie Boże, tak bardzo żałuję, że Cię obraziłam. Żałuję wszystkich swoich grzechów i gardzę nimi, gdyż boję się utraty wstępu do niebios i mąk wieczystego potępienia, lecz nade wszystko inne...

Sara wciąż płakała, więc krzyknął:

– Zamknijcie się i wstańcie!

– ...żałuję, że obraziłam Ciebie, panie Boże, który wszak jesteś samym dobrem i zasługujesz na całą moją miłość. Obiecuję, że z Twoją łaską...

– Dość. Wychodzimy – rozkazał. Przyciągnął Claire za ramię i potrząsnął. – Słyszysz? Wychodzimy!

Zbite szkło zasłało podłogę i wyglądało jak odłamki lodu. Uderzenie w twarz było tak bolesne i niespodziewane, że przez chwilę wszystko widział podwójnie, a oczy zaszyły mu łzami. Zamrugał kilka razy. Zrobił krok w tył i potrząsnął głową, żeby jaśniej myśleć.

– Nie mów mi, żebym się zamknęła – warknęła Claire. – Przez ciebie zaraz umrzemy.

– Właśnie. Jeśli tu zostaniemy, umrzemy na pewno.

Niezręcznie wziął Sarę na ręce – jej ciepłe łzy zmoczyły mu rękaw koszuli – i wyniósł z sypialni. Potem przycisnął córkę do siebie, zszedł po schodach i uciekając od światła w obawie przed kolejnymi strzałami, przebiegł kłusem obok frontowych drzwi. Do kuchni, do tylnego wyjścia. Boże, ile ona waży? Była tak ciężka, że po trudnym zejściu schodami ledwie mógł ustać, nie wypuszczając jej z ramion. W mroku kuchni nadział się na róg kuchenki i uwolniwszy Sarę, krzywiąc się, rozcierał obolałe miejsce. Claire nie zeszła. Na pewno została w sypialni. Myślał, że po tym, jak dała mu w twarz, otrzeźwieje. Mylił się.

Nie, jednak nie. Wyłoniła się z ciemności niczym cień.

– A jeśli kilku z nich zaszło dom od tyłu?

Ale o tym pomyślał już wcześniej. Był tylko jeden sposób, żeby się przekonać: musiał wyjść pierwszy. Odsunął zasuwę i chwycił gałkę u drzwi. Rewolwer przeszkadzał mu i ciążył w dłoni.

Znów przypomniał sobie słowa Webstera. Wszystko wygląda inaczej niż

w książkach. To się dzieje naprawdę... Jeśli zechce pan policzyć się z nimi na własną rękę, może się okazać, że pisać o tym, jak zastrzelić człowieka, to coś innego, niż mieć w sobie parę, żeby dobrze wymierzyć i pociągnąć za spust Nie mógł obrócić gałki.

Muszę.

Nie mogę!

24

Krzyk od ulicy przesądził sprawę. Ucichł. W przedłużającej się ciszy Bourne wyobrażał sobie napastników szturmujących frontowe drzwi. Żołądek go palił, ręce drżały. Mało nie wyrwał gałki. „Zarygluj za mną!” – przykazała Claire. Pchnął lekkie siatkowe drzwi i pokonawszy kilkoma susami podwórko od strony kuchni, runął szczupakiem w rosnące z boku krzaki.

Gdy padał na ziemię, gałęzie podrapały mu twarz; w lepkim błocie wykręcił sobie obolałe ramię, cały przemókł od deszczu. I dopiero w tym momencie olśniło go, że ktoś tam się może ukrywać.

Nie widział nikogo.

Czołgając się w rozmięklej brei, zaczął przeszukiwać krzaki. Webster miał rację. Bourne nie wiedział, co robi. Tyle razy opisywał takie sytuacje, wyobrażał sobie, że jest ich bohaterem, tymczasem, proszę. Robił za dużo hałasu, zbyt gwałtownie, zbyt głośno sapał, łamał z trzaskiem gałęzie, szeleścił i ślizgał się niezgrabnie. Dla kogoś, kto czaił się w pobliżu, byłby łatwym celem.

Ta myśl dodała mu ducha. Skoro tak kiepsko się spisywał, właściwie powinien już nie żyć.

Chyba że czekali na Sarę i Claire.

Nie mogę o tym myśleć.

Widział niewyraźny zarys ogródka; mogli się ukryć wszędzie. Były tam drzewa i kryjówki w krzakach, zestaw ogrodowych zabawek z huśtawką dla Sary. Z tyłu dostrzegął biały płot i ciemny teren ogródka sąsiedniej posesji. Strzały powinny obudzić mieszkających tam ludzi. Dlaczego nie zapalili chociaż jednej lampy? Widział refleksy światła dochodzące z dwóch domów po lewej i prawej stronie; lśniły na zroszonej deszczem murawie. Ale dom z tyłu tonął w ciemnościach. Pomyślał, że sąsiedzi wyjechali.

A może ludzie Kessa wzięli ich na zakładników? Przeze mnie.

Nie, o tym też nie mogę myśleć. Naprzód.

Wypełzył z krzaków i przeszedł w deszczu do tych, które rosły po drugiej stronie

kuchennych schodków. Ramię bolało go straszliwie, musiał przerzucić rewolwer do lewej dłoni. Nieważne, że z lewej ręki strzelał gorzej. Gdyby nadział się tu na jednego z nich, i tak nie miałby szans wystrzelić. Pomysł, że zdoła kogoś podejść, zakrawał na ponury dowcip. Nie miał o tym zielonego pojęcia, nie wiedział nawet, czy wejść głęboko w rząd krzewów, czy skradać się bokiem, czy zrobić jeszcze coś innego. Oszukiwał się tylko. Zdecydował, że pójdzie samym obrzeżem. Wystawiał się na cel, żeby sprawdzić, czy Sara i Claire będą miały wolną drogę. Znow coś go szarpnęło za rękaw. Odwrócił się, ale nie zobaczył nikogo. Deszcz przybierał na sile. Krople uderzały coraz mocniej, przemaczając go do suchej nitki. Zimne ubranie lepiło się do ciała. Drżał. Spojrzał w stronę krzewów, przykucnął i otarł zalewane wodą oczy, żeby sprawdzić, czy nikogo tam nie ma. Doszedł do bocznej ściany domu. Nie, nie widział nikogo.

Odetchnął. Trząśł się tak bardzo, że nie mógł zrobić kroku.

Ruszaj, poganiał się w duchu. Jeszcze kawałek. Dalej, dalej! Jeszcze tylko trochę, już niedługo.

Ale nawet nie drgnął..

No, jazda! Szybko! Sprawdź płot od tyłu, zabieraj Claire i Sarę, i w nogi!

Jedynie perspektywa, że wkrótce przeskoczą przez płot i znikną w jakimś bezpiecznym miejscu, zmusiła go do oderwania nóg od ziemi. Mniej więcej w połowie drogi do płotu dostrzegł jakiś cień. Z prawej strony. Za klonem. Ciemny zarys pnia rozrósł się podwójnie. Oderwała się od niego nie znana postać i ktoś wrzasnął:

– Stój, do cholery!

Bourne rzucił się w panice w stronę domu, ale mokra, śliska trawa uciekła mu spod nóg. Upadł twarzą w rozmokłą murawę. Próbował wstać, lecz nogi rozjechały się pod nim i znow upadł.

– Cholera jasna, stój! – usłyszał za plecami, świst kul zapędził go w głąb szpaleru krzaków. Było ich trzech. Kule latały mu nad głową i wbijały się w drewnianą ścianę domu.

– Reuben! – doszedł go z kuchni krzyk Claire.

Cicho! Zganił ją w myślach. Wpełznął jeszcze głębiej w krzaki i trzymając głowę nisko nad ziemią, wymierzył i zaczął strzelać. Oddał jeden, dwa, trzy, cztery... cztery szybkie strzały, przed każdym naciśnięciem spustu lekko przesuwał lufę rewolweru. Cień zniknął i Bourne nie wiedział już, gdzie celować. Cisza. Tylko miarowe bębnienie deszczu. Na ulicy jacyś ludzie zaczęli krzyczeć; z oddali nadjeżdżały wozy na syrenach. Tak, słyszał przytłumiony ryk syren. Jeszcze słaby. Ale nareszcie jechali.

– Reuben! – wrzasnęła w kuchni Claire.

Zamknij się, pomyślał. Nie otwieraj drzwi. Ale nie mógł się odezwać, żeby nie

ściągnąć na siebie ognia. I wtedy, gdzieś z prawej strony, usłyszał jęk. Ale nie wiedział, skąd dokładnie dochodzi, więc nie strzelił. Zdziwiło go to. To, że w ogóle strzelał, że gotów był strzelić raz jeszcze. Zatem Webster chyba nie miał racji. Syreny wyły coraz bliżej, coraz głośniej, a jęk nie ustawał. Był chrapliwy, pełen wysiłku, dziwnie bulgoczący, jakby ten ktoś oberwał w gardło.

Uświadomił sobie, że tak naprawdę to krzaki nie stanowią żadnej ochrony. Jeśli na niego czyhali, musieli widzieć, jak pełźnie pod gałęziami. Dlaczego nikt nie puścił serii w krzewy? Dlaczego nikt go jeszcze nie załatwił?

Bo nikogo już tam nie było.

Znów jęk. I mokry charkot. Zaczął się czołgać w stronę klonu, a słysząc, że ktoś otwiera z tyłu drzwi, wrzasnął:

– Zamknij! – Odczekał. – Zamknij te cholerne drzwi!

Ten, kto je otworzył, usłuchał rozkazu.

Bourne kucnął pod klonem i w rabatce przy płocie ujrzał jęczącego mężczyznę. Leżał na wznak i mrugał, spoglądając w niebo, a po brodzie spływała mu ciemna strużka wyciekająca z ust. Wyciągał rękę w stronę leżącego w trawie rewolweru, więc Bourne szybko podniósł broń z ziemi i dopiero potem przysunął się bliżej. Magnum. Lepszy niż jego własny. Trzasnął skrzydełkiem bezpiecznika i skierował lufę w skroń mężczyzny, ale ten przestał już mrugać.

Deszcz przypuścił prawdziwy atak, siekł niemiłosiernie. Syreny wyły coraz głośniej. Bourne wstał i ślizgając się, popędził do domu. Wbiegł po schodkach i otworzył drzwi.

– Idziemy!

– Nic ci się nie stało? – spytała Claire.

– Nic. Idziemy!

– Ale syreny! Już jadą! Jesteśmy bezpieczni! Nadchodzi pomoc!

– Wiejemy stąd. Ufałem tylko Websterowi i też nie bez zastrzeżeń. Będziemy bezpieczni dopiero wtedy, kiedy zaszyjemy się w jakimś miejscu, o którym nikt nie będzie wiedział. Nawet policja. Nikt.

Czuł, że żona przygląda mu się w ciemności.

– Claire, chciałbym, żebyśmy mieli inne wyjście. Nie możemy tu zostać. Raz już tu byli. Nie później niż za pół roku przyjdą znowu. Jedyne, co nam zostało... – nie mógł z siebie tego wydusić i nie wiedział, dlaczego nagle zaczął płakać – to zaszyć się gdzieś i... ukryć. – Ostatnie słowo zabrzmiało jak szloch. Otarł oczy, wziął Sarę na rękę i szedł kuchennymi schodkami na deszcz.

Na ulicy przed domem z piskiem opon hamowały radiowozy.

– Nie chcę stąd odchodzić, Reuben – odezwała się z tyłu Claire. Wszystko było takie

skomplikowane. Ale zrozumiał, co chciała powiedzieć. Pójdzie z nim. Nie powiedziała, że nie. Ale nie chciała.

– Wiem – odparł, jeszcze raz rzucając okiem na dom. – Chryste, ja też nie chcę.

A potem szli w deszczu przez ogródek; słyszał jeszcze, jak ktoś łomocze do drzwi frontowych. Podał Sarę matce, przesadził ogrodzenie i znów wziął ją na ręce, gdy Claire przechodziła przez płot. Ostrożnie skradał się przez podwórko sąsiada.

Rozejrzał się po ulicy. Sara, przemoczona do suchej nitki, płakała mu na piersi. Na języku czuł sól własnych łez i deszczu. Przytulając córkę do siebie, ciężko przebiegł na drugą stronę jezdni. Claire biegła tuż obok. Dopiero kiedy minęli następny dom i weszli na małe podwórko od strony kuchni, doszedł do wniosku, że nikt ich nie śledzi.

Część druga

– Czy to już, tato?

– Nie, kochanie. Nasz dom stoi za tą górką.

Szli na południe ubitą drogą wiodącą równolegle do łańcucha wzgórz: on, Claire i Sara. Na lewo rozciągały się płaskie tereny trawiastych łąk; na prawo strome zbocza gęsto porośnięte żółtymi krzewami derenia, osikami i topolami, które rosły pasami coraz wyżej i wyżej, aż do iglastych drzew. Dalej, nad sosnami i świerkami, wznosiły się wystrzępione szczyty w śnieżnych czapach. Popołudnie było słoneczne, ciepłe, w sam raz na miły spacer. Bourne wyciągnął rękę, żeby dotknąć zwisających nisko gałęzi.

W końcu zdecydował się pójść na rozmowę z pośrednikiem sprzedaży i wynajmu – domów. Sam. Nawet na moment nie zapomniał, że ktoś może ich śledzić. Doszedł do wniosku, że cała trójka – mężczyzna, kobieta i mała dziewczynka – łatwo wpada w oko, że szybko ich rozpoznają i wytropią. Istniało co prawda ryzyko, że pośrednik i tak go zapamięta, ale tego spotkania nie dało się w żaden sposób uniknąć. Poza tym Bourne miał teraz brodę i nie posługiwał się swoim nazwiskiem. Jedyne prawdziwe niebezpieczeństwo wiązało się z faktem, że kiedy pośrednik ujrzy gotówkę, w dodatku w samych dwudziestkach, nabierze podejrzeń. Dlatego Bourne postanowił udać, że wynajmuje dom tylko na sezon jesiennych polowań. Dzięki temu z początkiem każdego miesiąca będzie mógł płacić z góry, gotówką, i facet nie powinien się temu zbyt dziwić. W grę wchodziły zaledwie trzy domy. Bourne gotów był wziąć pierwszy z brzegu, ale nie chciał sprawiać wrażenia, że mu się spieszy, i zanim wrócili do biura, by spisać umowę i rozliczyć finanse, pojechał z agentem obejrzeć jeszcze dwa pozostałe.

– To wyjątkowe miejsce, panie Whittaker – zapewniał pośrednik. – Nie wiem, dlaczego do tej pory nikt go nie wynajął. Z całą pewnością będzie pan zadowolony. A tak przy okazji, to co pana interesuje?

– Słucham?

– Myślę o polowaniu. Na co pan poluje?

– Ach... Na jelenie. Dawniej polowałem na daniela, ale od jakiegoś czasu przymierzam się do czegoś większego.

– Świetnie pana rozumiem. Mam znajomego, który ugania się wyłącznie za łosiami, ale dzisiaj nie ma ich już zbyt wiele i trzeba zapisywać się na losowania, jak na loterii. Wyciągają kilka nazwisk, ale on ciągle przegrywa.

– Właśnie dlatego jest ich coraz mniej.

– Przepraszam?

– Nie, nie, nic takiego – odparł Bourne.

Potem poszedł za miasto, do skalnej pieczary, gdzie zostawił Claire i Sarę. Kupili chlebaki, zapasy żywności i ruszyli w drogę do nowego domu. I właśnie teraz, pięć mil dalej, wychodzili zza zakrętu i wkraczali na ukrytą w zagajniku drogę z wyżłobionymi koleinami, między którymi rosła wysoka, zakurzona trawa. Trzydzieści metrów dalej lasek kończył się i przechodził w zbocze, gdzie hulały wiatry i gdzie nie rosło nic poza trawą, spomiędzy której tu i ówdzie wystawały kamienie i kępki bylicy. Stanęli na chwilę, wdychając świeże, czyste powietrze jesiennego popołudnia i rozkoszując się przygrzewającym słońcem.

– I właśnie o tym zapomnieliśmy – stwierdził Bourne. – O jakimś nakryciu głowy, tyle godzin na słońcu to jakby dopraszać się o porażenie.

– Ale gdzie to jest, tato? Nie widzę żadnego domu.

– Już za chwilę zobaczysz, kochanie. Nie bój się, na pewno ci się spodoba.

Dobrze by było, pomyślał. Bo to wszystko, co możemy zdobyć. Nic lepszego nie dostaniemy.

Znów ruszyli przed siebie. Tym razem szło im gorzej, bo stok był stromy. Sapali ciężko, wzniecali tumany kurzu, a pod sam koniec wspinaczki Bourne pomagał Sarze. Nagle Claire jęknęła:

– Och, Reuben!

Nie wiedział, jak ma to rozumieć. Była tak szczęśliwa? Tak zawiedziona? O co szło?

– Podoba ci się?

– Szalenie!

Poczuł się dumny. Chałupa stała na równinie za zboczem pagórka, ledwie widoczna z drogi. Piętrowy dom na mocnym fundamencie z grubych kamieni, o ścianach z bali dokładnie uszczelnionych zaprawą. Do wejścia prowadził nieduży ganek, przed domem była studnia, na dachu zaś – a to ci dopiero! – maleńka wieżyczka. Po obu stronach frontowych drzwi widniały okna, a każde z nich składało się z mozaiki małych szybek. Na lewo od domu stała komórka. Wyłożona kamieniami ścieżka prawie zarosła wysoką trawą. Sara już biegła przez nią do studni, już szarpała pokrywę, nachylała się nad cembrowiną, zaglądała w dół.

– Uważaj, kochanie – ostrzegła Claire.

– Tam jest woda!

– Pewnie, że jest – odparł. – W dodatku badana i zdatna do picia. Dach nie przecieka. Kominiek dobrze ciągnie. W kuchni stoi stary żelazny piecyk. Możemy tu mieszkać cały rok i niczego nam nie zabraknie. Podoba ci się? – zapytał Claire. – Naprawdę ci się podoba?

Odwróciła się, by popatrzeć na trawiasty stok, na zagajnik, na drogę, na cały

roztaczający się szeroko widok. Wyciągnęła ramiona, spojrzała w jasnoblękitne niebo, a potem z uśmiechem na dom.

– Tak, jest taki jak trzeba. Będzie nam tu dobrze. – I po raz pierwszy od śmierci Ethana na krótko objęła męża.

Odsunęła się od niego i zarośniętą ścieżką szybko odeszła w stronę domu.

– Jedyna rzecz, która mi się tu nie podoba, to te drzewa za domem! – zawołał za nią.
– Zbocze z tej strony jest wprost znakomite. Będziemy widzieć wszystkich jak na dłoni. Ale te drzewa. Mogą je wykorzystać jako dobrą osłonę.

Nie słuchała go. Stała już w drzwiach i usiłowała przekreślić gałkę.

– Nie mogę otworzyć! Zacięło się!

– Spróbuj tym – zaproponował podchodząc bliżej. Podał jej klucz.

Drzwi stanęły otworem. Owionął ich mocny zapach stęchlizny. Claire gibkim ruchem weszła do środka. Zatrzymała się na moment, by obrzucić spojrzeniem zakurzone pokrowce na meblach, liście w palenisku kominka, pajęczyny w rogach, a potem... Potem zaczęła odsuwać zasłony, otwierać okna, wpuszczać do domu słońce. Szła właśnie w lewo, do pokoju na tyłach domu, kiedy nagle o czymś sobie przypomniał.

– Sara. Gdzie jest Sara?

Przy studni jej nie było.

Zszedł z ganku i sprawdził z boku domu. Komórka. Sara otworzyła już drzwi i zaglądała do środka.

– Tato, tam jest takie śmieszne siedzenie. Z dziurą w środku.

– Oczywiście. Bo to jest wygodka.

– Wy...co?

– Tam się siada, żeby się załatwić.

– Naprawdę?

Tak. Tak się to dawniej robiło.

– A jak pada śnieg i jest zimno? – Sara nie mogła się nadziwić.

– Szybko się stamtąd wychodzi.

Uśmiechnął się. Córka zaczęła chichotać i nie mogła przestać.

– Chodźmy – zaproponował. – Zobaczmy, co robi mama.

Claire obejrzała już pokój po lewej stronie i kiedy weszli do domu, rozglądała się właśnie po kuchni. Podłoga była z gładkiego kamienia. Pośrodku stał duży, solidny drewniany stół, wzdłuż całej ściany kredensy, pod oknem umieszczono nie skanalizowany zlew, a naprzeciwko ośmiofajerkowy piec do gotowania. Przeszła do salonu, zakasała rękawy i zaczęła zdejmować z mebli pokrowce, wznecając przy tym tumany stęchłego kurzu.

– I co? – zapytał.

– Dobrze – odparła. – Nie wiem, co tam sobie zaplanowałeś, ale kiedy będę ogarniać ten bałagan, przyniesiesz wodę do termy i podgrzejesz ją, żeby mogła potem wziąć najdłuższą na świecie gorącą kąpiel. Aha, i jeszcze jedno.

– Co takiego? Jestem do twojej dyspozycji.

– Jak tylko uporasz się z termą, wyjmij tę butelkę z szarej torby z zakupami. Zrób sobie drinka, usiądź i pomyśl, co chciałbyś zjeść na kolację.

– Spaghetti! – zawołała Sara.

– Zgoda, spaghetti – odpowiedział.

Spaghetti było z puszki. Musiało być z puszki, bo kiedy Bourne oglądał dom z pośrednikiem, zauważył, że w chacie nie ma lodówki. Bo i jakim sposobem? Bez prądu? Był za to specjalny schowek i kiedy nadciągały śniegi, kiedy mróz ścinał lodem okoliczne strumienie, mogli przechowywać w nim mięso. Tymczasem kupił puszki. Na wszelki wypadek.

Przyniósł też drewno ze sterty przy tylnej ścianie domu, żeby zagrzać wodę w termie i rozpałi w piecu. Tego wieczoru zasiedli przy dużym kuchennym stole oświetlonym stojącą pośrodku lampą naftową, jedli spaghetti i mielonkę z puszki, polane gęsto ketchupem, oraz chleb, którym zgarniali do czysta resztki sosu. Nawet Claire jadła z apetytem, choć nigdy nie lubiła gotowego spaghetti. On sam zgłodniał tak strasznie, że patrząc na dymiący talerz nie mógł się powstrzymać, i choć wiedział, że jedzenie jest jeszcze za gorące, włożył w usta okręcony makaronem widelec, parząc podniebienie.

– Boże... – Westchnął uszczęśliwiony. – Dobry Boże...

Zanim przypomniał sobie o chlebie, zdążył wylizać do czysta cały talerz.

Nagrzali trochę wody, zmyli naczynia i przeszli do salonu, gdzie opadli na dwa krzesła i kanapę. Nalał sobie kolejnego drinka, rozkoszując się miłym zapachem drewna bijącym z kuchennego pieca.

– Tato, jak długo tu zostaniemy? – spytała wyciągnięta na kanapie Sara.

– Nie wiem. Chyba tu przezimujemy. Jeśli nie będzie za zimno. Jeszcze o tym nie myślałem. Dlaczego pytasz? Boisz się, że ci się tutaj nie spodoba?

– Nie. Myślałam tylko, czy będziemy mogli zjeżdżać z górki na sankach, jak będzie śnieg?

– Na pewno – uspokoił ją. – Nic się nie martw. Będziemy tu robić wiele ciekawych rzeczy.

Walczyła z sennością.

– Chyba czas do łóżka, Saro.

– Jeszcze nie. Chcę zostać z wami.

– Tu nie będziesz mogła zasnąć. Chodź, chodź. Jutro mamy pracowity dzień. Pomożesz mi ściąć tę wysoką trawę przed domem.

– Nie chcę. Nie chcę do łóżka.

– Będziesz spała za ścianą, w sąsiednim pokoju. Nie bój się, nie zostaniesz sama na noc. Niedługo położymy się obok ciebie.

Wstał i podszedł do niej.

– No chodź już.

Nie drgnęła, ale też nie stawiała oporu, kiedy brał ją na rękę i niósł do sąsiedniego pokoju. Przykryte grubą kołdrą łóżko było długie i szerokie; wygięte metalowe esy-floresy tworzyły wezglowie. Sara nie miała piżamy, ale kazał jej zdjąć przynajmniej skarpetki. Potem opatulił ją ciepło, ucałował i poszedł zamknąć okno. Wyjrzał na zewnątrz, ale w ciemności nic nie zobaczył.

– Tato?

Odwrócił się.

– Zostawisz tu światło?

Zapadając się w miękkim łóżku, wyglądała znad brzegu kołdry.

– Oczywiście – obiecał. – Na razie wszyscy czujemy się tu obco. To naturalne, że chcesz mieć jasno w pokoju.

Zdjął szklaną osłonę z lampy naftowej i odłożył ją na stół. Trzasnął zapalką, przytknął ją do knotu, a potem zmniejszył płomień pokrętłem, aż światło stało się żółte i zamglone.

– Gdybyś musiała w nocy pójść do łazienki, zbudź mnie, pójdziemy razem – powiedział i nachylił się, żeby ją jeszcze raz cmoknąć na dobranoc. Kiwnęła głową, a on wyszedł, zostawiając niewielką szparę w drzwiach.

Claire patrzyła przez północno-wschodnie okno od frontu.

– Widać światła miasteczka – zauważyła.

Właściwie była to poświata, łagodna luna w dali; zobaczył ją, podchodząc do żony. Przez chwilę stali w milczeniu i zupełnie bezwiednie, Bourne otoczył Claire ramieniem.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział do siebie.

– Na pewno – odparła.

Ale nie wiedział, czy wierzyła w to, co mówi. Oparła się o niego, dotykając biustem jego piersi, a on odgarnął jej włosy i pocałował w kark.

– A Sara? Usłyszysz.

– Będziemy cicho.

Później siedział w salonie i spoglądając przez okno w stronę dalekich świateł miasta w mroku nocy, rozmyślał, że gdyby ktoś chciał ich tu zaskoczyć, wystarczyło, żeby

przyczał się w ciemności i zaczekał, aż któreś z nich pójdzie do wygodki, albo żeby wpadł do środka, kiedy kochali się na podłodze. Nie mieliby żadnych szans.

2

Ma pan konie na sprzedaż?

– Może i mam. To zależy – odparł starzec.

– Od czego?

– Widzi mi się, że od różnych rzeczy. Do czego panu potrzebne, czy pan się na nich zna, no i od tego, ile grosza chce pan wydać.

Stał na spalonej słońcem ziemi na tyłach ranczerskiego domu i patrzył na starego człowieka, który obserwował go zza brudnych siatkowych drzwi. Długo rozważał, dokąd się udać: czy przyjść tutaj, na rancho niedaleko północnego krańca miasteczka, czy odwiedzić dwa inne, od strony południowej. Na wszelki wypadek wybrał południowe, leżące dalej od miasta, ale i tak skierowano go tutaj. Dom był zgrzybiały i przechylony na bok, okna brudne, grządki usłane zeschniętymi chwastami.

Mężczyzna wyszedł zza drzwi i dopiero wtedy Bourne spostrzegł, że stary coś przeżuwa.

– Przepraszam, nie chciałem panu przeszkadzać w obiedzie.

– Nie szkodzi. I tak już prawie skończyłem.

Był ubrany w kowbojskie buty, spłowiałe dżinsy i splamioną potem dżinsową koszulę roboczą, swobodnie wyrzuconą na wierzch. Garbił się, skóra pod brodą zwiślała mu jak worek, ale zawinięte rękawy odsłaniały twarde mięśnie ramion.

– No więc co z tymi końmi? – zapytał ranczer.

– Potrzebne mi są na wyprawy w góry. Chcę trochę zapolować.

– Ile panu trzeba?

– Trzy. Jeden dojazdy, dwa juczne.

– Sam pan chodzi w góry?

– Nieraz to robiłem.

– Jak pan chce. Ale konie to nie gołębie, wie pan. W razie kłopotów, nie przylecą tu z wiadomością.

Stary ruszył przed siebie. Bourne odwrócił się twarzą do słońca i poszedł za nim w stronę stajni, której drewniane ściany były równie zniszczone i zmurszałe, jak dom. Wybieg dla koni znajdował się na jej tyłach. Ujrzał w nim sześć koni, żłób i koryto z wodą. Mrużąc oczy, przyglądał się koniom pod słońce tak długo, dopóki mógł wytrzymać, a potem, dla odpoczynku, przeniósł wzrok na zanieczyszczone szumowinami

lustro wody w korycie.

– No i są konie – odezwał się stary; wciąż musiał mieć coś w ustach, bo znowu zaczął przeżuwać. – Więcej nie mam, bo i po co? Dzierżawię ziemię facetowi przy końcu drogi i zostawiłem sobie kilka sztuk, żeby czymś zająć ręce.

– To mi właśnie powiedział. Mówił też, że może zechce pan kilka odstąpić.

– Może. Pan się zna na koniach? – Opierał się o ogrodzenie, patrząc na zwierzęta.

– Trochę.

– Niech pan pokaże trzy najlepsze.

Aha, więc o to chodzi, pomyślał Bourne. Stary nie miał nic przeciwko sprzedaniu kilku sztuk, a nawet jeśli miał, był skłonny rozstać się z nimi, tyle tylko, że nie chciał oddawać ich byle komu. Należało pomyślnie przejść test. Ten sprawdzian miał być swego rodzaju listem uwierzytelniającym.

Kiedy stanęli przy ogrodzeniu, konie podniosły łby znad trawy i zaczęły ich obserwować. Same klacze: trzy gniade, kasztanka, płowa i srokata. Niskie, krępe, bez grama tłuszczu, miały duże, solidne zady koni pociągowych. Z wyjątkiem srokatej o małej głowie – ta była nawet niższa, prawie karłowata, cienka w pęcinach.

Przesadził deski ogrodzenia i wylądował na wybiegu. Dał im czas, żeby obejrzały go sobie dokładniej, i podszedł bliżej, podsuwając rękę pod chrapy płowej. Przez chwilę nie reagowała, a potem wcisnęła pysk w jego otwartą dłoń i ruszając chrapami, pocierała nimi o wnętrze jego dłoni, jakby szukała cukru czy jabłka. Zerknął na pozostałe. Dwie – jedna z gniadych i kasztanka – powoli zatoczyły krąg i zaszły go od lewej. Reszta, wyraźnie zaciekawiona, stała w pobliżu. Musnął łeb płowej, poklepał szyję. Cofnął się o krok i przesunawszy ręką wzdłuż jej boku, uderzył w zad, zachęcając do biegu. Dwie stały niedaleko i obserwowały. Kiedy klepnął srokata, dwie gniade poszły w jej ślady. Gniada z lewej i kasztanka też do nich dołączyły. Biegły wzdłuż ogrodzenia. Bourne wrócił do starego i oparł się o płot, żeby je dobrze obejrzeć.

3

Nie kłamał mówiąc, że trochę się zna na koniach, ale też nie powiedział całej prawdy. Znał się bardziej niż trochę i znacznie mniej niż dobrze – to byłaby najwłaściwsza odpowiedź. Jedyne kontakty z końmi i jego jedyne z nimi doświadczenia wiązały się z lekcjami jazdy, które brał w ramach przygotowywania materiału do książki. Wiedzę teoretyczną czerpał z podręczników, które czytał z tą samą intencją; z nich poznał różne rasy i maści, z nich wyczytał, jak się zachowywały i czym je należało karmić. I jeśli w jego książce wypadło to realistycznie, to głównie dzięki teorii, a tylko

w niewielkim stopniu dzięki praktyce. Teraz nadszedł czas, powiedział sobie w duchu, żeby pokazać, jak dobrze wykułeś lekcję, bracie.

– Płowa jest ślepa na jedno oko – oświadczył. – Ale nie umiem powiedzieć, czy oślepla po jakimś wypadku, czy może to katarakta, która rozwinię się też w drugim.

– Urodziła się półślepa, ale jakoś nie mogłem jej zastrzelić. Kiedyś odwiedzały mnie tu wnuki i trochę na niej jeździły.

– Jedna z gniadych ma pękniętą podkowę na prawym przednim kopycie, ale to żadna sprawa, szybko można temu zaradzić. Dwie pozostałe gniade wyglądają nie najgorzej, choć są trochę leciwe i przy cięższej pracy wytrzymają najwyżej rok, może dwa lata. Ale z kasztanką jest chyba krucho. W górnym odcinku kości nadpęcinowej widzę jakieś zgrubienie, które wcale mi się nie podoba.

– Wapń się odkłada.

– Nie sędzę. Co mówi weterynarz?

– Że wapń się odkłada.

– Dobra. Moim zdaniem ona się w to miejsce kopie. Biegnie i się tam kopie. I jeśli nie przestanie, któregoś dnia może się nieodwracalnie okaleczyć. Nie wiem, co ze srokata: czy jest chora i dlatego tak marnie wygląda, czy taka już jej natura. Tu byłbym ostrożny.

– No więc, jak pan je w końcu ocenia?

– Trzy gniade są niewątpliwie najlepsze. Z resztą też można by sobie poradzić, ale trzeba wiedzieć jak. I wie pan co? Myślę, że za rok tej kasztanki już bym tu nie zobaczył i że ze srokata trzeba bardzo uważać. Jeżeli o mnie chodzi, wziąłbym te trzy gniadoszki, o ile zdecyduje się pan na sprzedaż.

– O ile się zdecyduję. Dwa juczne... Musi pan zabierać sporo bagażu.

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Jeden będzie niósł bagaż. Drugi obrok i owies.

– Taa... Ja też tak zawsze robię. Odnajmę je panu. Jak tylko sezon się skończy i spadnie dużo śniegu, i tak nie będą już panu potrzebne. Niech pan je wynajmie. Zaoszczędzi pan trochę grosza.

Znowu pokręcił głową.

– Jak wyjdę w góry i coś się którejś z nich stanie, muszę wiedzieć, że strzelam do swojego konia, a nie do pańskiego. Nie chcę mieć uczucia, że pan mi zagląda przez ramię i pilnuje swojej własności. A jak przyjdzie pora, że nie będą mi już potrzebne, odsprzedam je panu z powrotem. Za mniejsze pieniądze, rzecz jasna. Różnica w cenie wyniesie tyle, ile kosztowałby wynajem koni, a ja będę miał poczucie, że należą do mnie.

Stary zamyślił się.

– Nieźle – stwierdził, znowu coś przeżuając. – Nie słyszałem jeszcze tak zmyślnej kombinacji. Całkiem nieźle...

– No to jak? Dogadaliśmy się?

– Niezupełnie. Musimy coś jeszcze omówić.

– Co takiego?

– Ile forsy pan za nie wyłoży. Lubi pan domową czystą?

– Nigdy nie próbowałem.

– O, na pewno będzie panu smakować. Na pewno. Chodźmy do środka i obgadamy wszystko przy butelce. Wypijemy szklaneczkę. A może i dwie.

Zauważył ich w tym samym momencie, kiedy oni dostrzegli jego. Z chlebakiem na ramieniu wychodził ze sklepu metalowego. Kupił właśnie pas do magnum, do rewolweru, który zabrał martwemu facetowi z ogródka za domem. Rewolwer i tak był w kowbojskim stylu, więc gładki skórzany pas, szeroki na osiem centymetrów, ze skórzanymi pętelkami na naboje, z zapinaną na sprzączkę kaburą i paskiem, który przypinał ją do uda, wydawał się całkiem na miejscu. Nie miał powodu przywiązywać kabury do nogi. Nieporęczne to, i hamowałyby ruchy. Ale i bez tego kabura rzucała się w oczy, w dodatku bez niej musiałby chodzić z Sarą po lesie z rewolwerem wetkniętym za pasek spodni. Dzięki temu, że zaopatrzył się w pas, nie musiał już nosić naboji w kieszeniach. Kupił pudełko na zapas, włożył wszystko do chlebaka i wyszedł przed sklep. Nigdy nie mógł dociec, dlaczego akurat w tym momencie spojrzął na drugą stronę jezdni.

Szli chodnikiem, dokładnie naprzeciwko niego. Było ich dwóch. Mieli na sobie takie dzinsy jak wszyscy inni w okolicy, ale różniły ich koszule, wełniane myśliwskie koszule w czerwoną kratę, i rozpięte polowe kurtki wojskowe w kolorze khaki. Ujrzeni go i jeden szturchnął drugiego. Bourne nic nie dał po sobie poznać. Po prostu stał na chodniku, poprawiając pasek chlebaka na ramieniu, a potem jak gdyby nigdy nic przeniósł wzrok na przejeżdżający wóz pocztowy i wolno ruszył w drogę.

Było słoneczne, ciepłe popołudnie; zegar na rogu domu dwa budynki dalej wskazywał minutę po trzeciej. Wzdłuż całej ulicy parkowały samochody osobowe i ciężarówki; ludzie zjechali do miasta, by zrealizować czeki, zrobić zakupy i trochę się zabawić na dobry początek weekendu. Z naprzeciwka nadchodziła właśnie kobieta z chłopczykiem w spacerówce, kiedy omal nie wpadł na nią obładowany dwoma workami mężczyzna wychodzący ze sklepu z paszą.

Tylko nie spanikuj, nakazał sobie Bourne.

Mimo to zaczął tak gnać, że musiał na siłę zwolnić.

Spokojnie, mówił sobie. Może ci się tylko wydawało. Może to jakaś dziewczyna wpadła im w oko. Może myśleli, że skądś cię znają.

To jeszcze nic nie znaczy.

Chciał się odwrócić i sprawdzić, czy wciąż go obserwują, lecz nie mógł sobie na to pozwolić. Wreszcie zatrzymał się przed drogerią, udając, że ogląda maszynki do golenia i mydła, wystawione w witrynie. Spozrzegł ich w szybie wystawowej. Poszli za nim drugą stroną ulicy i teraz stali dokładnie na wysokości sklepu, przed którym się zatrzymał. Nie spuszczała go z oczu.

Zanim pomyślał, już wszedł do sklepu.

Jak to możliwe, że go tak szybko znaleźli?

Pał sześc, że szybko, ale jak go w ogóle wytropili?

– Chcę kupić największą apteczkę turystyczną, jaką pani ma – powiedział do dziewczyny w białym fartuchu za ladą. – Poproszę też silną aspirynę i multiwitaminę.

Co jeszcze może się nam przydać? – myślał. Co jeszcze? Czego nie przewidział? Widocznie mówił z wyraźnym napięciem w głosie, bo sprzedawczyni spojrzała na niego jakoś dziwnie, zanim wyszła na zaplecze i przyniosła to, o co prosił.

Wnętrze drogerii pachniało środkiem dezynfekującym.

Nóż, pomyślał. W sklepie metalowym trzeba było kupić nóż.

Stał na wpół ukryty za półkami z lakierami do włosów i solami kąpielowymi i zerkał przez okno wystawowe. Byli na środku ulicy i czekali, aż przejedzie motocykl. Wreszcie dotarli do chodnika i stanęli na krawężniku między dwoma parkującymi samochodami.

– Proszę bardzo – odezwała się ekspedientka.

Odwrócił się w jej stronę; wkładała zamówione rzeczy do brązowej papierowej torby.

– Osiem dolarów i siedemdziesiąt sześć centów.

Dał jej banknot dziesięciodolarowy i wziął torbę.

– Pańska reszta!

Ale on już wychodził ze sklepu.

Nadal stali między samochodami i obserwowali go. Bliźniacy, zauważył, skręcając w stronę sklepu metalowego. Wysocy, o szczupłych twarzach i wąskich wargach. Krótkie jasne włosy, baczki przycięte równo w połowie uszu. Kiedy zostawił ich za sobą, spojrzał w witrynę i zauważył ich odbicie w szybie. Szli za nim.

– Witam pana ponownie – pozdrowił go sprzedawca ze sklepu metalowego.

– Wróciłem po nóż do oprawiania.

– Jaki ma być?

– Wszystko jedno.

Drzwi otworzyły się, zadzwonił dzwonek. Jeden z bliźniaków wszedł do środka i przystając na chwilę, żeby spojrzeć na Bourne'a, podszedł do półki i dotknął leżących na niej wędek.

– Nie idzie mi o gatunek – wyjaśniał sprzedawca. – Pytam o rodzaj. Życzy pan sobie ostrze długie czy krótkie?

– Potrzebuję noża o prostej, dwunastocentymetrowej obustronnej klindze. I żeby miał gruby, metalowy jelec.

– Wedle życzenia – odrzekł sprzedawca, sięgając pod ladę.

Na drewnianej podłodze widać było drobiny trocin.

Bliźniak już nie dotykał wędek. Stał teraz i gapił się na Bourne'a.

– Co pan powie na ten? – rzucił sklepikarz, wykładając na kontuar tackę z nożami. Podniósł jeden i pokazał Bourne'owi. Ciemna drewniana rękojeść i gładkie, lśniące ostrze o mocnym zaokrąglonym czubku, takim, co się łatwo nie złamie.

– Musiałbym mieć do tego pochwę.

– Sprzedajemy je razem z pochwą. Zaraz się panem zajmę.

– Na razie oglądam – odparł bliźniak przy wędkach.

Kiedy Bourne zapłacił i wyszedł ze sklepu, tamten ruszył za nim. Przed sklepem stał już nie tylko jego bliźniaczy brat, ale i inny facet tak samo ubrany i ostrzyżony, lecz wyższy, masywniejszy. Miał kwadratową twarz, wąsy i strzelbę dużego kalibru z celownikiem optycznym. Tak bardzo deptali mu po piętach, że Bourne skręcił w pierwsze drzwi, w które mógł wejść – w drzwi restauracji.

Na blacie barku w kształcie podkowy stał odrapany ekspres do kawy, w przeszklonej chłodziarce kawałki placka zapiekanego z pianą, na ruszcie skwierczały hamburgery. Przy barze i przy stolikach za przepierzeniami siedzieli mężczyźni w kowbojskich butach. Przy ruszcie stała starsza kobieta w siateczce na włosach.

– Jednego hamburgera – zamówił, siadając przy stoliku.

– Trzy kawy. – Usłyszał tuż za przepierzeniem.

W ostatniej chwili zwalczył pokusę, żeby się odwrócić.

4

I nagle go olśniło. Agent. Jego własny agent mógł być jedynym wytłumaczeniem faktu, że go tu odkryli. Przypuszczał, że pewnie zadzwonili do Nowego Jorku i któryś z nich spotkał się z jego agentem literackim. Bóg jeden raczy wiedzieć, co mu zrobili, żeby zaczął mówić. Tak, nie powinien był telefonować do agenta.

Ale przecież musiał.

Powinien był zażądać, żeby przesłano mu pieniądze do innego miasta.

I tak by go wytropili. Szukaliby go wszędzie w okolicy, aż wreszcie dopadliby tutaj.

Hamburger smakował jak trociny.

Wstał, odwrócił się i powiedział:

– Słuchajcie, musicie z tym skończyć.

– Nie wiem, o czym pan mówi – odparł mężczyzna z wąsem. Patrzył na niego. Strzelba stała lufą do góry, oparta o jego nogę.

– Dobrze wiecie. Doskonale wiecie, o czym mówię, i powtarzam, czas już z tym skończyć.

Mężczyzna zmarszczył czoło.

– Wiecie, o czym on mówi?

– Nie mam pojęcia – odrzekł jeden z bliźniaków.

– Ja też nie – zawtórował mu drugi.

– Chodźcie za mną. Siedzicie mi na karku od chwili, kiedy pierwszy raz wyszedłem ze sklepu metalowego.

– Ze sklepu metalowego? – zdziwił się wąsaty.

– Wiesz, on chyba ma rację! – stwierdził jeden z bliźniaków. – Teraz sobie przypominam, że widziałem tego gościa w sklepie, jak oglądałem wędkę.

– Chryste, przestańcie!

Wszyscy na niego patrzyli. Starsza kobieta zamarła w bezruchu, z uniesioną łopatką do przewracania hamburgerów na ruszcie; w nagłej ciszy słychać było tylko syk smażonego mięsa.

– Posłuchaj, chłopie, nie denerwuj się tak – zaczął wąsaty. – Ja wiem, że ostatnio dokuczały upały, może masz jakieś kłopoty w domu, ale nie trzeba się tak wszystkim przejmować. Takie zamieszanie nikomu dobrze nie robi. Coś ci powiem. Skoro uważasz, że za tobą chodzimy, to może dajmy tym ludziom zjeść w spokoju, a my pogadamy sobie na zewnątrz. Co ty na to?

– Nie! – wrzasnął. Zachwiał się, zatoczył, chwycił za brzuch i przytrzymał krawędzi stołu. – Nie! – krzyknął i miał nadzieję, że mu uwierzą. Wiedział, że to jego jedyna i ostatnia szansa, że jeśli ich nie przekona, to przepadł. Pochylił się nad stołem i udał, że szarpia nim mdłości. Spojrzał na znak informujący, że za wahadłowymi drzwiami jest męska toaleta, i rzucił się w tamtą stronę, jakby nie mógł już dłużej wytrzymać. Pędząc na złamanie karku, rozepchnął barkiem drzwi i ciągnąc za sobą podskakujący chlebak, umierał z trwogi, że korytarz, w który właśnie wpadał, okaże się ślepą uliczką i że nie znajdzie tu nic poza męskim sraczem. Ale znalazł. Na samym końcu korytarza zobaczył tylne wyjście, drzwi, i biegł ku nim, błagając Boga, żeby nie były zamknięte. Przekreślił

gałkę, otworzyły się i już wrywał wąskim, zaśmieconym odpadkami podwórkiem w stronę chodnika.

– Claire! – krzyknął, pędząc bez tchu w stronę domu.

Potknął się i upadł, wyciągając przed siebie ręce; zdrapał sobie wnętrze dłoni i na twardych, spalonych słońcem koleinach i uderzył twarzą w kępę trawy. Wstał i zachwiał się, nim znów ruszył pod górę. Pot ściekał mu po brodzie. W ustach czuł smak pyłu.

Miał mało czasu. Był pewien, że nie widzieli go, kiedy kluczył po mieście ani gdy pędził przez pola. Najwyraźniej nie wiedzieli, gdzie mieszka. Inaczej przyszliby wprost do domu, zamiast płatać się po miasteczku. Teraz mogli zrobić tylko dwie rzeczy: albo wsiąść do samochodu i krążyć po okolicy, aż się na niego natkną, albo popytać ludzi. Sprzedawcę ze sklepu metalowego, pośrednika od nieruchomości, kogoś, kto mógł coś wiedzieć. Przeczesywanie miasteczka zabrałoby dużo czasu i nie gwarantowało sukcesu. Drugie rozwiązanie było szybsze i skuteczniejsze. Za kwadrans tu będą. Najdalej za pół godziny.

Jeszcze raz zawołał Claire. Biegając pod górę, czuł w ustach piasek i słonawy smak krwi; wiedział, że przy upadku rozciął sobie wargę.

Na szczycie wzgórza czekała na niego Sara.

– Gdzie mama? – wykrztusił; nie mógł złapać tchu.

– W domu.

– Nie mam czasu na wyjaśnienia. Połóż się tu i obserwuj drogę. – Płuca paliły go żywym ogniem. Słyszał, jak łomocze mu serce. – Jak tylko kogoś zobaczysz, krzycz.

Chciała coś powiedzieć, ale uciął krótko:

– O nic nie pytaj. Rób, co mówię. – Pchnął ją na ziemię i już pędził do domu.

W drzwiach stała Claire. Miała ściągniętą twarz.

– Boże, tylko nie to...

– Widziałem trzech, w mieście. Muszą być gdzieś niedaleko. Pakujemy się i uciekamy. Natychmiast.

– To oni? Jesteś pewien?

– Na sto procent. – Już zdejmował plecak, wyciągał pas i zapinał sprzączki. Sprawdził, czy magnum jest nabity, i włożył rewolwer do kabury. Pochwę z nożem przymocował do pasa.

– Masz. Załaduj mój plecak tak jak swój i wynieś razem z jukami za dom. Ściągnij koce z łóżka.

– Tato, ktoś idzie! – krzyk Sary.

Spojrzeni na siebie, on i Claire.

– Spotkamy się przy szlaku.

Odwrócił się i podbiegł do Sary; stała i ręką pokazywała drogę.

– Ktoś idzie! Ktoś idzie!

– Kładź się – rzucił, przewracając ją w trawę.

Podczołgał się do krawędzi zbocza. Rzeczywiście, już tu byli: ci sami trzej w myśliwskich koszulach w czerwoną kratę, dżinsach i kurtkach polowych. Z tej odległości jeszcze mali, wspinali się drogą między drzewami, zmierzając w stronę odkrytego zbocza. Teraz już wszyscy mieli strzelby, nie tylko ten wąsaty, ale kiedy przyjrzał się im bliżej, stwierdził, że... żaden z nich nie ma wąsów i że nie widzi wśród nich bliźniaków! Jeden miał puciołowatą twarz – nie szczupłą czy kwadratową – drugi był krępy... Chryste, to przecież całkiem inni ludzie! Nadchodziła kolejna zmiana. I byli tak pewni siebie, że szli jak gdyby nigdy nic, zupełnie się nie kryjąc.

A może tamta trójka siedziała już w lesie za domem?

– Leć – nakazał Sarze. – Mama czeka na szlaku.

Spojrzał na nią. Nawet nie drgnęła, tylko trzymała się za brzuch, z trudem łapiąc oddech po tym, jak ją przewrócił na ziemię. Musiał ją chwycić i zawlec na górę.

– Spiesz się, kochanie – powtarzał. – Musisz iść.

Zdołał postawić ją na nogi. Biegła, trzymając się za brzuch, okrążała już dom.

Wpadł do chaty. Po schodach wbiegł na wieżyczkę na szczycie dachu – jedyne miejsce, skąd mógł obserwować napastników. Musiał odciągnąć ich uwagę, spowolnić marsz, zrobić coś, by myśleli, że chce się bronić z domu. Dopadł okna, wyciągnął broń i nie mierząc, wypalił w ich kierunku. Trzykrotny odrzut poderwał mu rękę. Widział, jak się rozbiegają, wystrzelił jeszcze raz, a potem schylił głowę i puścił się pędem w dół schodów. Gonił go huk potężnej strzelby i brzęk rozbitego szkła.

Omali nie spadł ze schodów. Wbiegł do kuchni i wyskoczył przez tylne drzwi. Claire i Sara czekały na skraju lasu w miejscu, gdzie zaczynał się szlak.

– Co to za strzały? – spytała Claire.

– To ja. Nieważne.

5

Znów uciekali: on z plecakami na obu ramionach, obładowana jukami Claire biegła niezręcznie przed nim, a na samym przodzie umykała na krótkich nóżkach Sara. W cieniu drzew było chłodno. Wokół sterczały nagie gałęzie, na ziemi szeleściły żółte liście, gdzieś w górze śpiewały jesienne ptaki. Nagle śpiew umilkł, a oni przyspieszyli

biegu i depcząc suche liście, uciekali wciąż wyżej i wyżej.

Usłyszają nas, pomyślał. Zorientują się, gdzie jesteśmy.

Ale nie mógł temu zaradzić i za bardzo był zgoniony, żeby się tym martwić. A potem ścieżka skręciła w prawo, ostro pod górę, zбочyła w lewo, zawiodła ich na jeszcze większą stromiznę i nagle wybiegli z lasu, by stanąć na zalanej słońcem polanie.

Wpadli na nią tak nagle i hałaśliwie, że spłoszyli trzy konie na ogrodzonym wybiegu. Przerażone, cofnęły się przed nimi i zbiły w jednym rogu. Bourne odkrył to miejsce na drugi dzień po tym, jak zamieszkali w chacie. Wybieg. Grodzony długim płotem, ze żłobami na paszę i wodę, z rozwaloną szopą na narzędzia. Właściciel zwierząt musiał je tu trzymać w sezonie łowieckim. Właśnie to miejsce podsunęło Bourne'owi pomysł kupna koni. Przyprowadził tu wtedy Claire i Sarę, żeby je pouczyć, co mają robić na wypadek kłopotów. Powtórzył z nimi wszystko, czego uczyły się na kursie jeździeckim, codziennie przychodził karmić zwierzęta i trochę je przegonić, żeby się rozruszały. W końcu zdołał nakłonić starego, żeby mu sprzedał jedną z gniadych zamiast kulawej kasztanki; udał, że jest niezadowolony z małej srokatej klaczy, choć w głębi ducha radowała go myśl, że to konik akurat dla Sary, a jeśli idzie o półślepą myszată... Hmm, wiedział, że klacz pobiegnie jak trzeba, i wierzył, że on sam okaże się na tyle sprawnym jeźdźcem, by jakoś sobie z nią poradzić.

– Pomóż mi je osiodłać – poprosił Claire, zrzucając plecaki i otwierając barkiem drzwi do szopki.

Rzuciła juki na ziemię, pomogła dźwignąć siodła na ogrodzenie, a tymczasem Sara robiła dokładnie to, co jej wcześniej przykazał: biegała za końmi, wchodziła na płot i zapędzała je w stronę szopy. Stał na moment, by sprawdzić, jak córka sobie radzi, po chwili wyciągnął z szopy uzdy, przeskoczył płot i zaczął czekać, aż zwierzę zbliży się do niego. Najpierw srokata. Wsunął jej wędzidło do pyska, przerzucił wodze przez łeb, zapiął uzdę. Na grzbiet zarzucił derkę, na nią siodło, ściągnął popręg i zajął się następną klaczą, gniadą. Tymczasem Claire przytraczała juki do siodła srokatej.

Za długo to trwa, myślał. Lada chwila tu będą.

Chciał pracować szybciej, ale wszystko leciało mu z rąk, musiał więc zwolnić i zrobić wszystko porządnie. Skończył z gniadą, odwrócił się do myszatej, ale klacz cofnęła się przestraszona i znów stracił trochę czasu, żeby ją uspokoić.

– Słyszę ich. Już tu są – powiedziała Claire.

Miała rację. Drzewa niosły echo szelestu liści.

– Otwórz bramę – zwrócił się do Sary, pomagając Claire dopiąć chlebak. Podsadził ją na konia.

– Jedźcie – rzucił i klepnął gniadą w zad. Klacz wyprysnęła z wybiegu jak oparzona

i pogalopowała ostro, omal nie zrzucając Claire.

Podniósł Sarę, wsadził ją na srokata, popędził zwierzę klapsem i widząc, jak klacz pędzi przez polanę za gniadą, krzyknął: „Trzymaj się mocno”. Skończył oporządzać myszată, zapiął swój chlebak, wskoczył na siodło. Szuranie liści przybrało nasilę, nie słysząc już było pogłosu wśród drzew. Dźgnął zwierzę piętami w żebra. Mocno, gwałtownie. Klacz stanęła dęba i skoczyła do przodu, ledwie mieszcząc się w bramie; musiał błyskawicznie podnieść lewą nogę, żeby uratować ją przed zmiążdżeniem.

Trrach! Świst między drzewami, tuż przed nim, z boku. Dźgnął klacz jeszcze mocniej, zmuszając ją do szybszego biegu przez polanę; kabura obijała mu się o udo. Zobaczył, że Claire i Sara galopują już przez las. Linia drzew przybliżała się z każdą chwilą, ale znów usłyszał suche szczęknięcie broni i jęśliwe zawodzenie pocisku. Tym razem dostał w plecy tak mocno, że mało nie wyleciał z siodła. Położył się płasko na końskiej szyi, kopał klacz jak oszalały i myślał: to tylko plecak, plecak, wszystko w porządku, nie oberwał, trafili w plecak. Zaraz potem wjechał między drzewa. Galopując za Claire i Sarą, znowu usłyszał metaliczny trzask i niedaleki jęk kuli. Wbiło się w drzewo, widział, jak pryskają płyty kory. To nic, myślał, bo las stał się zbyt gęsty, żeby mogli celować skutecznie. Pędził pod górę, tam, skąd dobiegało go głucho dudnienie końskich kopyt. Był na razie bezpieczny.

Światło zmieniło się niemal natychmiast. Zerknął na niebo przez ciemne, nagie gałęzie drzew, spodziewając się chmur, tymczasem stwierdził, że słońce skryło się już w połowie za zachodnim pasmem gór i, rozdęte jak balon, zalewało las czerwoną łuną. Pół godziny do zmierzchu, potem jeszcze pół do zmroku. W ciągu godziny musieli uciec jak najdalej. Gdzieś z przodu, z lewej strony, dobiegało go dudnienie kopyt. Dojechał do miejsca, w którym ścieżka skręcała w lewo, i zwolnił, pozwalając półślepej klaczy stawiać nogi ostrożniej, w swoim tempie. Ścieżka prowadziła teraz stromo pod górę i kiedy klacz zmagala się z ostrym podejściem, musiał pochylić się i mocno przytrzymać lęku. A potem, kiedy wyjechali na otwartą przestrzeń, pogonił ją w stronę galopujących koni. Widział, jak Claire dźga piętami swoją klacz, słyszał głucho dudnienie kopyt, spod których wylatywały kępki rzadkiej, zbrązowiałej trawy. Srokata trzymała się tuż za gniadą, więc popędził myszată, przyspieszył, dogonił żonę i córkę, i razem skręcili w lewo, w kierunku następnej ścieżki pośród drzew. Jechali gęsiego, Claire przodem, Sara w środku, a potem znów trafili na równinę. I znowu skręcili w lewo, ciągle w lewo. To była droga, którą z nimi jeździł, którą pokazywał im na kupionych w miasteczku mapach. Na wypadek, gdyby ktoś ich wytropił w chacie, musieli uciekać jak najszybciej i jak najwyżej, a szlak, który wybrali, stanowił jedyną drogę.

Minawszy dwie kolejne polany, nareszcie ujrzeli skalną ścianę, wyraźnie zaznaczoną

na mapie, i wąską ścieżkę z głazów narzutowych, łupków i zmurszałego drewna – jedyne podejście w górę. Z mapy nie wynikało, czy da się tędy w ogóle przejść, a dalszego rozpoznania terenu Bourne nie przeprowadził. Oczyszczył początek ścieżki, wykreślił na mapie trasę i to wszystko. Ale wiedział też, że to ich jedyna szansa i że muszą ją wykorzystać. Następny szlak zaczynał się trzydzieści kilometrów w prawo.

Podjechali galopem do skał i mocno ściągnęli wodze. Zsiedli. Konie i tak nie wytrzymałyby dłużej takiego tempa. Słońce niemal już zaszło za grań, powietrze stało się nagle ostre, szare. Bourne otarł rękawem załzawione od pędu oczy i spojrzał na stromy szlak z białoszarych kamieni, sterczących kikutów pni i z fragmentów gnijącego drewna, rozciągający się przed nim jak trzystumetrowy liszaj.

– Moja kurtka – powiedział do Claire. – Jest w plecaku. Wy też się ubierzcie.

Kurtka była porządna, z brązowej wełny, z kapturem. Wybrał brązową, żeby wtapiała się w jesienne barwy gór; Claire i Sara dostały takie same. Jak tylko skończył zapinać guziki, jak poczuł ciężar ubrania i ciepło, chwycił klacz za wodze i zaczął wspinaczkę po osypujących się kamieniach i zwalonych pniach. Szedł zygzakiem, najszybciej jak mógł, i dawał z siebie wszystko. Ciągnął zwierzę za sobą raz w prawo, raz w lewo; koń opierał się z całej siły, więc Bourne musiał zwalniać i czekać, aż zwierzę znajdzie pewne oparcie dla nóg, a potem znów je popędzał i szedł naprzód, cały czas naprzód. Potknął się, zadrapał sobie twarz na kamieniu, wstał, dla zachowania równowagi skrócił i mocniej chwycił wodze, zerknął za siebie, by sprawdzić, czy Claire i Sara nie mają jakichś kłopotów. Żona radziła sobie całkiem dobrze, ale posuwała się bardzo powoli. Ciągle zatrzymywała ją Sara, która sama ledwo szła, nie mówiąc już o prowadzeniu konia.

– Tato, nie dam rady!

– Musisz! Powoli. Krok za krokiem.

I znów ruszyła pod górę, i on też wznowił wspinaczkę. W lewo, w prawo – obolały, spychał ramieniem pnie starych drzew na bok, wymijał głazy, kluczył w labiryncie przegniłych korzeni. Spojrzał w dół na las, z którego wyszli. Nikogo. Spojrzał przed siebie: koniec rumowiska wydawał się odleglejszy niż przedtem.

Nie, nie wolno stanąć.

– Tato!

Zobaczył, że zmordowana Sara odpoczywa wsparta o skałę.

– Nie zatrzymuj się! – zawołał. – Musisz cały czas iść! Jesteśmy już prawie na miejscu! – skłamał.

Powolutku, z najwyższym trudem, oderwała się od skały i pociągnęła za sobą konia. Nagle klacz stanęła dęba i omal jej nie kopnęła. Sara upadła między dwa wielkie głazy,

a koń obrócił się na wąskim osypisku i zsunął po stoku.

– Nie ruszaj się! – wrzasnął Bourne, przywiązując myszatkę do resztki zmurszałego pnia. – Nie ruszaj się! Schowaj nogi!

Popędził w dół. Uderzył ramieniem w sterzący z pnia suchy kikut gałęzi, ścisnął obolałe miejsce, skrzywił się i wreszcie dopadł srokatej, wyciągając przed siebie rękę, żeby ją uspokoić.

– No, no, już dobrze – mruknął i po raz pierwszy usłyszał echo własnych słów.

– W porządku, Saro, możesz już wstać. – Płakała, przestraszona i zmęczona. Nie powinien był obarczać jej prowadzeniem konia; cud, że doszła aż tak daleko.

– Klacz tu na razie zostanie, a ty pójdziesz ze mną – powiedział, ściskając córkę i pomagając jej dojść do miejsca, gdzie uwiązał myszatkę. – Przywiąż swoją – zwrócił się do Claire. – Wrócę po nią, jak tylko dojdziemy na szczyt. I poprowadź srokata.

Nie mógł tracić czasu na uspokajanie Sary. Otarł jej łzy, pocałował, jeszcze raz uścisnął i popchnął ją przed sobą. Wyżej, wciąż wyżej i wyżej. Claire ciągnęła za sobą srokata; gniada została na dole i wyraźnie zdezorientowana i samotna, toczyła wokół ogłupiałym wzrokiem.

Sara dotarła na szczyt spory kawał przed nim. Może dlatego, że była tak przestraszona, a może z powodu szoku, jakiego doznała, kiedy koń omal jej nie stratował. Teraz była przynajmniej bezpieczna. Nie chcąc zostawiać jej samej, Bourne przyspieszył i omijając kamienie i pnie, wszedł na nagi skalny odcinek ścieżki prowadzący bezpośrednio na szczyt. Kopyta gniadej zastukały dźwięcznie o zniszczony erozją kamień i już po chwili koń i mężczyzna znaleźli się na górze, gdzie hulał wiatr, rosła rzadka sucha trawa, skąd widać było bezkresne pasmo drzew. Sara padła pod jakimś pnem, blada jak opłatek. Ciężko dyszała; wiatr rozwiewał jej włosy. Bourne dotknął jej, gdy przechodził obok, żeby uwiązać myszatkę; zrzucił plecak i pędem wrócił na krawędź płaskiego szczytu. Dotarł tam, gdy Claire pokonywała ostatnie metry. Wskazał za siebie na Sarę, minął żonę i ślizgając się, ruszył w dół po trzeciego konia.

Spod nóg usunęło mu się kilka kamieni. Odbijając się od stoku, spadały w dół, o włos mijając uwiązaną klacz, która stanęła dęba, żeby uniknąć niebezpieczeństwa. Wolniej, musiał zwolnić. Wciąż zerkał to na konia, to na ścianę drzew poniżej, spodziewając się w każdej chwili widoku ubranych w kraciaste koszule mężczyzn, wybiegających na otwartą przestrzeń.

Nie, pomyślał. Zapada noc, muszą najpierw wrócić po konie. Nie będą nas gonić na piechotę.

Ale i tak co chwila spoglądał w stronę lasu, wreszcie stanął obok klaczy, uspokoił ją, odwiązał od pnia, a później co sił popędził z nią pod górę. Kiedy dotarł na szczyt, Claire

i Sara jadły. Zdobył się jeszcze na wysiłek, uwiązał gniadą przy klaczach, a potem opadł obok żony i córki. Czekoladowe batony. Powinny być zbyt lepkie, słodkie, zbyt mdłe, ale odczuwał takie zmęczenie, tak bardzo potrzebował uzupełnienia straconej energii, że w ogóle nie rozróżniał smaku karmelu i czekolady. Odgryzał kawałek po kawałku, żuł je, połykał i wbijał zęby w następny baton.

– Udało się. Nie mogę w to uwierzyć. Udało się.

Ale w głębi ducha wiedział, że nic się jeszcze nie udało. Na razie zrobili tylko pierwszy krok i jeśli chcieli uciec naprawdę, musieli iść dalej, szybciej, głębiej w góry.

Wyciągnął rękę, żeby powstrzymać Sarę, sięgała po następny baton.

– Lepiej zostawić je na potem, kochanie. Przydadzą się, i to nie raz.

Zerknął na rozharatane do krwi dłonie, otarł ręce o trawę, wstał, podszedł do skalnej krawędzi i nad otwartą przestrzenią spojrzął w dół, w stronę lasu.

Nie dostrzegł nikogo.

– Trzeba ruszać – powiedział, odwracając się do Claire i Sary.

– Już? Przecież dopiero usiedliśmy – zaprotestowała żona.

Wskazał niebo. Słońce skryło się już za górami, powietrze nabierało bladoszarej barwy. Zapadał zmrok.

– Mamy jeszcze pół godziny. Potem będzie za ciemno, żeby iść. Musimy ten czas wykorzystać. – Sięgnął po plecak i wyjął mapę. Wczytywał się w nią, ledwie dostrzegając rysunek. – Półtora kilometra stąd jest leśny strumień. Zobaczmy, czy uda się nam tam dojść.

Wiatr, powiał mocniej, unosząc z ziemi pył i liście. Bourne spojrzął na wschód, gdzie nad linią horyzontu zbierały się czarne chmury.

– Może być burza – powiedział.

Ale burza nie nadeszła, a konie były tak zmęczone, że nie dało się ich dosiąść. Musieli prowadzić je za wodze, między cieniami drzew, w mrok zapadającej nocy.

6

Z początku myślał, że źle odczytał mapę. Przeszli już ponad półtora kilometra i nadal nie widział śladu strumienia, a gałęzie drzew zwisały im nad głowami coraz ciemniejszą plamą. Zaprowadził Claire i Sarę na polankę, która byłaby doskonałym miejscem na nocleg. Tuż za nią leżała następna, malutka. Łączyła ją z pierwszą ścieżynka wydeptana przez dzikie zwierzęta, wąziutka niczym przewężenie w klepsydrze. I nie była tak obficie pokryta liśćmi, bo tu i ówdzie widniały kępki górskiej trawy. Tak, dobre miejsce na popas dla koni. Miałyby posiłek skromny i niepełnowartościowy, ale zawsze to coś,

a poza tym nie musiałby uszczuplać małego worka z owsem, który przytroczył do łąku, siodlając myszatką.

Zrobiło się kompletnie ciemno, więc postanowił, że tej nocy obejdą się bez wody i zostaną na polance. I wtedy usłyszał cichuteńki szum wody. Ledwie słyszalny. Ale to wystarczyło. Przywiązał klacz do pnia i torując sobie drogę między gałęziami, zszedł niżej, do stoku za polaną. Zobaczył strumień, na tyle szeroki, że nie mógł go przekroczyć. W tym miejscu opływał polaną i biegł wartko dalej, spływając na niżej położone tereny, skąd przed chwilą przyszli. Ukłęknał w chłodnej ciszy i nachylił się, żeby opłukać ręce, nabrać w nie wody i przytknąć do ust.

Za plecami usłyszał głos Claire:

– Nadaje się do picia?

Odpowiedź znał z góry: była zimna, słodka, krystalicznie czysta. Znów zaczerpnął dłońmi, natarł wodą twarz, wreszcie spojrział na żonę.

– Na tej wysokości prawie zawsze jest dobra. Trzeba tylko sprawdzić, czy płynie, czy nie zarasta rzesą. Owszem, czasami są kłopoty, ale głównie wiosną, kiedy spływające śniegi mieszają się z czerwonymi glonami. Taka kombinacja może nielecho zaszkodzić. Dostałabyś takich skurczów brzucha, że mogłabyś przysiąc, że za chwilę umrzesz.

Pisał o tym w jednej ze swoich książek. Prawie się uśmiechnął.

– Chodź, spróbuj. I ty też, kochanie – zwrócił się do Sary stojącej obok.

Nie drgnęły.

– Wiem, że to was dziwi, ale ten strumień jest całkiem inny niż podmiejskie rzeczki. Tamtej wody też bym nie pił. Ale ta jest zdrowa, możecie mi wierzyć.

Wciąż stały nieporuszone, więc ponownie odwrócił się do strumienia, legł na brzuchu, zanurzył twarz w wodzie i pił, czując lodowate zimno w obu dziurkach nosa. Wreszcie usiadł, potrząsnął głową – woda ściekała mu z włosów – i zobaczył, że matka i córka niepewnie zabrały się do picia.

– Dziwnie smakuje – stwierdziła Sara.

– Pewnie, że dziwnie – przyznał. – Nie ma w niej fluoru i innych środków chemicznych. Tak smakuje prawdziwa woda.

– Ale jest brudna. Coś mi trzeszczy w zębach – poskarżyła się Sara i splunęła.

– To tylko odrobina osadu. Pobudzi jelita.

– Co zrobi?

– Nic takiego – odparł z uśmiechem. – Napij się jeszcze. Przyzwyczajaj się. Przez jakiś czas będziemy pić tylko taką, więc czy ci smakuje, czy nie i tak musisz do niej przywyknąć.

– Skąd się ona bierze?

– Z wysokich gór, ze stopniałego śniegu. Ucieka też z jezior...

A potem myśląc o jeziorach, dodał:

– Zobaczysz rzeczy, o jakich ci się w ogóle nie śniło.

– Ma taki słodki smak.

– Widzisz? Zaczynasz już łapać, w czym rzecz. Chodźcie, mamy jeszcze kilka rzeczy do zrobienia, a za chwilę będzie już tak ciemno, że co krok będziemy na siebie wpadać.

Prowadził je pod górę, z powrotem na polanę. Zapadający zmrok zniekształcał wszystko wokół i obozowisko wydało im się jakieś szersze, większe.

– Proszę – zwrócił się do Sary, wręczając jej trzy manierki, odczepione z siodła. – Idź nad strumień i nabierz wody.

– Zapomniałeś je napełnić przed wyruszeniem w drogę?

– Nie, nie zapomniałem. Celowo nie wziąłem wody. Uznałem, że konie i tak będą miały co nieść, a poza tym wiedziałem, że tu, na górze, wody będzie w bród. Zresztą i tak by już stęchła. Na co ty czekasz? – zapytał Sarę.

– Boję się.

– Boisz się wrócić tam sama?

Kiwnęła głową.

– Nie ma się czego bać. Gdyby ktokolwiek miał nadejść, usłyszysz go już z daleka i sto razy zdążysz tu wrócić.

– Ale zwierzęta...

– Zwierzęta też usłyszysz zawczasu. Zresztą teraz chodzą tylko jelenie i łosie. O tej porze roku niedźwiedzie już śpią, No idź. Jest dużo pracy i każdy z nas musi zrobić, co do niego należy.

Odczekał, póki nie ruszy, potem rozpiął myszatej popręg i zsunął z niej siodło.

– Rozsiodłaj pozostałe – rzucił do Claire. – Ułóż je w jakimś wygodnym miejscu, żeby mogły nam służyć za poduszki.

– A co z ogniskiem? Nie powinniśmy zacząć od ogniska?

– Nie – odparł, patrząc na nią, – Nie będzie ogniska. Dopóki się da, musimy radzić sobie bez ognia, – Ale jak będziemy gotować?

– Nie będziemy. Nie dzisiaj. Rankiem, jeśli starczy czasu, możemy rozpalić mały ogień, który nie będzie bardzo dymił. Może jutro. Ale dzisiaj nie. Niewykluczone, że zdobyli gdzieś konie szybciej, niż zakładaliśmy, i jeśli kręcą się po okolicy, mogą z dala zobaczyć dym i trafić tu jak po sznurku.

Patrzyli na siebie przez moment, później srokata zaczęła szarpać wodze i Claire poszła ją rozsiodlać.

– Co chciałbyś na kolację? – spytała spokojnie.

– Chyba nie mamy wielkiego wyboru, co?

– Nie mamy – przytaknęła. Rozpięła popręg srokatej, zdjęła z niej siodło, kołysząc się niezdarnie, przeszła obok męża i zaniósła je pod drzewo. Wyglądało na to, że skończyła z nim rozmawiać, więc na widok córki rzucił tylko:

– Pomóż mamie!

Sara wychodziła spomiędzy drzew, zgarbiona pod ciężarem manierek, a on tymczasem odpiął z siodła myszatej zwój sznura i wąską, wydeptaną przez dzikie zwierzęta ścieżką zaprowadził ją na sąsiednią polanę.

Znał trzy sposoby zostawiania koni na noc. Mógł uwiązać klacz długim sznurem do drzewa, ale koń, jak człowiek, jest ciekawy i gdyby po drugiej stronie polanki coś jej zapachniało na tyle kusząco, że chciałaby to zbadać z bliska, przeżywałaby istne katusze. Mógł też spętać jej nogi, związując przednie z tylnymi. Dawało to koniowi wystarczająco dużo swobody, żeby mógł wolno podejść do tego, co go zainteresuje, ale gdyby go coś przestraszyło, gdyby wykonał gwałtowniejszy ruch, mógł równie dobrze upaść i złamać nogę. Zdecydował się więc na trzeci sposób. Obszedł krańce polany – co zajęło mu trochę czasu – i znalazł kłodę: dość dużą, by klacz nie weszła z nią w las, na tyle jednak małą, żeby mogła ją ciągnąć za sobą, wędrując po polanie. Na jednym końcu sznura zrobił pętlę, którą zarzucił klaczy na szyję, do drugiego zaś mocno przywiązał kłodę. Potem zsunął uzdę i wyjął kielzno. Klacz powąchała trawę, wciągnęła w chrapy powietrze, zbadała zapach, wreszcie zabrała się do jedzenia.

Woda! Chryste Panie, zapomniałem napoić konie, pomyślał.

Zaprowadził dwie pozostałe klacze do strumienia i dał im się napić do woli. Powiódł je na nocne pastwisko, zabezpieczył jak myszatkę, następnie wrócił do nich z manierką i kapeluszem i napełniając kapelusz wodą z manierki, poił myszatkę, aż wypila wszystko. Musiał obrócić jeszcze raz, zanim klacz zaspokoila pragnienie. Wyteżył wzrok i w zapadających ciemnościach rozejrzał się po polanie. Konie rozproszyły się, skubały trawę, co jakiś czas podnosiły łby, żeby badawczo wciągnąć powietrze. Srokata zarżała z cicha, ale nie sprawiała wrażenia zdenerwowanej, doszedł więc do wniosku, że koniom niczego nie brakuje. Jedyne, co im groziło, to możliwość zaplątania się w sznury, ale nie potrafił temu zapobiec. Mimo to odczekał jeszcze chwilę. Wschodził księżyc. Nie widział go, ale zauważył zmianę na niebie: nad horyzontem rozlała się srebrzysto-zimna poświata. Gdzieś niedaleko odezwały się świerszcze. Nie rozumiał, jakim cudem przeżyły na tej wysokości, w tym chłódzie, a jednak tu były; cykania świerszcza nie sposób z niczym pomylić.

Odetchnął głęboko; nawet nie patrząc na niebo wiedział, że księżyc ma lisią czapę. Odwrócił się wreszcie i czując wilgoć rosy przenikającą nogawki, ruszył do obozowiska.

– Nie jecie – zauważył, schodząc z wąskiej ścieżki łączącej obie polany.

Siedziały na trawie, skulone i oparte o siodła. W ciemności widział tylko rozmazaną biel ich twarzy.

– Czekaliśmy na ciebie – powiedziała Claire.

– Jeszcze chwilę.

Poszedł nad strumień, żeby napełnić manierki. Rozejrzał się, zadowolony stwierdził, że wszystko jest w porządku, i wrócił na górę.

– Muszę coś jeszcze zrobić.

– A co wymyślisz potem? – zapytała Claire.

– Nie, nie, to już naprawdę koniec. Wiem, że to nużące i wlecze się w nieskończoność, ale wszystko trzeba zrobić bardzo dokładnie. Jak do tego przywyknijemy, następnym razem uwiniemy się dużo szybciej.

– No więc, co to takiego?

– Ubikacja. Taka na niby.

– Och, tato! – mruknęła Sara.

Nie wiedział, czy jest zakłopotana, czy tylko uważa, że jest śmieszny w tym, co mówi.

– Zaraz, zaraz. Chodźcie ze mną. To ważne.

Poszedł w przeciwny kąt polanki, stanął między drzewami i czekał.

– Z siusianiem nie ma kłopotu – zaczął, kiedy podeszły bliżej.

– Może ty nie masz. Wystarczy, że staniesz za drzewem i po krzyku. My jesteśmy bardziej skomplikowane – zauważyła Claire.

– Wiem. Zaraz do tego dojdziemy, cierpliwości. – Gwałtownie odwrócił głowę w kierunku drzew, skąd dobiegł go nagły szelest. Jakiś szop albo borsuk. W porządku, wszystko w porządku, nie denerwuj się tak, uspokajał się w duchu. Ale jeszcze przez chwilę stał z głową zwróconą w tamtą stronę. Potem spojrzął na Claire i Sarę. – A więc z siusianiem nie będzie kłopotu. Trzeba tylko pamiętać, żeby nie robić tego w pobliżu strumienia. W końcu będziemy tę wodę pić i jeśli cokolwiek do niej wpłynie, zepsuje jej smak, nie mówiąc już o tym, że możemy się rozchorować. Wybierajcie stok opadający w przeciwną stronę. Wiem, że musicie się podcierać, ale jedyne, co mogę wam zaproponować, to jakieś niezbyt łamliwe liście. Jeżeli nie chcecie korzystać z liści, musicie się po każdym siusianiu podmywać. Zresztą i tak pewnie będziecie chciały to robić, bo zaschnięty mocz może spowodować wysypkę. No dobrze, to całkiem proste i nie przysparza zbyt wielu kłopotów. Inaczej z tą grubszą sprawą. Nie chcielibyśmy zostawiać tego na wierzchu, byle gdzie, dokoła obozowiska. Musimy znaleźć jakiś duży kamień, jak ten. Odwracamy go, wykopujemy spod niego trochę ziemi, o tak, a kiedy już

załatwimy co trzeba, zasypujemy dziurę ziemią, przykładamy kamieniem i idziemy się umyć. Możecie najpierw skorzystać z liści, ale potem i tak musicie się umyć. I trzeba pilnować, żeby codziennie spróbować się wypróżnić, bez względu na to, czy wam się akurat chce, czy nie. Trzeba się zmusić. To, w górach, musimy przyjąć jedną zasadę: nic nie robimy bez zastanowienia. Myjemy się codziennie, codziennie wypróżniamy, płuczemy ubranie przy każdej sposobności, jemy nawet wtedy, kiedy nie mamy apetytu. Mówię o tym dlatego, że nieraz tak się zmęczycie i ubrudzicie, że będziecie marzyć tylko o jednym: żeby się gdzieś czym prędzej położyć, o niczym innym. Ale potem dostaniecie parchów, rozchorujecie się, a wtedy możemy od razu zrezygnować z dalszej drogi, bo straciecie nawet elementarny, zwierzęcy instynkt.

Zaczął coś jeszcze mówić, ale uświadomił sobie, że będzie się tylko powtarzał, a przecież nie chciał wygłaszać przemówienia. Więc nagle umilkł i stał przed nimi jakiś pusty, wypalony w środku i zakłopotany. Ponieważ na niego patrzyły, zebrał się w sobie i chcąc przełamać ten nastrój, zapytał wesoło:

– Czy ktoś jest głodny?

– Tak – odpowiedziała Sara cichutko; zdawało się, że ledwo otwiera usta, ledwo oddycha.

– No to chodźmy jeść. Wiecie co? A może strzelimy sobie witaminę na deser?

Kiepski dowcip. Ani Claire ani Sara nawet się nie uśmiechnęły.

7

Zjedli konserwowaną wołowinę i puszkę brzoskwiń, wsuwając kawałki owoców do ust, żując łapczywie, dzieląc się słodkim syropem i popijając dużą ilością wody. Mieli tylko po jednym kocu, więc spali ciasno owinięci, przytuleni do siebie, z Sarą pośrodku. W nocy Sara obudziła się i powiedziała: „Zimno mi”, a Bourne przyciągnął ją bliżej i ukołysał do snu. Później zbudził go potężny grzmot. Usiadł gwałtownie i wtedy dobiegł go z góry stłumiony ryk. Na niebie migotały zielone i czerwone światła pozycyjne samolotu przekraczającego barierę dźwięku.

Tuż przed świtem obudził ich ptasi świergot. Bourne wstał i poszedł do koni. Jedna z klaczy zaplątała się w sznur drugiej, ale nie zrobiły sobie krzywdy. Sprowadził je do obozowiska, napoił w strumieniu, dał po kapeluszu owsa i osiodłał. Doszedł do wniosku, że nie ma czasu na rozpalanie ognia, i kiedy już załatwili swoje potrzeby, umyli się i ubrali, śniadanie zjedli na koniach. Znów wołowina, krakersy i trochę czekolady.

– Zatrzymamy się gdzieś dalej i ugotujemy normalny obiad – skłamał, bo chciał, żeby jechały przed siebie, coraz wyżej i dalej. Musiał je wyprowadzić jak najdalej

w góry. Kiedy napotykali otwartą przestrzeń, jechali krótkim galopem, nie forsując koni, oszczędzając ich siły, pozwalając, by biegły z najmniej obciążającą prędkością. Wjeżdżając do lasu, zawsze zwalniali. O ósmej słońce stało już wysoko i przygrzewało, osuszając wilgoć ich ubrań. O dziewiątej zsiadli i prowadzili konie za wodze, o dziewiątej piętnaście znowu jechali. Wpadli w stały rytm: trzy kwadransy na koniu, jeden na nogach. O dwunastej zatrzymał się i dał zwierzętom odetchnąć.

– Wieczorem chcę być tutaj – objaśniał Claire i Sarze, pokazując na mapie miejsce niedaleko jeziora. Potem wyciągnął rękę i wskazał widoczne w oddali górskie siodło, porośnięte świerkami. Było dokładnie na wprost nich, między dwoma strzelistymi szczytami. – Mamy przed sobą kawał drogi, ale powinniśmy dać radę. Po drugiej stronie jest kilkanaście takich jezior, więc nie będą wiedzieć, nad którym się zatrzymamy.

Dosiadając myszatej, usłyszał stłumiony warkot silnika. Odwrócił się w kierunku, z którego przyszli, i nad dalekim lasem zobaczył krótki rozbłysk światła. Śmigłowiec. Promienie słońca odbijały się w osłonie kabiny.

– Szukają? – spytała Claire. – To nas szukają?

– Może. Nie wiem. Możliwe, że to straż leśna sprawdza, czy nigdzie się nie pali. To nie musi być od razu Kess. Ale jeśli to ludzie Kessa, to znaczy, że dzisiaj nas nie podejda. Mamy wiele kilometrów przewagi. I najprawdopodobniej ścigają nas na koniach.

– Jesteś pewien, że tu przyjdą?

– Na dole, przy chacie, nie bardzo się starali. W pewnym sensie nie chodzi im nawet o to, żeby nas złapać, ale żeby nas ścigać.

– Chcesz powiedzieć, że nawet jeśli nas schwytają, to mogą dać nam uciec?

– Mogą. Trudno przewidzieć. Ale za chwilę spadnie śnieg. I tak się w tym roku spóźnia. A kiedy spadnie, ta wycieczka przestanie być dla nich zabawą. Będą ją chcieli jak najszybciej skończyć i wrócić na dół.

Warkot śmigłowca był coraz bliższy.

– Lepiej już jedźmy – powiedział, trącając konia.

Claire i Sara poszły jego śladem. Między nagimi osikami i dereniem pojawiły się świerki, które dawały im lepszą osłonę; wiedział, że za kilka godzin wejdą w las świerkowy, gdzie nawet z powietrza nikt ich nie wypatrzy.

Doszli do miejsca, gdzie strumień przepływał przez ścieżkę, szemrząc teraz nie z lewej, a z prawej strony szlaku. Zatrzymali się na krótko, żeby napoić konie.

– Nie możemy jechać strumieniem i w ten sposób zamaskować ślady? – spytała Claire.

– Nic z tego. Koryto jest za miękkie, woda płynie zbyt wolno. Trzy konie

zostawiłyby ślady, które nie zniknęłyby przez cały następny dzień albo nawet dwa. Moglibyśmy spróbować, gdyby dno było kamieniste, a nurt wartki, ale nawet wtedy nie powstrzymalibyśmy pościgu. Szliby nieco wolniej, ale by szli. Rozdzieliliby się i jechali wzdłuż strumienia, szukając miejsca, gdzie wyszliśmy na brzeg, i znów mielibyśmy ich na karku.

Czuł jakieś dziwne rozdwojenie. Strumień skręcał to w lewo, to w prawo, a on szedł brzegiem. Wiedział, że niedługo spuszcza za nim psy, ale nie zwracał sobie głowy chodzeniem po wodzie, żeby zgubić trop. To tylko opóźniłoby ucieczkę. Skoro i tak musiałby kiedyś wyjść na brzeg, wystarczyło, że facet pognałby sforę wzdłuż strumienia, i psy natychmiast odnalazłyby ślad. Straciłby tylko czas. Już tu kiedyś był, już to kiedyś mówił.

Nie, on to napisał. W jego książce też latał śmigłowiec. I nagle go olśniło. Nie, to nie straż leśna, był tego pewien. Przestał ścisnąć nogami boki klaczy, kopnął ją mocno w żebra i wpadł między drzewa, wołając, by Claire i Sara pospieszyły za nim. Przywarł do końskiego karku, żeby przejechać pod świerkową gałęzią, wyprostował się i ruszył galopem w górę zbocza. Kiedy dojeżdżał na szczyt, był już trochę spokojniejszy.

Dopędziła go Claire.

– Co się stało?

– Nic – odparł. – Zdawało mi się, że coś widzę, ale nic tam nie było.

Następny poziom był porośnięty samymi świerkami. Rosły gęsto, dawały chłód i cień. Zamiast chrzęstu gniecionych kopytami liści słyszeli teraz odgłos wolnego, głuchego, stłumionego stapania na kobiercu z brązowych igieł.

– Nie, jednak nie pójdziemy nad jezioro – oświadczył pewien, że już to kiedyś mówił. – Jeśli to oni latają tym śmigłowcem, mogą bez problemu wylądować na jakiejś pobliskiej polanie i sprawdzić, czy nas tam nie ma. Tych jezior jest tylko kilka. W dodatku są małe i leżą blisko siebie.

– Więc dokąd pójdziemy?

– W górę, na lewo. Według mapy, tam też jest strumień.

– Ale ja chcę zobaczyć jezioro – powiedziała Sara.

– Wiem. Ja też. Ale tymczasem musimy iść w górę. Wybierzemy sobie jakieś miejsce, które nam się spodoba, ale pójdziemy gdzie indziej i znajdziemy jakieś gorsze, żeby im nie ułatwiać zadania. Żeby nie mogli tak od razu zgadnąć, gdzie jesteśmy. Na tym to właśnie polega, to taka zgadywanka. Kto pierwszy zgadnie, ten lepszy. Ale nie martw się. Zobaczysz jeziora. Dużo jezior. Tylko jeszcze nie teraz.

Równina przechodziła w kolejny stok. Przecięli ją, pnąc się w górę.

Strumień okazał się lepszy, niż Bourne oczekiwał. Żaden tam mały potoczek,

a prawdziwa górską rzeką. Szeroki, wartki i głęboki, z głośnym szumem spływał po kamieniach do dużej niecki o gładkim dnie, przelewał się przez jej skalną krawędź i tryskał w dół zbocza. Dotarli do niego na pół godziny przed zmierzchem. Krok po kroku przedzierali się przez gęste drzewa, gdy wtem usłyszeli plusk spadającej wody. Strumień wydał się im wprost ogromny.

Sara natychmiast zeskoczyła z konia i już biegła do wody, kiedy powstrzymał ją głos ojca.

– Hej!

Odwróciła się.

– Najpierw obowiązki. Konie są sto razy bardziej zmęczone niż ty i nie potrafią o siebie zadbać. Pomóż nam, a potem wszyscy pochłapiemy się w wodzie.

Spojrzała tęsknym wzrokiem na strumień i wolno wróciła do koni.

– I jeszcze jedno. Tak oplatałaś wodze na gałęzi, że klacz może się w każdej chwili uwolnić. Gdyby weszła głęboko w las i gdyby coś ją tam przestraszyło, moglibyśmy szukać jej całą noc. Mówiłem ci wczoraj wieczorem: musisz myśleć, co robisz.

Zawiazywała wodze na supeł, unikając wzroku ojca.

– Napelnij manierki, tak jak wczoraj, i pomóż mamie.

Kiwnęła głową, nadal na niego nie patrząc. Ani razu nie spojrzała na Bourne'a, kiedy rozpinał popręgi, poił konie, karmił je resztką owsa i uwiązywał.

– No dobra – rzucił, podchodząc do niej od tyłu i kładąc ręce na jej ramionach. – Teraz możemy zająć się sobą.

Ale Sara nie chciała z nim iść, więc musiał ją trochę ciągnąć.

– No, no, posłuchaj, moja panienko – powiedział, odwracając córkę do siebie i unosząc do góry jej brodę. – Kiedy ktoś zwraca ci uwagę, po prostu ją przyjmij, i kropka. Bez min. Bez humorów. Zapomnę o tym, jeśli i ty zapomnisz. Ale następnym razem zrób wszystko porządnie. Umowa stoi?

Wolno kiwnęła głową.

– A więc zgoda! Chodź, wejdziemy do wody. Siedział już nad brzegiem górskiego basenu i zdejmował buty i skarpetki, kiedy zdecydowała się usiąść obok niego.

8

– Mapy. Dobrze by było, żebyście nauczyły się odczytywać mapy. Na wszelki wypadek, gdyby mnie się coś stało.

Miał w kieszeni kurtki trzy mapy, zapakowane w plastikową torebkę. Wyjął je i otworzył tę, która pokazywała okoliczne tereny. Była to kartka o równych

szcędziesięciocentymetrowych bokach, na której widać było płataninę krętych niebieskich linii, tu i ówdzie oznaczonych liczbami.

– Te linie oznaczają stoki i granie. Liczby wskazują wysokość nad poziomem morza. Żeby odczytać taką mapę, musicie pamiętać o dwóch rzeczach. Po pierwsze, linie niebieskie – poziomice – nie zawsze pokazują tę samą wysokość. Musicie spojrzeć na legendę, na dole mapy. O proszę. Skala pionowa: sto pięćdziesiąt metrów. No i dobra. Zatem każda niebieska linia oznacza skok o sto pięćdziesiąt metrów. Jeżeli linia wyrzusza się, o tak, to znaczy, że będziecie wchodzić pod górę. Jeśli wygina się odwrotnie, w ten sposób, oznacza to, że teren opada. Skala pozioma wynosi 1:150. To znaczy, że jeden centymetr na mapie odpowiada stu pięćdziesięciu metrom w terenie. Będziecie wiedziały, że jeśli macie tylko dwie do trzech poziomice na jednym centymetrze mapy, teren będzie łagodny. Ale jeśli niebieskie linie będą narysowane tak blisko siebie, że trudno je nawet policzyć, domyślicie się, że macie przed sobą bardzo strome podejście. O, tak jak tutaj, na przykład. Tu, gdzie linie się wyrzuszają i rozciągają, jest właśnie żleb, którym szliśmy wczoraj wieczorem. Proste linie po bokach pokazują skały. Naturalnie kotlina, w którą weszliśmy, mogła okazać się tak zasypana kamieniami, że przejście byłoby zupełnie niemożliwe. Mapa nie jest aż tak szczegółowa i takich informacji nie podaje. Od tej chwili będziemy musieli ryzykować. Wykreślimy sobie rano jakąś trasę, a jeśli dojdziemy do miejsca, którym nie da się przejść, poszukamy innej drogi. Kłopot w tym, że ścigający nas ludzie też znają się na mapach. Wiedzą, które podejścia są łatwe, i tam się na nas zaczają. Dlatego musimy wybierać trasy trudniejsze.

– Mówiłeś, że chcesz nam powiedzieć o dwóch rzeczach...

– Tak. Teraz będzie o tym – odparł, sięgając do kieszeni.

Oczy Sary rozszerzyły się z ciekawości.

– Dotychczas nie musieliśmy z tego korzystać. Szliśmy w miarę prostym szlakiem i na ogół widzieliśmy cel wyprawy. Ale za następną granią zejdziemy znacznie niżej, do poziomu, z którego ruszaliśmy, a potem znów zaczniemy się wspinać, tyle tylko, że teren będzie pełen wąwozów, przecinających się żlebów i kręcąc się to w tę, to w tamtą stronę, bardzo szybko stracimy orientację, gdzie północ, gdzie południe. Dlatego będziemy musieli dokładnie wykreślać szlak i korzystać z kompasu.

– A słońce? – spytała Claire. – I mech na drzewach? To nam nie pomoże?

– Mech rośnie na drzewach z każdej strony, a słońce nie przesuwają się dokładnie ze wschodu na zachód. Jedyny pewny sposób wyznaczania kierunku to kompas. Było wielu myśliwych, którzy kierowali się słońcem. Kończyli tak, że gubili się w górach i umierali.

– Zupełnie jak my, nie uważasz? Wiemy, gdzie jesteśmy, i w ogóle, ale i tak

jesteśmy zagubieni. Dokąd idziemy? Co będziemy robić?

– Nie wiem – przyznał. Oczekał chwilę i powiedział: – Chyba spróbujemy przedrzeć się przez góry i zejdziemy na drugą stronę. O ile nie zaskoczy nas wcześniej śnieg. Bo jeśli zacznie sypać...

Nie wiedział, co powiedzieć dalej, więc tylko zawiesił głos i oparł się plecami o drzewo, patrząc, jak uśmiechnięta Sara bawi się kompasem, jak go obraca i obserwuje ruch igły, która wciąż pokazywała jeden kierunek.

9

– Tato, źle się czuję.

Znów był u siebie w domu, tuż po śmierci Ethana; lekarz dał mu pigułki. Pędził na górę po schodach i pytał: „Co ci jest?”, a ona odpowiadała: „Chce mi się wymiotować”. Tylko że to wcale nie był dom. Bourne leżał zziębnięty i skurczony pod wilgotnym kocem na polanie opodal strumienia i ktoś potrząsał go za ramię, mówiąc: „Tato, jest mi niedobrze”. Obudził się już na tyle, że zobaczył, jak Sara ucieka, zasłaniając usta ręką, i wymiotuje za drzewem. Zerwał się i podbiegł do niej, żeby ją przytrzymać. Claire stanęła obok.

– Co się dzieje?

– Nie wiem.

Sarą znów szarpnęło; nic nie zwymiotowała. Miała zszarzałą buzię; jej brzuch gwałtownie wznosił się i opadał.

Trzymał rękę na brzuchu córki i miał wrażenie, że coś mu boksuje dłoń od środka.

– Tato... – jęknęła, z trudem łapiąc oddech.

Miała konwulsyjne skurcze. Z jej żołądka dobywały się głuchoe odgłosy, głośno bekała, aż wreszcie kolejny skurcz szarpnął nią tak silnie, że z ust wyciekła strużka żółtej wydzieliny. Zmordowana, upadła na ziemię. Leżała w rowie pod drzewem. Trzymała się za brzuch i podkurczywszy kolana, jęczała.

– Ciii... – uspokajał ją. – Wszystko będzie dobrze. Nie ma się czym martwić.

To też już kiedyś mówił. Nie wiedział, co dzieje się z jego głową. Uklęknął obok Sary i dotknął zimnego, wilgotnego czoła. Czuł oszalałe bicie jej serca. Wstał, próbując pozbierać myśli.

– Coś jej zaszkodziło? – spytała Claire. – Zepsute jedzenie?

– Nie, jedliśmy to samo. Poza tym widzisz, że wszystko strawiła. Wymiotuje samym kwasem z żółcią.

– To co to jest?

– Wydaje mi się, że to choroba wysokości.
– Co takiego? Nie rozumiem.
– Sara jest mniejsza od nas i szybciej reaguje na zmiany. Ten wczorajszy bieg pod górę musiał ją zmęczyć bardziej, niż się spodziewałem.
– Dalej nie rozumiem.
– Sól. Organizm wyczerpał całą sól, a w jedzeniu było jej za mało, żeby uzupełnić braki.

Sara podniosła się na kolana. Powiedziała:

– Tatusiu – i wyrzuciła z siebie kolejną porcję żółtawej wydzieliny, a on natychmiast uklęknął przy niej i obejmując ją, powiedział:

– Wszystko będzie dobrze. Nic się nie martw. Wszystko będzie dobrze. – Spojrzał na Claire. – Tu, na górze, powietrze jest rozrzedzone. Każda czynność wymaga większego wysiłku. Człowiek bardziej się poci, a organizm potrzebuje soli, żeby związać wodę we krwi. Jeśli jej nie dostanie, woda zostanie szybko wypocona. Ile by nie wypła, natychmiast to wypoci i nastąpi odwodnienie.

– O Boże! Chcesz powiedzieć, że ona umrze?

Rzucił jej ostre spojrzenie. Pokręcił głową na znak, żeby nie mówiła przy małej takich rzeczy, i w tym momencie usłyszał:

– Już nie mogę – i Sarą znów szarpnęło, ale tym razem nie zwróciła nic.

– Nie, nawet gdybym miał stanąć na głowie. Musimy ją stąd jak najprędzej zabrać. Przytrzymaj Sarę. Osiodłam konie.

Biegł przez polankę do miejsca, gdzie uwiązał kłacz. Tym razem przywiązał wodze do drzew, bo polana była za mała, żeby mogły swobodnie chodzić, ale stały na tyle blisko strumienia, że mogły wyciągnąć szyję i pić do woli. Nad wodą, w chłodzie poranka, unosiła się blada mgiełka. Sól, myślał. Muszę zdobyć dla niej trochę soli. Dlaczego wcześniej nie przyszło mi to do głowy?

10

Szałas był zamknięty na kłódkę. Widział to już spomiędzy sosen, ze zbocza schodzącego wprost pod frontowe drzwi chaty. Obok drzwi znajdowało się zasłonięte okiennicami okno. Domyślił się, że inne też będą zamknięte. Po lewej stronie zauważył ogrodzony wybieg dla koni i stajnię, również zamkniętą na kłódkę. Miał wrażenie, że od pewnego czasu nikt tam nie zaglądał, ale nie mógł sobie pozwolić na nieostrożność.

Cofnął się na czworakach na szczyt wzniesienia i wstał, kiedy nabrał pewności, że nikt go z dołu nie dojrzy. Dopiero wtedy zaczął krążyć wśród drzew i zatrzymując się co

jakiś czas, oglądał chatę z różnych stron. Nie widział oznak ludzkiej obecności. Przyglądał się ziemi, wypatrując śladów stóp. Nie dostrzegł ich, co jednak nic nie znaczyło. Ci, którzy go ścigali, wiedzieli, jak zacierać za sobą wszelkie ślady. Mimo to sprawdzał wszystko, co mógł.

Ostrożnie zszedł na dół i zatrzymał się w bezpiecznej odległości od chaty. Zerkał na nią, rozglądał się, zataczał ostrożne kręgi. Jeżeli on dostrzegł na mapie tę kropkę, równie dobrze mogli dostrzec ją oni. A skoro w pobliżu nie było innego schronienia, z łatwością mogli się domyślić, że przyjdzie tu po dodatkowy sprzęt i jedzenie.

I po sól. Tam, na górze, skąd pierwszy raz zobaczył chatę, czekały Claire i Sara. Z jednej strony musiał dokładnie obejrzeć dom i okolice, z drugiej zaś musiał się spieszyć. Sara nadal miała mdłości, tylko patrzeć, jak zacznie wymiotować krwią.

W ogrodzonym wybiegu zobaczył założoną deskami dziurę. Okrażył cały teren i upewniwszy się, że nikogo tam nie ma, wszedł przez dziurę na wybieg. Stał i nasłuchiwał, czy nikt się tam nie czai, nie zbliża, czy nikt nie zachodzi go od tyłu, kryjąc się między stajnią a frontowym oknem chaty. W stajni nie było okien, a na drzwiach wisiała zamknięta kłódka, więc nie musiał się martwić, że ktoś tam jest. Nie sforsowaliby tych drzwi i nie zdążyliby go dopaść.

Pomknął jak strzała, przywarł do ściany i pod zamkniętym oknem nasłuchiwał odgłosów z wnętrza chaty. Wreszcie podjął decyzję. Chwycił łom, kuląc się, dopadł progu i wetknął metal między drzwi a kłódkę. Jedno gwałtowne szarpnięcie i oderwał nakładkę wraz z dużą drewnianą drzazgą. Zaraz potem rzucił łom i wpadł do środka z gotowym do strzału rewolwerem. Ale wewnątrz nie było nikogo.

A przynajmniej sądził, że nikogo tam nie ma. W chacie panowała głęboka ciemność. Bourne wpadł do środka oślepiiony słońcem, więc schylił się, skoczył w kąt i zastygł w bezruchu, póki oczy nie przywykły do mroku. Przy ścianie, z lewej strony, stało drewniane piętrowe łóżko; bez materaców i sprężyn – same dechy. Na prawo stał czarny, brzuchaty piec; metalowe rury wbijały się w sufit. Wnętrze chaty pachniało wilgotnym, gnijącym drewnem. Naprzeciwko drzwi, wysoko pod sufitem, wisiały gęsto upchane zapasami półki. Z krokwi zwisały ciężkie, pękate worki z płótna.

Chwilę trwało, nim ochłonął na tyle, by wstać, odetchnąć głęboko i podejść do drzwi. Pomachał Claire i Sarze, żeby do niego zeszły. Czekał. Nie widział ich. Bał się, że ktoś je na górze zaskoczył. Wreszcie zobaczył, jak wyłaniają się z lasu. Claire siedziała na gniadej i podtrzymując przed sobą Sarę, prowadziła myszatką i srokatą. Z każdym krokiem stawały się coraz większe, a kiedy doszły do miejsca, gdzie kamienisty szlak przechodził w miękką ścieżkę, Bourne ruchem ręki nakazał im stanąć, podszedł do nich i pomógł Sarze zsiąść z konia. Zsunęła się ciężko na ziemię.

– Lepiej się czujesz?

Niemrawo kiwnęła głową.

– No myślę! – rzucił wesoło, a potem zwrócił się do Claire: – Zaczekaj przy koniach. Przyniosę ci, co tam znajdę. Będziesz ładować.

Na drugiej półce znalazł dwa owinięte plastikiem śpiwory. Co prawda nie tego szukał, ale że wpadły mu w oko, zaniósł je Claire, a potem wrócił po sól. Właściciel chaty musiał gdzieś mieć sól. Musiał ją trzymać dla koni, na wiosnę. Czy dla jakiegoś robotnika, którego zaskoczyła zamieć w górach, albo dla kogoś, kto wpadł w tarapaty.

Ale na półkach jej nie znalazł. Stały tam tylko puszki z wołowiną, łososiem i sardynkami, mąka, zupy w proszku, ciasto naleśnikowe w proszku w foliowych torebkach, fasola, rodzynki – wszystko oprócz soli. Nie było jej też w pierwszym worku, który odczepił z krokwi. Ani w drugim. Ogarnął go niepokój. Rzucił się do trzeciego, ostatniego worka, kiedy nagle olśniło go i wrócił do drugiego. Znalazł. Za pierwszym razem sądził, że plastikowa torebka między zwojami sznurów, rzemieniami i popręgami zawiera kostki cukru. Ale teraz rzucił się na nią łapczywie, spróbował i stwierdził, że znalazł. Sól, kamienna sól. Małeńkie szarobiałe odłamki solnego kamienia, tu i ówdzie upstrzonego czarnymi kropkami. Wyjął z torebki dużą bryłkę i ssąc ją jak cukierek, wybiegł z chaty, żeby zanieść sól córce.

– Połóż to sobie na języku – instruował. – Tylko nie próbuj połykać. Od razu zwymiotujesz. Masz – zwrócił się do Claire, wręczając żonie kilka małych kawałków. I znów tłumaczył Sarze: – Ssij. Popij łyżkiem wody. Malusieńkim łyżkiem.

I wtedy znów to usłyszał. Daleki warkot silnika. W pierwszej chwili tak odległy i cichy, że nie wiedział, czy mu się aby nie zdawało. Ale po chwili nie miał już wątpliwości. Spojrzał na Claire. Ona też słyszała. Nie musieli nic mówić. Claire podsadzała Sarę na konia, a on wkładał stopę w strzemię, kiedy zrozumiał, że musi wrócić. Chata. Nie mógł tak zostawić chaty.

Pobiegł do otwartych drzwi i zaczął podpinąć worki pod sufitem. Nagle doszedł do wniosku, że lepiej załatwić to inaczej. Opróżnił drugi worek, przerzucił sznury i rzemienie do pierwszego i zawiesił go na właściwym miejscu. Chwycił pusty wór i wypełnił go puszkami i pudełkami z półki. Pamiętał, że nie może brać za dużo z jednego miejsca, żeby wyłom w zapasach nie rzucał się zbyt w oczy. Pobiegł do wyjścia. Zamknął za sobą drzwi. Rzucił wypchany worek i chwilę mocował się z kłódką, żeby założyć ją najlepiej, jak się da. Wcisnął śruby w drewno i wetknął na miejsce wyrwaną z drzwi drzazgę. Z daleka nie zobaczą, że ktoś tu zaglądał, przynajmniej nie od razu. Wiedział, że prowizorka nikogo nie zmyli, ale wolał nie zostawiać drzwi otwartych na oścież. Poświęcił temu tylko tyle czasu, ile mógł, a później chwycił worek, puścił się

pędem do Claire i Sary, zaczepił worek o łęk myszatej i wskoczył na siodło. Kiedy zawracali konie w stronę lasu, stłumiony warkot silnika był już głośniejszy i bliższy. Claire przytrzymała Sarę przed sobą, on prowadził sroką i tak galopowali po skalnym szlaku. Kamienie pryskały spod kopyt, stukwały podkowy. Uciekali w górę, by skryć się wśród świerków.

11

Nie miał czasu, żeby wybrać na mapie najlepszą trasę ucieczki. Wyprowadzał je z zagrożonego terenu najszybciej jak mógł: przez góry, kotliny i parowy. Pięli się stromymi zboczami, schodzili w dół, raz wjechali w jakiś ślepy wąwóz, skąd musieli zawrócić, ile sił w koniach, i znów pędzić pod górę, głębiej w las, ku szczytom. Tylko raz zatrzymał się, żeby sprawdzić, czy nie słyszy warkotu, ale śmigłowiec albo już gdzieś usiadł, albo poleciał dalej. Tak czy owak, już go nie słyszał. Tylko że to nic nie zmieniało. Wiedział, że niebawem znów go będą mieć na karku. Śmigłowiec albo jeźdźców. Mocno dźgnął klacz, objechał bokiem łąkę i ostro skręcił w labirynt parowów, żlebów i kotlin.

Zatrzymał się tylko po to, żeby dać Sarze odrobinę wody i soli. Patrząc na spienione, ciężko dyszące konie, doszedł do wniosku, że jeśli nie da im odpocząć, niedługo padną. Zsiadł, wziął sroką i myszatkę za wodze i zaczął je prowadzić. Claire i Sara jechały wolno za nim. Weszli w kamieniste koryto wyschniętego strumienia. Pod kopytami chrzęściły drobne kamyki. Po obu stronach rosły świerki. Rosły tak gęsto, tak ciasno spletały się gałęziami, że nie przepuszczały słońca. Bourne wyjął mapę i oglądał ją badawczo w trakcie marszu. Odcięty od świata murem drzew, nie widząc żadnego charakterystycznego punktu w terenie, nie mógł się w niej zorientować. Spod chaty uciekali w popłochu, wybierali przypadkowe ścieżki, dlatego nie wiedział, gdzie teraz są. Suche kamienne koryto zaczęło opadać stromiej i Bourne zauważył, że od czasu do czasu prześwitują promienie słońca. Las stawał się coraz rzadszy, skała coraz bardziej naga, aż wreszcie wyszli na iłolupkowe zbocze, schodzące do ogromnego wąwozu. Jakies półtora kilometra dalej skały z lewej i z prawej strony kanionu stykały się ze sobą. Ściany wąwozu górowały nad gładkim kamiennym dnem, którego środek porastały brunatne kępki karłowatej trawy. W życiu czegoś podobnego nie widział. Odbite od skał i kamieni promienie słońca niemal go oślepiły. Nad wąwozem gwizdał ostry wiatr.

Natychmiast odnalazł to miejsce na mapie; zaznaczono tam tylko kawałek tej skalnej patelni. Musiał wyjąć inną mapę, żeby zobaczyć ją w całości. Stało na niej wyraźnie: PUSTYNIA OWIEC. Wiedział, skąd ta nazwa, i wyjaśnił to Claire i Sarze. Kiedy

przyszli tu pasterze ze swymi stadami owiec, hodowcy bydła wypchnęli ich wysoko w góry, niechętnie zezwalając na korzystanie z najgorszych pastwisk.

– W końcu hodowcy krów nie chcieli im pozwolić nawet i na to, i zaczęły się walki. Kowboje brali strzelby, szli w góry, zabijali owczarzy, a ich stada przepędzali na drugą stronę gór. Wtedy właściciele owiec sprowadzili z Hiszpanii Basków i najęli ich do pilnowania stad. Baskowie byli pasterzami z dziada pradziada, jak sięgnąć pamięcią, i nie lubili, kiedy obcy choćby tylko patrzyli na ich owce. Więc kiedy kowboje przyszli tu znowu, Baskowie zorganizowali zasadzkę i czekali na nich w ukryciu. Tak to było. Raz jedni wygrywali, raz drudzy. Więcej kowbojów szło w góry, więcej Basków przyjeżdżało pilnować owiec. Ostatecznie wygrali oczywiście kowboje. Ale wojna o pastwiska trwała tu aż do dwudziestych lat naszego stulecia. Gdybyśmy przecięli tę skalistą patelnię, znaleźlibyśmy jeszcze pasterskie szałas, drewniane zagrody i kamienne mury po Baskach.

Ale nie przecinali wąwozu. Kamienne podłoże kanionu u stóp wysokich skał było dokładnie tym, czego Bourne szukał. Suche dno dawnego strumienia nie zdradzi ich śladów, iłołupkowe zbocze przed nimi tym bardziej. Widział, które rozpadliny dochodzą do samego szczytu, i nie bał się już, że wpadną w pułapkę bez wyjścia. Obejrzał też sam szczyt. Las nie porastał ostrych krawędzi skał, więc tam, na górze, też nie zostawia śladów. Zanim ścigający odkryją, którądy uciekli, on i jego rodzina znikną na dobre w jakiejś rozpadlinie.

Jedynym zmartwieniem były zadrapania, jakie końskie podkowy mogły zostawić na skale. Więc kiedy Claire niosła Sarę do kanionu, zostawiając mu oporządzenie koni, podarł jeden z koców na pasy, owinał klaczom kopyta i obwiązał pęciny. Chwilę trwało, nim konie przyzwyczyły się do butów z koca i zaczęły stawiać nogi płasko, żeby łatwiej było stapać. Po jakimś czasie szły już normalnie, więc znów ich dosiedli. Claire usadziła Sarę przed sobą, jak poprzednio, on zaś prowadził srokatą i jechali wolno prawą stroną kanionu. Na skalnym podłożu obwiązane materiałem kopyta wydawały głuchy klekot. Poza tym stłumionym odgłosem i gwizdem wiatru nad szczytami było zupełnie cicho i spokojnie.

Minęli już jedną trzecią długości kanionu, gdy zaczął przyglądać się skalnym rozpadlinom. Wybór pierwszej z brzegu wydawał mu się za prosty. Poza tym, te pierwsze zaprowadziłyby ich tam, skąd dopiero co przyszli, a on chciał pójść w zupełnie przeciwnym kierunku, chciał znaleźć się w nowym otoczeniu. Minęło już południe i padały na nich ukośne promienie słońca. Mimo kapelusza z dużym rondem czuł, jak grzeje go w głowę. Rozpiął kurtkę, wyciągnął ze spodni przepoconą koszulę. Spojrzał w błękitne niebo i hen, wysoko, ujrzał ptaka. Jastrząb, pomyślał. A może sokół.

– Weź następną grudkę soli – przypomniał jadącej za nim Sarze.

Kiedy znaleźli się w połowie kanionu, zaczął poważnie rozglądać się za jakąś dużą szczeliną w skalnej ścianie, taką, która mogłaby ich wyprowadzić z wąwozu. Pierwsza była zbyt stroma. Następna, jakieś pięćdziesiąt metrów dalej, wyglądała dokładnie tak jak trzeba: gładka i łatwa, aż po sam szczyt. Właśnie dlatego jej nie wybrał. Zdawała się zbyt oczywista. Kolejna nie pięła się w górę. Szeroka na trzy konie, prowadziła w głąb skalnej ściany i nagle skręcała nie wiadomo dokąd. I z jakiegoś zupełnie niejasnego powodu zdecydował się właśnie na nią.

Rozpadlina skręciła i stała się jeszcze szersza, a kiedy stracili z oczu wejście, skalny wąwóz rozbrzmiał echem kopyt. Spojrzał na wąski pasek nieba nad głową, popatrzył przed siebie. Zobaczył, że trasa rozwidła się w lewo i w prawo. Skręcił w prawo. Zaczął go nękać niepokój, czy w ogóle dokądś tędy dojdą, czy nie staną nagle przed urwistą ścianą i nie będą zmuszeni wracać. Postanowił, że jak tylko dojadą do miejsca, gdzie nie będą mogli zawrócić koni, ruszą z powrotem. Ale za każdym razem, kiedy szczelina niebezpiecznie się zwężała, widział, że dalej znów jest szersza, więc jechał przed siebie z nogami skrzyżowanymi na łęku, bo skalne ściany drapały boki siodła. Zobaczył kolejne rozwidlenie i znów skręcił w prawo, żeby nie komplikować ewentualnej drogi powrotnej. Raz myszata poczuła się tak osaczona przez skały, że usiłowała stanąć dęba i zawrócić. Musiał ją osadzić i uspokoić, poklepać delikatnie po szyi i szepnąć coś do ucha. Potem wyciągnął rękę do góry. W tym miejscu skały wisiały tak nisko, że sam zaczynał się dusić. Jak tylko wąskie gardło poszerzyło się nieco, zsiadł z konia i poprowadził myszatkę za wodze. Spojrzał za siebie, na żonę i córkę. Dobrze wiedział, że tu, w tych wąskich przesmykach, Claire czuje się jeszcze gorzej niż on. Żałował, że nie może jej pomóc. Skalne ściany były zimne i wilgotne jak w jaskini. Rozpadlina opadła troszkę i stanęła przed kolejnym rozwidleniem. Skręcił w lewo, żeby wprowadzić nieco zamieszania, przekonany, że zaraz i tak będą musieli wracać. Skoro jednak dotarli aż tutaj, postanowił iść dalej. Wyobrażał sobie, jak ten labirynt może wyglądać z góry. Zerknął na zegarek. Jechali dobry kawał czasu. Spojrzał przed siebie. Rozpadlina skręcała. Gdy wyszedł zza zakrętu, ostry blask słońca oślepił go tak, że musiał zmrużyć oczy i osłonić je ręką.

Być może właśnie z powodu rażącego słońca, a może z powodu szoku, jaki przeżył, wychodząc nagle spomiędzy skał i wyprowadzając klacz na otwartą przestrzeń, nie mógł uwierzyć w to, co widział.

– Co to jest? – zapytała Claire.

– Nie wiem. Tego nie powinno tu być – odparł, niezdarnie wyciągając mapę. – Zobacz. To mamy Pustynię Owiec. A tu jest teren rozciągający się za skalną granią. Jeśli ci, którzy robili mapę, zaznaczyli coś równie małego, jak ta chata, spod której jedziemy,

musieliby tym bardziej zaznaczyć coś tak wielkiego.

Stali w górnej części doliny, którą płynęła rzeka. Dolina ciągnęła się aż po horyzont. Z boków była obramowana stromymi skałami, które przechodziły w łagodne, zalesione zbocza. Pod nimi błyszczała w słońcu rzeka. Ten widok przypominał mu fotografie z dolin w Andach; drzewa i łąka tryskały soczystą zielenią, a cały obraz drgał w rozgrzanym słońcem powietrzu niczym miraż. Dolina była wyraźnie zaznaczona na mapie i nie to go niepokoiło. Nie mógł uwierzyć w coś innego. Oto nad rzeką, pośrodku wielkiej łąki, nachalnie rzucał się w oczy długi, rozległy i wąski prostokąt miasta przeciętego główną ulicą, podzielonego na kwadraty prostopadłymi uliczkami, miasta zbudowanego dla jakichś dwóch, trzech tysięcy ludzi. Miasta zupełnie wymarłego.

– Coś tu jest nie tak – zauważyła Claire. – Chyba patrzysz na złą mapę.

– Nie – odparł, wyjmując kompas i przykładając go do papieru – to nie pomyłka. Dolina jest pięknie wyrysowana, tyle że bez miasta.

– Przecież to niemożliwe! Jak ktoś, kto robił mapę, mógł przeoczyć miasto?!

– Nie wiem. Czasami mapę sporządza się na podstawie zdjęć lotniczych. A czasem ktoś wchodzi na najwyższy punkt w okolicy i wyrysowuje ją stamtąd. Może tego nie widzieli? A może tak się spieszyli, że zapomnieli nanieść na mapę?

Ale nie wierzył w to ani przez chwilę. Jedyнным możliwym wyjaśnieniem, które i tak go w pełni nie przekonywało, było to, że ktoś, kto informował historyków i władze, że takie miasto istnieje, specjalnie nie umieścił go na mapie, żeby uchronić je przed zbieraczami pamiątek, którzy natychmiast by tu ściągnęli i zdewastowali to miejsce jak szczątki indiańskich *pueblo* w Arizonie.

Może. Ale nie mógł w to jakoś uwierzyć. Już sprowadzał konia po stromym kamienistym zboczu, kiedy uświadomił sobie, jak bardzo to miejsce go przyciąga. Przywiązał klacz do świerka i wspiał się z powrotem na górę, żeby pomóc Claire zsadzić Sarę. Zniósł córkę, zostawił ją wśród drzew i znów wrócił, żeby sprowadzić gniadą i sroką. Po jaskrawym słońcu Pustyni Owiec pod świerkami było chłodno i mroczno. Dał Sarze łyk wody i kazał jej possać grudkę soli. Później znów wsiedli na konie, Claire usadziła Sarę przed sobą i ruszyli w dół doliny. Dolina sprawiała wrażenie parku. Nie rosło tam nic oprócz świerków, które stały w równych odległościach od siebie i strzelały wysoko w niebo; poszycie wyglądało jak gruby kobierzec utkany z brązowych igieł. Po chwili zrobiło się na tyle zimno, że musiał zapiąć kurtkę.

Kiedy doszli do rzeki, okazało się, że woda płynie w niej prawie bez szmeru. I chociaż cały czas rejestrował niezwykły spokój kotliny, dopiero w tym momencie uderzyło go, że zakłętą ciszę lasu zakłóca tylko stąpanie koni. Nie słyszał śpiewu jesiennych ptaków, żadne zwierzę nie szurało w świerkowych igłach ani nie skakało

z gałęzi na gałąź. A i chłód, który ich tak nagle ogarnął, nie wynikał tylko z niższej temperatury powietrza. Jego źródło tkwiło w samej dolinie. Coś w niej było nie tak.

Rzeka, chociaż cicha – ledwie szeptała – płynęła szeroko, wartko i była tak głęboka, że musieli długo jechać brzegiem, żeby odnaleźć bród. Z lewej strony, między drzewami, leżały poprzewracane chaty. Nieco dalej wały się sążnie drewna, które miały stanowić fundamenty domów. Nigdy ich nie wykorzystano. Po drodze trafili na wóz ze spękanego drewna, spod którego wystawały sterczące szprychy kół. Objechali go bokiem i dotarli do miejsca, gdzie skały, drobne kamienie i osad rzeczny utworzyły bród. Przechodząc przez rzekę – woda sięgała koniom ledwie do kolan – zobaczyli na dnie dużą, zardzewiałą miskę.

Był taki moment, kiedy Bourne przestraszył się, że wartki nurt spłoszy konie i sprawi, że będą chciały zawrócić, że staną dęba i spróbują zrzucić z siebie jeźdźców. Bał się, że Sara spadnie. Ale zanim przeraził się na dobre, byli już na drugim brzegu. Na łące, z dala od drzew, poczuł się swobodniej. Zarządził krótką przerwę, żeby konie zaspokoili pragnienie. Wiedział, że powinien to zrobić wcześniej, ale tam, w lesie, dręczył go jakiś niepokój. Konie piły i piły bez końca, aż wreszcie musiał je siłą odciągać od wody w obawie, że się rozchorują. Potem spojrział na wysoką zieloną trawę na łące, tak inną od karłowatych kępek na Pustyni Owiec – i w ogóle od wszelkiej trawy, jaką dotąd mieli okazję oglądać – i wyobraził sobie, jak wyraźne ścieżki wydepczą w niej konie. Wiedział, że z powietrza będzie je widać jak na dłoni, dlatego postanowił trzymać się brzegu. Szli więc tuż przy rzece. Po drodze dostrzegli na mieliźnie zardzewiałą łyżkę szpadla, którego trzonek już dawno zgnił. Wreszcie dotarli do drogi. Odbijała lekko w prawo i przecinając łąkę, prowadziła do miasta. Trawa sięgała tu koniom ledwie do pęcin, miejscami wзираła spod niej naga ziemia, a po bokach widniały ślady kolein. Gdyby miasto było równie stare jak chaty, które widzieli po drodze, droga w ogóle nie powinna się ostać. Nie mówiąc już o samym mieście.

Leżało jakieś sto metrów przed nimi. Niskie budynki o spadzistych dachach, wszystkie identyczne, oprócz tych po obu stronach głównej ulicy. Te były piętrowe i miały płaskie dachy. Zbliżając się do obrzeży miasta, mijali bezładnie postawione szałas. Domy próchniały, gnijące drzwi zwiisały na zawiasach, w oknach brakowało szyb. Ale nie zbudowano ich z belek, jak chaty na łące po drugiej stronie rzeki. Wzniesiono je z heblowanych desek, od frontu położono wysokie drewniane chodniki, w dali zaś widniała strzelista wieża kościoła. I chociaż drewno było teraz spękanie i wypaczone, chodniki się miejscami pozapadały, a z wieży kościoła zwiisał smętnie krucyfiks, nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że miasto budowano z dumą i rozmachem. Pośrodku ulicy leżała zrzucona przez wiatr tablica. MARERRO. Litery

głęboko wypalone w drewnie. Pod spodem – teraz ledwie już czytelna – informacja: 4000 mieszkańców. Z czasem ktoś przekreślił cięciem noża liczbę 4000 i wyciął niewprawnie nową: 350. Minęli sklep ze słodyczami, tytoniowy, chemiczny, dwie pralnie usytuowane dokładnie naprzeciwko siebie, zakład fryzjerski i sklep kolonialny. Niektóre szyldy spadły i leżały przed drzwiami, inne wciąż trwały, elegancko wymalowane na nielicznych jeszcze całych szybach. Przejechali już pół ulicy, kiedy Bourne zatrzymał się wreszcie, rozejrzał i uznał, że mogą zsiąść z koni.

Przed największym budynkiem w mieście stała tablica informacyjna z napisem: GOSPODA MARERRO. Budynek był szerszy od innych i miał na dachu drewnianą ozdobę: nad frontową ścianą zamocowano zbity z desek trójkąt. Na dole, po obu stronach podwójnych drzwi, widniały zakurzone duże okna; na górze, pomiędzy szeregu mniejszych, wystawał balkon. Bourne przywiązał konia do metalowej barierki przed ratuszem i wszedł na chodnik, kierując się do wejścia. Wokół panowała absolutna cisza, nie zakłócona najcichszym nawet dźwiękiem: szyldy nie skrzypiały, po opustoszałych wnętrzach nie hulał wiatr. Ta cisza była tak przejmująca, że kiedy jego noga zapadła się w spróchniałym chodniku, nagły trzask łamanego drewna postawił go na baczność. Zupełnie bez sensu, natychmiast pomyślał o węzłach i gwałtownie wyrwał nogę z dziury, rozpruwając sobie nogawkę spodni.

– Chryste! – szepnął i miał wrażenie, że słowo, które mu się wyrwało, ma smak kurzu.

Od tej chwili badał stopą deski, nim oparł się na nich całym ciężarem. Uginały się pod nim. Otworzył zewnętrzne drzwi, potem wewnętrzne, zajrzał do środka. Całą lewą ścianę zajmowało zakurzone i zasnutę pajęczynami lustro oraz bar. Na dole baru zobaczył zmatowiałą szynę z miedzi – oparcie na nogi – ze spluwaczkami pośrodku i na końcach. W centralnym miejscu dużej sali rozmieszczono stoliki i krzesła. Stały na nich jeszcze szklanki i butelki. Odsunięte od stołów krzesła sprawiały wrażenie, jakby ludzie dopiero co wstali i wyszli. Naprzeciwko drzwi umieszczono wysoki parkiet do tańców, a w rogu stało pianino obramowane podkasanymi, zakurzonymi i nadgryzionymi zębem czasu kotarami z aksamitu. Schody przy prawej ścianie niknęły w suficie.

Marerro, pomyślał i zwracając się do Claire i Sary, stojących wciąż na ulicy, zawołał:

– Wszystko w porządku! Możemy wejść! – I wszedł. Ogarnął wzrokiem wnętrze, spojrzał na wiszący pod sufitem kandelabr wykonany ze świeczek wbitych w koło od wozu.

Prowadziło go słońce padające przez drzwi. Smuga światła tworzyła jasny trójkąt na podłodze, którego wierzchołek leżał gdzieś w połowie sali.

– Otwórz szeroko drugie drzwi – powiedział do Claire. W jaśniejszym oświetlonym

pomieszczeniu dostrzegł grubą warstwę kurzu na stołach, szklankach i butelkach. I na podłodze. Obejrzał się i zobaczył ślady swoich stóp.

Wszedł na parkiet Zatrzeszczały deski. Obejrzał wypalone świece ustawione wzdłuż krawędzi parkietu przed metalowymi lusterkami – miały stanowić oświetlenie nóg tancerzy. Marerro, powtórzył w duchu. Claire i Sara szły za nim.

– Kto to był ten Marerro, do cholery?

– Meksykanin – usłyszał za plecami.

Ten głos go sparaliżował. Przez chwilę nie mógł się ruszyć ani nawet oddychać, nie mógł nic. Nagle coś w nim zaskoczyło i wykonał błyskawiczny obrót z rewolwerem w dłoni. Ale na linii strzału stały żona i córka i kiedy wychylił się w prawo, przygarbiony, kiedy wysunął przed siebie uzbrojoną rękę, zobaczył wysokiego, siwego starca, który stał w drzwiach z psem u nogi i wycelowaną strzelbą. Pies, bez kagańca, obnażał ostre zęby, gotowy do skoku.

– Hej, synku, skieruj tę spluwę gdzie indziej – odezwał się stary. – Nie mam wątpliwości, że byś mnie trafił, ale palce mam przyklejone do cyngla i na pewno zdążyłbym pociągnąć za spust. A gdybyś jakimś cudem przeżył, to załatwi cię pies. Więc skieruj ją gdzie indziej.

Ale Bourne nie spuszczał starego z muszki. Wciąż pochylony, celował w siwego mężczyznę i czuł, jak sztywnieje mu palec na spuście.

– Mógłbym go poszczuć na tę małą – ciągnął stary. – Wtedy nie wiedziałbyś, gdzie walić najpierw, i miałbym cię jak na widelcu. Daj spokój, jest remis.

Bourne nadal się nie ruszył. Stał spięty i drżał na całym ciele, a stary patrzył na niego niespokojnie. Wreszcie starzec wzruszył ramionami, opuścił strzelbę, zamknął kurki i oparł broń o ścianę.

– No dobra, skoro to ja miałem zrobić pierwszy krok, już go zrobiłem. Teraz twoja kolej.

Bourne odetchnął.

– A pies?

Pies stał obok swojego pana, wciąż gotów do ataku. Wystarczyło jednak, że stary mruknął: Ciii... – i zwierzę natychmiast położyło się u jego nogi.

Bourne czuł, że wraca mu zdolność ruchu. Wyprostował się, zaczął oddychać.

– Nie mówię, żebyś odłożył broń, nic z tych rzeczy – powiedział starzec. – Chcę, żebyś celował gdzie indziej.

Wreszcie go usłuchał. Zamknął odwiedziony kurek, opuścił rękę. Stary uśmiechnął się, ukazując żółte, nierówne zęby.

– O to chodziło, chłopcze. Patrzyłem, jak ci się trzęsie ręka, i byłem pewny, że za

chwilę będzie tu dwóch sztywniaków. – A potem roześmiał się. Otwarte usta tworzyły dziurę w jego twarzy. Skóra oblekająca czaszkę dawno już minęła fazę zmarszczek, bo już nie było pod nią ciała. Mocno opinała szczękę, czoło i kości policzkowe, nakładając na wychudzoną twarz bladożółtą maskę, jak u mumii. Wystrzępione spodnie i marynarka wisiały na starym jak na kołku, stwarzając wrażenie, że są pod nimi same kości. Zanosił się wysokim, gdaczącym chichotem.

– Tak, mój panie. Obaj kłanialibyśmy się świętemu Piotrowi. A Marerro był Meksykaninem. Przyjechał w te okolice i znalazł dziesięciokilową bryłę złota. Kiedy ściągnęli tu za nim inni, powiedział im, że wie, gdzie można znaleźć więcej takich samorodków. Więc zbudowali miasto i nazwali go jego imieniem. Potem złapali go, jak gził się z jakąś białą, i zlinczowali faceta, ale ponieważ utracili przez to całe złoto, dość parszywie się czuli i nazwy jakoś nie zmienili.

– Mówisz o tym tak, jakbyś tu wtedy był.

– Tak jakby, synu, tak jakby. Widzisz, zbudowali to miasto w tysiąc osiemset siedemdziesiątym dziewiątym. Co prawda mam już swoje lata, ale tak stary nie jestem. Wszystkiego dowiedziałem się z miejskich kronik. Leżą w budynku sądowym. To przy tej ulicy, tam dalej. Twoja mała chyba trochę choruje, co?

Sara siedziała zgarbiona na krześle przy stole. Miała opuchniętą, zszarzałą twarz; powieki opadały ciężko, przysłaniając matowe oczy. Przed nią – cóż za absurd – stała zakurzona szklanka i butelka.

– Zmiana wysokości.

– Z tym sobie poradzimy. Ale nie tutaj. Niedługo będzie zdrowa jak rydz. Jak się czujesz, mała? – zapytał, podchodząc do Sary. Pies wstał, żeby pójść za nim, ale stary mruknął: – Ciii... – i zwierzę położyło się na dawnym miejscu. – Nie chcę, żebyś się znów zdenerwował, synu – wyjaśnił stary, zbliżając się do stołu. – Nie chcę, żebyś znowu wpadł w tę swoją trzęsawkę. – I znów zachichotał. Sara odsunęła się od niego, kiedy stanął przy jej krześle. – Wszystko w porządku, kochana. Nie bój się mnie. Sto lat nie widziałem małej dziewczynki. Jak ci na imię?

Spojrzała na ojca. Kiwnął głową.

– Sara.

– Sara, he? Ładne imię. Znałem kiedyś pewną dziewczynkę o tym samym imieniu. Jej matka też miała na imię Sara. Ale to było tak dawno temu, że nie pamiętam ich twarzy. Wiem tylko, że obie były ładne. Przynajmniej tyle. Ile masz lat, Saro?

– Osiem.

– Osiem lat. To najlepszy wiek. Nigdy nie miej więcej. Pamiętam, jak to było, kiedy sam miałem osiem lat. Mieszkałem z ojcem na farmie w Kalifornii. Pogryzł mnie pies

podobny do tego tutaj, ale nie tak duży. Miałaś kiedy psa?

Potrząsnęła głową.

– A chciałabyś zobaczyć go z bliska?

Myślała chwilę, a potem kiwnęła głową.

– Mogę go jej pokazać? – zapytał stary Bourne’a.

Bourne nie wiedział.

Stary czekał.

– Tak.

– Jesteś pewien? Jesteś pewien, że możesz mi zaufać? Przecież masz spluwę w garści.

– Nie, nie jestem. Ale psa możesz jej pokazać.

Stary uśmiechnął się i zagwizdał. Pies podszedł do niego natychmiast. Ciemny, masywny, o kwadratowym pysku, głową sięgał powyżej stołu. Sara cofnęła się instynktownie.

– Nie ma się co bać. Wyciągnij tylko rękę, on cię powącha.

Wahała się. Wreszcie wolno, niepewnie, wyciągnęła rękę. Pies obwąchał jej palce, polizał je i wrócił do nogi starego.

– Sama widzisz – powiedział tamten, klepiąc psa. – Nie było się czym denerwować.

Wyprostowała się, usiadła pewniej i z ciekawością patrzyła na zwierzę.

– Jak on się nazywa?

– Nie ma imienia. Jakoś nigdy go nie nazwałem. Wołam na niego pies. Po prostu.

Pies postawił uszy.

– Znalazłem jego matkę, kiedy błąkała się po tutejszych lasach. Owczarek niemiecki. Prawdopodobnie urwała się jakiemuś myśliwemu albo poczuła zew krwi i uciekła. W końcu sparzyłem ją z wilkiem, no i urodziła tego psa. Ale starczył za cały miot. Zamarzła na śmierć dwa lata temu. Wymiotowałaś, Saro?

Skinęła głową.

– Boli cię brzuch, co?

Następne skinienie. Cofnęła się na widok jego uniesionej ręki.

– Spokojnie, Saro. Chcę tylko dotknąć twojego czoła. – I znów zwrócił się do Bourne’a: – Na pewno mogę jej dotknąć? – Znów ukazywał w uśmiechu żółte zęby. – Na pewno mnie nie zastrzelisz albo co?

Bourne nie odpowiedział, a stary stulił dłoń i dotknął czoła Sary.

– Ma za niską temperaturę. Dawalesz jej sól?

– Jak tylko mogłem.

– To jej trochę pomoże, ale nie wystarczy. Trzeba ją dobrze napoić. Żeby się

nawodniła.

– Od razu zwymiotuje.

– Nie. Jeśli wypije moją mieszankę, nie zwymiotuje.

– A co to za mieszanka?

– Chodźcie do mnie. Mieszkam na końcu ulicy. Pokażę wam.

– Tutaj nam się podoba.

– O, coś takiego! Nigdy nie przepadałem za tym hotelem. Ani za facetem, który go prowadził. Nie znosiłem go. Zawsze wołałem hotel na drugim końcu miasta. Mam tam miłe gniazdko. Pokój dla siebie i wszystko co trzeba.

– Mówiłeś, że jesteś za młody, żeby pamiętać, jak tu kiedyś było.

– Tak mówiłem? Hmm... Jedno wyklucza drugie, prawda? Widocznie się myliłem. Teraz albo wtedy. – I znowu wyszczerzył żółte zębiska, rozejrzał się po sali i powiedział:

– Może masz rację. Człowiek nie powinien upierać się przy swoich przyzwyczajeniach, to oznaka starości. Ten jeden raz zrobię wyjątek.

Ruszył do drzwi.

– Zaraz, zaraz. Dokąd idziesz?

– A jak myślisz? Do siebie, żeby przynieść co trzeba. Bo co? Tylko mi nie mów, że chcesz iść ze mną.

– Chyba tak.

– Mógłbyś się wreszcie zdecydować. Raz chcesz, raz nie chcesz. Lepiej uważaj, bo ci się wszystko pomiesza. – Sięgnął po strzelbę.

– Zostaw.

– A to co znowu, synu?

– Strzelba zostaje. – Zachowując bezpieczną odległość, podszedł do ściany i wziął strzelbę starego.

Pies zeszywniał i zawarczał.

– Ciii – mruknął stary i rozciągnął usta w uśmiechu. – Nasz synuś jest tylko ostrożny, nie ma się co denerwować. – Uśmiech nie zniknął z jego twarzy, kiedy Bourne niósł strzelbę do Claire.

– Zostaw tę dwudziestkę dwójkę – powiedział Claire. – Jeśli ktoś tutaj przyjdzie, wal z tego. Nie przejmuj się odrzutem. Tego faceta i tak bardziej zaboli niż ciebie.

– Ktoś ma tu przyjść? – zdziwił się stary. – I to cię tak martwi? Myślisz, że ktoś tu ze mną jest i kiedy stąd wyjdziemy, ten facet tu przyjdzie, żeby...

– Tak myślę – uciął Bourne.

– Hm, nie takie to głupie. Dobrze kombinujesz. Ale jak mówię, nie ma się czym martwić. Mieszkam tu, bo chcę żyć z dala od ludzi. Nie sądzisz chyba, że zaszyłbym się

w tym mieście, gdyby mi zależało na towarzystwie, co? Was troje to dla mnie niezły tłok. Gdybyście chcieli zabawić tu dłużej, musiałbym się przymierzać do wyprowadzki.

– Wszystko jedno.

– Jasne – mruknął stary – nie ma się o co obrażać. Na twoim miejscu zrobiłbym to samo. – Z tymi słowami ruszył do drzwi; pies za nim. W pewnym momencie starzec odwrócił się i powiedział: – Ale jak będziemy tu tak stać i gadać, twojej małej tylko się pogorszy. Idziemy. Musisz wprowadzić konie do stajni. Niedługo zapadnie zmrok. – I zniknął.

Bourne wyszedł za nim na chodnik.

– Stajnie są niedaleko stąd – objaśniał stary, idąc ulicą z psem przy nodze. Bourne odwiązał konie i ruszył za nim. – Co wy tu w ogóle robicie?

– Jesteśmy na wycieczce.

– Jasne. Bez namiotu i jucznych koni. Na wycieczce. Tak, tak...

– Planowaliśmy kilkudniowy wypad w góry, ale zabłądziliśmy.

– Pewnie. To po co ci tyle map i kompas? Mało ci kieszeń nie pęknie!

– Myślałem, że umiem się nimi lepiej posługiwać.

– Gdyby tak było, na mój widok skakałbyś z radości, a ty wyciągnęłaś broń. Nie, nie. Obwiązałaś koniom kopyta, no i w ogóle to wszystko razem... Uciekasz przed kimś, to jasne jak słońce. Do diabła, człowiek, który zabłądził w lesie, nie przeciskałby się przez te rozpadliny! W życiu! Specjalnie żeście tamtędy szli. Żeby zmylić pogoń.

– Powiedziałem, zgubiliśmy się w górach. Córka zachorowała i zaryzykowałem drogę na skróty. Przecież tego miasta nie ma na mapie. Po co miałbym się pchać przez te rozpadliny, gdybym nie wierzył, że w końcu gdzieś dojdę?

– Ostatnio chyba gorzej słyszę. Przed chwilą mówiłeś, że nie znasz się na mapach. A może mi się zdawało?

To go zatrzymało. Stał w bezruchu na skrzyżowaniu z wąską uliczką, przy restauracji na rogu. Wszędzie widział kurz i kępki dzikiej trawy. Stary przeszedł jeszcze kilka metrów, nim spostrzegł, że Bourne za nim nie idzie.

– No cóż, to fakt, na mapach miasta nie ma – potwierdził. – I nigdy nie było. Zbudowali je bardzo szybko, a potem uciekali w takim popłochu, że nikt tak do końca nie wiedział, co tu właściwie jest. Stajnie są tu, w połowie ulicy. – Wskazał wąską przecnicę na lewo. – Z tych ochraniaczy zostały strzepy, synu. Konie będą ci wdzięczne, jak je zdejmiesz.

I skręcili w stronę stajni. Wielkie wrota, przypięte hakami do ściany, były otwarte na oścież. Ukośne promienie słońca oświetlały boksy dla koni. Z wnętrza bił silny zapach trocin i przegniłego ziarna. Bourne czuł, że ogarnia go ten sam niepokój, którego

doświadczyl w lesie. Stanął przed wejściem.

– O co znowu chodzi?

– Ty wejdź pierwszy.

– Proszę bardzo. – Stary strzelił palcami na psa i wszedł do środka. Bourne zawahał się, przeszedł go nagły dreszcz. I przekroczył próg stajni.

12

Mało się nie udusił od stęchlizny wypełniającej nozdrza. Pod jedną i drugą ścianą było po dziesięć boksów. Połowa przegród leżała na ziemi. Na zakurzonej podłodze szeleściła słoma, tak sucha, że obracała się w pył pod stopami. Przywiązał klacze do metalowej szyny i odwracając się nagle w prawo, zajrzał do najbliższego boksu. Potem obrzucił spojrzeniem przeciwległą ścianę i wyżki na siano.

Jeżeli go wzrok nie mylił, nie było tam nikogo.

Skoczył na drugą stronę stajni. Zbadał wzrokiem wyżki nad prawą ścianą i zadowolony z wyników inspekcji, przejrzał wszystkie boksy. Podeszedł do drabiny przybitej do jednego z grubych słupów nośnych, sprawdził, czy szczeble wytrzymają, a potem wspiał się po nich i wszedł na górę, żeby zobaczyć, czy nikt nie czai się w rogach. Nie znalazł nikogo.

– Wiesz, ty jesteś naprawdę niesamowity – stwierdził starzec, zadzierając głowę i dławiąc się ze śmiechu.

Nie odpowiedział. W połowie drabiny pękł mu pod nogą szczebel i Bourne omal nie spadł. Stary zachichotał złośliwie.

– Taa... Jesteś niesamowity – powtórzył. – Nie mam pretensji, że jesteś taki ostrożny. Ale mimo wszystko niespotykany z ciebie numer. Przed kim uciekacie? Myślisz, że jestem jednym z nich?

– Już ci mówiłem, przed nikim nie uciekamy.

Stary wessał kąciki ust.

– Jak tam sobie chcesz, synku.

– I nie mów do mnie synku!

– Jak sobie życzysz. Nie ma się o co złościć.

Wessane kąciki ust starego zniknęły. Strzelił palcami i razem z psem ruszył do tylnego wyjścia.

– Nie tak szybko! Stój! – krzyknął Bourne, mierząc w niego z rewolweru.

Stary odwrócił się i spojrział na niego cierpliwie.

– Słuchaj, synku. Staram się zachowywać najprzyjaźniej, jak umiem. Ale jeśli za

każdym razem, kiedy chcę sobie pierdnąć, będziesz mnie straszył tą spluwą, nigdy się nie dogadamy. Na zewnątrz jest studnia. Mam zamiar wziąć wiadro i przynieść wodę, chyba że chcesz, żeby konie padły z pragnienia. Pozwolisz?

Bourne milczał. Po chwili stary wziął wiadro i wyszedł.

13

Długo nie wracał. Za długo. Myśląc o Claire i Sarze pozostawionych samym sobie w hotelu, Bourne ruszył szybko do tylnych drzwi i już ich prawie dopadał, kiedy rozwarły się na oścież, pchnięte mocno od zewnątrz. To stary. Zgarbiony pod ciężarem wypełnionego po brzegi wiadra, dyszał ciężko.

– Denerwowałeś się, co? – Rozciągnął usta w uśmiechu. – Dobrze mi to robi. Uniknę atrofii ramienia. Wiesz, co to atrofia?

– Chyba tak.

– Atrofia to obkurczenie i uwiąd. – Już był przy koniach. Wciąż sapiąc z wysiłku, postawił wiadro. – To samo, co się dzieje z twoim małym po seksie. Wyczytałem w jakiejś książce. Musimy narwać im trochę trawy i nakarmić. I przynieść więcej wody. Ale najpierw trzeba je rozsiodłać. – Zaczął od myszatej. Rozpiął popręg i wprowadził klacz do boksu. – Po mojemu to uciekasz albo przed policją, albo przed ludźmi, którzy nie chcą jej wchodzić w drogę. Ale jak patrzę na twoją sympatyczną rodzinę, myślę, że to muszą być faceci, za którymi gliny nie przepadają. Zgadza się?

– Mówiłem już...

– Wiem, wiem, co mówiłeś. Przed nikim nie uciekasz. Ale mam rację, co?

Nie miał siły dłużej zaprzeczać. Wzruszył ramionami.

– Pewnie, że mam rację. I co? Nie lepiej ci teraz?

Bourne nie wiedział, czy stary mówi do niego, czy do myszatej, którą poklepywał w boksie. Zdjął jej uzdę, postawił przed nią wiadro wody i wycofując się, zamknął bramkę boksu.

– Ilu za tobą wysłali?

– Trzech na koniach. Śmigłowiec. Zresztą nie wiem.

– Co im zrobiłeś?

– Rozwścieczyłem ich.

Stary roześmiał się.

– Nie wątpię. Hmm, właściwie to chyba nie chcę wiedzieć. Mam swoje zmartwienia. Powiedz mi tylko jedno. Oni znają się na tej robocie?

Skinał głową.

– No cóż, zobaczymy – ciągnął stary. – Śmigłowiec to żaden problem, słyszymy go na długo przedtem, zanim nadleci. Zdążymy się przygotować. Z tymi na koniach może być gorzej. Dzisiaj nie damy już rady, bo nadciąga zmierzch, ale jutro z samego rana wejdziemy na skały i zepchniemy w dół kilka dużych głazów, żeby zablokować przejście, którym tu trafiliście. Jeśli dojdą tam przed nami, znajdziemy wiele miejsc, z których wygodnie będzie z nimi walczyć. Kto wie, przy odrobinie szczęścia może złapiecie nawet kilka dni oddechu przed dalszą drogą?

Bourne zrozumiał intencje starego.

– Chcesz powiedzieć, że niezależnie od wszystkiego, za kilka dni powinniśmy się stąd zabierać? Stary dumiał chwilę.

– Taa... Chyba to właśnie chciałem powiedzieć. Ale nawet wtedy będę musiał poszukać sobie innego miejsca. Jakiś czas będzie tu zdecydowanie za gęsto. Zresztą nie wiem, trudno przewidzieć. To miasto jest dziwne. Czasem je z góry widać, czasem nie. Ostatni człowiek trafił tu dwadzieścia lat temu. To byłem ja.

– Więc nie mogłeś znać właściciela hotelu.

– Chyba masz rację.

Zabrał się za oporządzanie srokatej. Rozpinał popręg.

– Może byś mi tak pomógł, co? W końcu to nie moje konie. – A po chwili dodał: – Tak. Mimo wszystko będę się musiał stąd zbierać. Na wszelki wypadek. Wrócę, jak spadną śniegi. – Zdawało się, że mówi do siebie. Spojrzał na Bourne'a. – Ale na razie trzymaj się mnie. Pokażę ci różne sztuczki. One ich powstrzymają. Tak, proszę pana, zupełnie jak za dawnych, dobrych czasów.

14

– Takie jedzenie... – zaczął stary i otarł usta, opierając się wygodnie na krześle. – Takie jedzenie, zwyczajna fasola, herbatniki i suszona wołowina, w tamtych czasach kosztowałyby ze dwadzieścia dolarów, ale ani w połowie nie byłoby tak dobre. – Uśmiechnął się nad stołem do Claire i w świetle lampy jego uśmiech był strawniejszy. Podziękowała mu.

Kiedy mężczyźni poszli z końmi do stajni, na tyłach hotelu znalazła kuchnię. Spośród desek na dworze wybrała tylko suche, żeby nie dymiły, i rozpałała ogień w czarnym kuchennym piecu. Ale ptaki uwiły gniazda w kominach, więc kiedy Bourne i stary wrócili, wszędzie było pełno dymu. Nie, nie na zewnątrz, ale w samej kuchni. Stary pokazał mu, jak rozebrać szybry i pomógł oczyścić dymniki, żeby Claire mogła coś ugotować. Stary zostawił psa przed hotelem – na wypadek, gdyby ktoś nadchodził –

i wyciągnął spod baru zamkniętą butelkę. Wrócił do stolika. Siedzieli w środkowej części sali.

– Jest całkiem niezłe – powiedział. – Trzeba tylko zlać tę tłustawą warstwę z góry, a potem da się to pić.

– Musieli uciekać w popłochu. Zostawili tyle butelek...

– Ospa..

Bourne omal się nie zakrztusił. Odsunął od siebie szklanę.

– Ospa?!

– O, teraz już nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Gdyby zostały tu jakieś bakterie, dawno już bym nie żył. W końcu piję to nie od dziś. Poza tym jesteście chyba szczepieni, prawda? Pij, pij, jeszcze jeden łyk. Nie zaszkodzi, na pewno nie zaszkodzi.

Stary opróżnił szklanę dwoma szybkimi haustami i nalał sobie następną porcję.

– No, pij – zachęcał Bourne'a.

Podniósł szklanę do ust i przełknął odrobinę. Napój był ostry, dławiący i chociaż stary zlał wierzchnią warstwę tłuszczu, nadal miał oleisty smak. Aż go paliło w przełyku.

– Tak. Pierwszy przypadek ospy zdarzył się gdzieś w połowie lata. Wielu ludzi przewidziało, co będzie dalej, spakowało manatki i natychmiast wyjechało. Ale ci, co nie mogli przeżyć tego, że muszą pożegnać się ze złotem, zostali. Dużo ich było. Zbudowali chatę wysoko w lesie, daleko od wody, i zarządzili tam kwarantannę dla całej rodziny, w której zdarzył się pierwszy przypadek. Chłopak oczywiście zmarł. Matka i ojciec zarazili się i też umarli. Po nich dwaj pozostali synowie. Ale kolejnych przypadków już nie odnotowano. Od chaty zawiewał smród ciał i wreszcie którejś nocy radni miejscy upili się, wzięli pochodnie i puścili ją z dymem. Wybrali dobrą noc, to trzeba przyznać. Zbierało się na burzę, grzmiało, z tamtej strony doliny błyskawice już cięły niebo. Ale i tak las zajął się od ognia i zanim nadeszła burza, spłonęło prawie trzysta akrów zdrowych drzew. Ludzie zaczęli się pakować w obawie, że pożar rozszerzy się na łąkę i ogarnie miasto. Ale burza załatwiła sprawę. Potem doszli do wniosku, że jednak dobrze się stało, bo zarazki ospy na pewno wyginęły w ogniu. Zaczęli więc żyć spokojniej. Przynajmniej trochę spokojniej. No bo w końcu zawsze istniała możliwość, że ktoś znowu zachoruje. Dopiero pierwszego września uznali, że niebezpieczeństwo minęło, i odetchnęli. Tego miesiąca wyrwali ziemi sporo złota. Głównie z rzeki, choć niektórzy zaczęli kopać w górach. Budowali śluzy na strumieniach, żeby w nich wypłukiwać złoto. Tylko we wrześniu zebrali prawie pięćset kilogramów kruszcu. Czekali na dostawców żywności, żeby kupić zapasy na zimę, i wtedy ospa znów zaatakowała. Zdarzyło się to gdzieś pod koniec jesieni. Przed pierwszymi śniegami, jak teraz. To było w tysiąc osiemset osiemdziesiątym pierwszym. I niejeden przypadek, a od razu cztery. Zbudowali

więcej chat za miastem, ale w następnym tygodniu odnotowano kolejne cztery zachorowania, a tydzień później osiem. Spadł śnieg. Jedni wyjeżdżali, inni umierali... Do świąt Bożego Narodzenia ubyło półtora tysiąca ludzi. Oczywiście, kiedy nadeszły śniegi, nie mogli już budować więcej chat na kwarantannę. Musieli podzielić miasto. W jednej części mieszkali chorzy, w drugiej zdrowi. Dzielił ich pas ziemi niczyjej. Ale już w lutym dwie trzecie mieszkańców znalazło się w strefie zakazonych. Zaczęły się samobójstwa i desperackie ucieczki w góry. Ludzie zamarzali tam na śmierć. Kiedy nadeszła odwilż, z czterech tysięcy ludzi zostało tylko trzystu pięćdziesięciu. Wyrwali stąd, ile tchu w piersiach. Wieść o tym, co tu się działo, musiała rozejść się po okolicy, bo nikt już nie mówił o złocie, tylko o ospie, i nikt tu już nie zaglądał. Dolina jest dość wilgotna, dlatego miasto nie rozsypało się w proch, nie spłonęło. Zbudowano je z dala od stoków, więc lawiny też go nie przysypały. I w ogóle od tamtych czasów niewiele się zmieniło. A w żyznej ziemi tych łąk leży tyle ciał, że człowiek woli nawet o tym nie myśleć. Cała historia jest spisana w kronice miasta. Przy okazji ją sobie przeczytajcie. – Wysączył trunek i nalał sobie kolejną porcję. – Nie pijesz.

– Którą część miasta przeznaczyci dla chorych?

– Oczywiście tę. Dlatego mieszkam na końcu ulicy i nie za bardzo lubię tu przychodzić. Nie, nie ma powodu do obaw. To tylko skojarzenia. Ten hotel był wtedy czymś w rodzaju szpitala. Możesz sobie wyobrazić, jak tu leżeli. Pokotem, synu, z wrzodami i w gorączce. A jak jęczeli. Na dworze mróz, tutaj śmierć... – Potrząsnął głową i wychylił szklanekę do dna. – Nieźle to musiało wyglądać. – Jego oczy zaszyły mgłą i zamilkł. Wreszcie podniósł się i odepchnął krzesło od stołu. Słychać było trzask strzelających kości. Otarł ręką usta i prostując się, rzekł: – No dobra. Myślę, że czas zobaczyć, co z tym lekarstwem dla dziecka.

Ruszył do baru, na który zestawili garnek z pieca, i nachylając się nad miksturą, pociągnął nosem.

– Tak, chyba już wystygło. Spróbujmy.

– Chwila. Miałeś mi powiedzieć, co tam nawsadzałeś.

– Trochę tego, trochę owego. Wolałbym nie mówić, bo jeszcze nie pozwolisz jej pić.

– Najpierw ty. Wypij.

Staruch podniósł wzrok znad garnka.

– Wciąż czujny, co? Myślisz, że chcę ją otruć, he? Za tyle trudu, ile sobie zadałem! Mam ochotę odejść i zostawić was tutaj.

Ale nie odszedł. Wziął drewnianą łyżkę leżącą przy garnku na barze, zanurzył ją w płynie i siorbał jasnozieloną ciecz, podobną do zupy z groszku.

– I co? Zadowolony? – spytał, wykrzywając twarz.

– Ona dostanie więcej niż jedną łyżkę. Wypij jeszcze.

– Wiesz, to nie jest najsmaczniejsze.

– Pij. Pij. Zanurzył łyżkę w garnku i znów głośno siorbnął, jakby cedząc płyn przez zęby.

– Już.

– Mało. Jeszcze trochę.

Nawet nie fatygował się, żeby cokolwiek powiedzieć. Tym razem wsadził łyżkę głęboko, do samego dna, szybko podniósł do ust i wysał do czysta.

– To już była ostatnia – zapowiedział, wymachując drewnianą kopyścią. – Jeśli to cię nie zadowala, sam zajmij się córką.

– Teraz jest w porządku. – Bourne wstał zza stołu, zdjął garnek z baru i podszedł do córki. Sara leżała w rogu sali, skurczona w śpiworze. Miała zamknięte oczy.

– Hej, kochanie – zaczął, klękając przy niej. Delikatnie potrząsnął ją za ramię. – Obudź się. Mam dla ciebie lekarstwo.

Westchnęła, ale nie otworzyła oczu. Nawet nie drgnęła.

– No, już, już. Zbudź się.

Spojrzała na niego. Jej twarz niknęła w mroku ciemnego kąta, dokąd nie docierało żółte światło lampy.

– Czy to już rano?

– Nie, do rana jeszcze daleko. Chcę, żebyś trochę tego wypila. Lepiej się poczujesz.

– Nie chcę.

– Nie będziesz już wymiotować. Prawda? – upewnił się, spoglądając w stronę starca przy barze. – Przystanie wymiotować?

– Jasne. To pomoże bardziej niż wszystko inne – odparł tamten. – I daj jej trochę soli. I jakiejś zupy. Na początek wystarczy parę łyżek. Za godzinę następnych kilka. Rano będzie mogła zjeść już coś stałego. Ale lekarstwo nie będzie jej smakować. Trzeba w nią wmusić.

Ostatnie zdanie powiedział w taki sposób, że Bourne przypatrzył mu się uważniej, a potem zapytał Sarę:

– Słyszałaś?

Kiwnęła głową.

– No dobra, zaczynamy. Usiądź.

Posadził Sarę delikatnie, oparł o ścianę i podłożył pod jej plecy drugi śpiwór. Ale kiedy przybliżył łyżkę do jej ust, odwróciła głowę.

– Nie chcę.

Chwyciła się za brzuch.

– Musisz. – Wykorzystał tę chwilę nieuwagi i szybko wlał jej trochę płynu do buzi.

– Lee... – Skrzywiła się i musiał przyłożyć rękę do jej ust, żeby nie wypluła.

Następną łyżkę mikstury usiłowała odepchnąć.

– Obrzydliwe.

– Oczywiście – zgodził się i choć wcale tego nie chciał, zabrzmiało to śmiesznie. –

Obrzydliwe, ale to przecież lekarstwo, prawda?

Ta uwaga na tyle ją rozbawiła, że otworzyła buzię, by się uśmiechnąć, i zanim połapała się, o co chodzi, zdążył jej zaaplikować następną porcję zielonego płynu.

15

– Robili to tak – opowiadał stary. Siedział przy Sarze, oparty plecami o ścianę, i nalewał sobie kolejną szklankę. Postawił ją na podłodze i prawił dalej: – Brali miskę, o, taką wielką, kucali nad wodą i pochyleni, nagarniali w nią piasek i drobne kamienie z dna rzeki. Później, zataczając kręgi miską, wprawiali tę wodę w ruch, wychlapując ją nad brzegami miski razem z częścią rzeczno osadu. I kręcili tą miską dopóty, dopóki na dnie nie została tylko resztką wody i trochę drobniotkiego piasku. Jeśli mieli szczęście, znajdowali w nim grudkę złota. Czasem dwie. Ale to zdarzało się rzadko. Najczęściej zadowalali się piaskiem, bo to oczywiście wcale nie był piasek, tylko złoto. Złoty piasek. Malutkie drobinki złota, które spływały tu z gór, na tyle ciężkie, że osiadały na dnie rzeki w miejscach, skąd leniwy bieg rzeki nie mógł porwać ich dalej, albo tam, gdzie na rzece powstały naturalne tamy. Wtedy okruchy złota nie mogły się przebić dalej i opadały na dno. Właśnie dlatego dawni poszukiwacze używali misek. Bo kiedy wypłukali z nich rzeczny miąż, na spodzie zostawało złoto. Naturalnie, musieli się dobrze uwijać. Nie opłacało się mitrzyć pół godziny nad jedną miską. Większość z nich radziła sobie z taką michą w kilka minut. No a potem zmęczeni się tym wiecznym pochylaniem się i nagarnianiem rzeczno miążu i postanowili wykorzystać siły natury. Szukali więc w górach takiego miejsca, gdzie spodziewali się znaleźć żyłę złota, wykopywali stamtąd żwir, ładowali na taczki i wysypywali ładunek do dużej drewnianej zagrody na dnie rzeczno koryta. Kiedy już je napełnili, wpuszczali tam wodę. Oczywiście, musieli kontrolować prędkość strumienia, żeby prąd wymywał tylko żwir i nie porywał złota. Pod koniec dnia wystarczyło zajrzeć do takiej przegrody i zebrać złoto. Jednak większość poszukiwaczy nigdy złota nie znalazła. A ci, którym szczęście sprzyjało, natychmiast forszę wydawali albo inwestowali ją w nowy sprzęt do kopania i szukali lepszego miejsca. Takie miasta jak to nic im nie pomagały, bo jak tylko zaczęli znajdować złoto, ceny

szły w górę i raz, dwa befsztyk za pięć dolarów zamieniał się w soloną wieprzowinę z fasolą za dwadzieścia.

Tak czy siak, większość przegrywała. Bogacili się chyba tylko sklepikarze, właściciele barów, no i dostawcy żywności. Musisz jeszcze pamiętać o odmrożeniach, o lawinach w górach i o innych niebezpieczeństwach, na jakie się narażali. Tak, bez wątpienia istniały łatwiejsze sposoby zarabiania pieniędzy niż szukanie złota. Ale chyba nie chodziło im tylko o złoto. Pociągało ich to, że byli panami samych siebie. Szli, kiedy mieli ochotę, zatrzymywali się tam, gdzie chcieli. Po całym dniu pracy schodzili razem do miasta, żeby wypić coś mocniejszego. Często skakali sobie do oczu, strzelali kumplom w plecy, ale były też przyjaźnie prawdziwe i serdeczne.

Nieobecny duchem, zwłaszcza pod koniec coraz leniwiej snutej opowieści, spoglądał na cienie pod sufitem. Skończył i zerknął na Sarę. Spała. Uśmiechnął się do siebie i przez okno wychodzące na ulicę popatrzył na przeciwległy szereg domów, skąpany w bladym świetle księżycy. Jeszcze raz napełnił szklankę, wychylił ją do dna, zebrał się w sobie i wstał. No, prawie wstał; ścisnął w dłoni w trzech czwartych opróżnioną butelkę. Wysilek był zbyt duży: starzec stracił równowagę i opadł na ścianę. Musiał zmobilizować się jeszcze raz. Jęknął. Tym razem zdołał wstać.

Przez ostatnie pół godziny Bourne stał przy barze i nie spuszczał go z oka. Stary wydudlił prawie całą butelkę samogonu i chociaż miał kłopoty ze wstaniem, język mu się nie plątał i szedł całkiem prosto. Oderwał wzrok od starucha i zerknął na Claire. Siedziała z kamienną twarzą. Wyjawszy tę jedną chwilę, kiedy stary dziękował za kolację, cały czas była przy nim spięta.

– Zimno – zauważył staruch, podchodząc do nich i rozcierając łokcie. – Zaraz nadejdą. Za jakieś dwa, trzy dni.

– Kto?

– Nie kto, a co. Śniegi. – Nadal rozcierał sobie ciało dla rozgrzewki. – Nie pamiętam takiej ciepłej jesieni. Idzie ciężka zima.

Gdzieś w dali Bourne usłyszał przeciągłe wycie wilka. Potem skowyt. I znowu wycie. Pies pod stołem wstał i postawił uszy.

– Ciii... – mruknął stary.

Wilki znowu zawył i zanim skończył, dołączył do niego drugi, gdzieś z lewej strony. Pies nasłuchiwał. Podeszedł do drzwi.

– Ciii – rzucił stary niskim, ochrypłym głosem. – Twój tata był jednym z nich, ale cię tam nie chcą. I chociaż jesteś taki duży, załatwiliby cię w minutę.

– Chyba dałby sobie radę – zauważył Bourne.

– Nie, nosi na sobie mój zapach. Wilki nigdy go nie przyjmą, a jest ze mną tak długo,

że teraz, kiedy sezon łowów dobiega końca, nie przetrwałby zimy. – Oparł się o bar i spojrzał na swoje odbicie w lustrze. – Czas spać – powiedział. – Jutro wstajemy o brzasku. Boże, czyja naprawdę tak wyglądam? Pora się kłaść. – Poczłapał za bar, wziął z kontuaru butelkę i połatany koc, który wcześniej tu przyniósł, owinał się nim, pociągnął łyk z butelki, zakorkował ją i ułożył się do snu na podłodze.

– Kładźcie się – zachęcał.

– Chyba jeszcze trochę popilnuję.

– Nie ma potrzeby. Jak coś będzie nie tak, pies nas obudzi.

– Nie, i tak się nie położę.

– Jak sobie chcesz.

Jakiś czas Bourne i Claire patrzyli na siebie bez słowa. Po chwili usłyszeli chrapanie starego.

– Chyba zbudzę Sarę – odezwała się Claire. – Trzeba dać jej lekarstwo.

Nachylił się do niej, pocałował ją w policzek i po chwili skinął głową.

Wziął koc, krzesło i ukryty w mroku, zasiadł w rogu, z prawej strony okna. Obserwował nagą, oświetloną księżycowym blaskiem ulicę. Nadciągał zimny wiatr, wzniesając tumany kurzu. Czuł zimno ciągnące przez szpary w podłodze. Otulił się szczelniej i rozparł wygodniej na krześle. Wkrótce Claire skończyła rozmawiać z Sarą, napoiła ją miksturą i zdmuchnęła płomień lampy. Słyszał, jak rozpiną suwak drugiego śpiwora, jak wchodzi do środka i układa obok córki.

– Dobranoc – powiedziała cicho.

Odczekał chwilę.

– Dobranoc.

Wiatr nasilił się. Dmuchał kurzem w okna, gwizdał pod cienkimi deskami podłogi. Wreszcie ucichł. Bourne słyszał chrapanie starego i ciche, równe oddechy Claire i Sary. Podmuchy wiatru znów przybrały na sile. Siedział w ciemnościach, patrząc na zimną, zakurzoną ulicę i wyobrażał sobie, jak tu było kiedyś. Widział drewniane wozy, widział ludzi, którzy chodzili po mieście bądź rozmawiali, wsparci o drzwi domów. Słyszał przejeżdżających jeźdźców i dalekie dźwięki pianina.

Z pierwszym głazem poszło łatwo. O zimnym szarym brzasku zsiadli z koni i przywiązali je do drzew na polance, na świerkowym zboczu. Zostawili je na długich sznurach, żeby mogły sobie dreptać dookoła i skubać ściętą nocnym mrozem trawę, która trzeszczała pod butami, kiedy szli w górę zalesionego stoku w stronę łośpukowego żlebu

i gór. Stary szedł przodem. Dotarł wreszcie do stóp urwiska i znalazł tam skalną półkę, która wiodła ukośnie w górę. Wszedł na nią. Potem dotarł do następnej półki, też ukośnej, ale prowadzącej w przeciwną stronę. Szedł nisko pochylony, na miękko ugiętych nogach, pozornie bez wysiłku. Nawet na moment się nie zatrzymał, żeby odetchnąć albo rozejrzeć się za najbezpieczniejszym oparciem dla stóp. Po prostu trawersował skałę, dochodził z upatrzonego miejsca i miarowo wspinał się dalej. Patrząc na niego z dołu, Bourne nie wierzył własnym oczom. Był pewien, że gdy tylko stary dojdzie do końca półki, którą maszerował, półka okaże się ślepą uliczką i staruch zawróci, żeby poszukać lepszej drogi. Ale on zawsze znajdował inną półkę wystającą ze ściany czy jakąś szczelinę, gdzie zaczepiał ręce. Bourne domyślał się, że jego przewodnik nieraz tędy chodził albo na tyle długo mieszkał w górach, by umieć wyznaczyć najwłaściwszą drogę, ledwie zerknawszy na skałę. Wkrótce minęli pas świerków. Teraz powietrze stawało się z każdym metrem rzadsze. W pewnej chwili Bourne spojrzął w dół – sterczące pod nim skały wydały mu się nienaturalnie wielkie. Stracił oparcie dla nóg, zawisł nad przepaścią i gdyby w ostatniej chwili nie wcisnął butów w szczelinę, na pewno by spadł.

– Nie ściskaj kurczowo skały. Odchyl się od niej. Niech ci sama pomoże – dobiegł go głos starego. Spodziewał się raczej krzyku i echa, tymczasem głos starca był głuchy i przyciszony. Bourne nie rozumiał, jak to się działo. Spojrzął na swoje ręce: czubki palców miał rozharatane do krwi, dłonie zgrabiące, opuchnięte od mrozu. Później już nie patrzył w dół, tylko wyszukiwał miejsca na oparcie dłoni i przesuwał stopy po wąskim skalnym występie. Teraz znów wyciągnął ręce, żeby uczepić się występu na gładkim licu skały, i nic nie znalazł. Nad nim było już tylko niebo i wolna przestrzeń. Jeszcze jeden krok, potem jeszcze jeden i... wyszedł na górę, gdzie przy wyłysiałym karłowatym krzaczku czekał stary. Skulony Bourne pobiegł w jego stronę.

– Twoje ręce – powiedział staruch, ale Bourne nie musiał na nie spoglądać, żeby wiedzieć, w czym rzecz: dłonie mu się trzęsły. Nie mógł tego powstrzymać. I nie chciał się zastanawiać dlaczego: czy z zimna, czy ze strachu, że mało nie odpadł od ściany. Nie myślał o tym, po prostu ruszył za starym. A ten przebiegł schylony na drugi kraniec grani, przywarł do płaskiego kamiennego dachu opadającego w stronę Pustyni Owiec i czołgał się przy jego krawędzi. Stąd, z góry, skalisty krąg kanionu był jeszcze wyraźniejszy. Bourne widział całą powierzchnię dna wąwozu, rzadką trawę pośrodku, w samym centrum spadziste dachy szałasów i bud, trochę dalej grodzony wybieg dla owiec – pozostałości po Baskach. Wszystko jak na dłoni. Przypomniał sobie, że tego też nie znalazł na mapie. Stary wyciągnął przed siebie rękę i Bourne aż zeszywniał, sądząc, że pokazuje mu ludzi przy szałasach. Ale nie, stary wskazywał przeciwległy masyw.

A tam, nad odległym horyzontem, zbierały się ciężkie czarne chmury. Śnieg, pomyślał. Przypomniało mu się, co staruch mówił wieczorem, i zadrżał, rozcierając ramiona. Przyglądał się nadciągającym chmurom, które zakrywały słońce; powietrze przybrało kolor stali. Nie, jeszcze nie zaraz, myślał, ale na pewno niedługo. Zerknął w lewo i zobaczył, że stary pełźnie do tyłu, wycofując się znad krawędzi. Wstał dopiero wtedy, kiedy z dołu nikt go już nie mógł zobaczyć, a mimo to, wciąż przygięty do ziemi, rozejrzał się uważnie i wreszcie – nadal pochylony – pobiegł w prawo, ku szczelinom w skalnym masywie, wiodącym do rzecznej doliny.

Kiedy Bourne go dogonił, stary już badał jakiś wielki głaz. Z góry wyraźnie widzieli, które szczeliny w labiryncie pod nimi są ślepe, a które prowadzą wprost do doliny. Naparli na głaz, wielki odłam skalny niespodziewanie drgnął, przetoczył się raz i spadł za krawędź masywu. Obił się kilka razy o ściany i wbił mocno w wąskie gardło przejścia. Łoskot wrócił na górę echem, niczym uderzenie pioruna.

– Dobrze – powiedział stary. – Pomyślą, że idzie burza.

– Widziałeś ich?

Nie odpowiedział. Wielki kamień nie zablokował całkowicie przejścia. Stało się tylko ciaśniejsze, trudniejsze, więc stary ruszył biegiem po płaskowyżu, wskazując odleglejszy głaz, większy od poprzedniego.

– Nie odpowiedziałeś mi – naciskał Bourne, kiedy go dogonił. – Widziałeś ich?

– Nie, ale trzeba założyć, że gdzieś tu są.

Kamień ani drgnął. Napierali na niego, wysilając ramiona i sapiąc, ale nie dawał się ruszyć. Wyciągnęli gruby konar uschniętego drzewa, wetknęli pod głaz i podważyli go. Koniec gałęzi pękł. Spróbowali znowu i za drugim razem dźwignia wytrzymała. Ruszyli kamień z miejsca, ale odbił z powrotem. Naparli mocniej. Głaz przetoczył się raz i stanął. Trzy razy go podważali, a głaz po każdym obrocie nieruchomiał. Wreszcie dopchnęli go do miejsca, gdzie dach płaskowyżu biegł lekkim skosem w dół. Chociaż spadek był niewielki, kamień wreszcie ruszył i przeturlał się nad krawędzią. Huk, z jakim gruchnął w podłoże, doszedł ich, zanim dotarli nad brzeg masywu. Spojrzeli w dół i zobaczyli, że głaz leży zaklinowany między ścianami rozpadliny – nie było sposobu, żeby koń tamtędy przejechał.

– Mogą zostawić konie i przejść na piechotę – zauważył stary i pobiegł do następnego, jeszcze większego głazu.

Ale ten był naprawdę olbrzymi i nie dali rady go strącić. Wreszcie, wykończeni, padli obok i doszli do wniosku, że człowiek bez konia zawsze wszędzie przejdzie, niezależnie od wielkości głazów, a przecież chodziło tylko o to, żeby stworzyć wrażenie, że nikt tamtędy nie szedł.

Czarna krawędź nieba wisiała już dokładnie nad ich głowami. Ciemne chmury pędziły w stronę doliny i miasta, niosąc ze sobą powiew lodowatego powietrza. Bourne sięgnął do kieszeni kurtki, wyjął grube wełniane rękawice i wsunął w nie zakrwawione, opuchnięte dłonie. Zerwał się wiatr, przenikliwy, kęsający. Bourne czuł, jak oczy zachodzą mu łzami, i odwrócił się plecami do wichury. Naciągnął kaptur na głowę i ponad skalnym dachem spojrzał na miasto. Stało jeszcze w słońcu, ale po chwili okrył je cień chmur. Na płaskowyż spadły pierwsze płatki śniegu.

– Lepiej zejdźmy na dół, zanim konie się spłoszą – powiedział stary, któremu ani zimno, ani wiatr jakoś nie przeszkadzały. Tak, niby zasłonił twarz nisko ściągniętym kapeluszem, niby zapiął pod szyją kurtkę, ale kiedy stał bokiem do wiatru i omiatały go ostre podmuchy, nie trzymał rąk w kieszeniach, lecz płasko na kolanach. Pochylony, rozglądał się, patrzył tam, skąd wiatr miótł kurzem, przyginając do ziemi karłowate krzaczki i płacząc konary drzew, i było w nim więcej zainteresowania niż lęku.

– Chwileczkę – rzucił Bourne, któremu widok miasta nagle coś przypomniał. Ściągnął rękawicę, sięgnął do kieszeni i wyjął z niej fotografię.

Znalazł ją za barem w hotelu, kiedy po kolacji dokładnie sprawdzał całą salę; była przypięta pinezkami do ściany.

– Tak wyglądało przed ospą – wyjaśnił wtedy stary, a Bourne czuł, że coś go w tej fotografii przyciąga. Zdjęcie miało jakieś piętnaście centymetrów na piętnaście i było splekane, pogięte, kruche, złotawe w bijącym od lampy blasku i pożółkłe ze starości. Takie, jakie robiło się dawniej aparatem na trójnogu, w który fotograf wsuwał grubą szklaną kliszę, a potem schylał się, by schować głowę pod czarną płachtę przykrywającą drewniane pudło aparatu i spojrzeć przez wizjer. Było to ujęcie z daleka, z góry; uwieczniało dolinę i spowite dymami kominów miasto, gdzie toczyło się normalne życie. W małej kropce na bliższym planie Bourne domyślił się wozu, który wyjeżdżał z miasta i podążał w stronę rzeki.

– Jutro wybierzemy się do miejsca, skąd je zrobiono – powiedział stary, a Bourne, niewiele myśląc, wyciągnął ze ściany pinezki i wsunął zdjęcie do kieszeni. Teraz widział, że stary miał rację. Bez wątpienia fotografię zrobiono z tego miejsca, a on stał niemal dokładnie tam, gdzie przed wieloma laty musiał stać fotograf. Nie, chyba trochę bardziej w prawo... Przeczolgał się kawałek, żeby mieć ten sam kąt widzenia.

– Co tam robisz? – zapytał stary. – Musimy schodzić.

– Chwileczkę – powtórzył Bourne, przesuając się jeszcze bardziej w prawo, a potem w przód. Stał zgarbiony, tak jak prawdopodobnie stał fotograf, na wysokości wyimaginowanego wizjera trzymał zdjęcie, odsuwał je od siebie i przysuwał, żeby zgrać kontury miasta sprzed lat z tym, co widział przed sobą. Prawie, prawie, choć zdawał

sobie sprawę, że nigdy nie trafi idealnie. Po pierwsze, zdjęcie zrobiono latem. Tam, gdzie dawniej rosły krzaki, teraz nie było nic. Tych, które widział przed sobą, nie było na starej fotografii. Wtedy krzaki miały liście, teraz stały nagie. Samo miasto też przysparzało podobnych kłopotów. Mimo że było w zasadzie takie jak przed laty, jakoś się jednak zmieniło. Zmalało, skurczyło się, osiadło zgrzybiałe ze starości, a brak wszelkiego życia powodował, że wydawało się jeszcze mniejsze. Przeszłość i terażniejszość. Zdjęcie musiało być równie leciwe, jak miasto. Odnosił dziwne wrażenie, że mieszają się tu dwa wymiary czasu. Wiatr gwizdał, bijąc w niego coraz gęstszymi płatkami śniegu; Bourne bał się, że nagły podmuch wyrwie mu zdjęcie z rąk i zostawi tylko ukruszone rogi.

– Chodź już! Musimy iść – naglił stary. Chyba w końcu zmarzł, bo chował ręce przed zimnem, wypychał kieszenie kurtki i garbił ramiona. – To tylko zdjęcie.

Ale nie chodziło o samo zdjęcie. W tej fotografii było coś – nie wiedział co – co sprawiało, że upatrywał w niej czegoś znacznie więcej. Trzymał ją teraz pod takim kątem, żeby uchwycony na niej widok w miarę dokładnie pokrywał się z rzeczywistym krajobrazem. Wziął poprawkę na zmiany, jakie w ciągu stulecia musiały zajść w terenie i w samym mieście, ale i tak wciąż coś go niepokoiło. Jakaś znacząca różnica, jakiś szczegół, którego nie umiał zobaczyć. I wtedy zdał sobie sprawę, że jego strach nie wynika z obawy o utratę zdjęcia, tylko łączy się z samą fotografią. Nareszcie zlokalizował różnicę. W lewym dolnym rogu, pośród gęstych liści krzaków, tuż nad krawędzią płaskowzgórza. Mężczyzna. Przykucnięty, niemal niewidoczny. Jego nakrapiana kurtka idealnie zlewała się z kolorem krzaków. Między liśćmi – ledwie widoczna twarz.

A może to nie mężczyzna, tylko jakiś cień, który się tak układa? Tego nie wiedział. I czy to strzelba wystaje zza krzaka? Czy może tylko stercząca naga gałąź? Nie, nie, gałąź byłaby przecież skierowana w stronę obiektywu, w stronę fotografa. W jego stronę! Spojrzał na miejsce, gdzie dawniej rosły krzaki, tam, gdzie widział teraz starucha biegnącego chyłkiem ku skalnej krawędzi. Miał na sobie cętkowaną kurtkę, dokładnie taką, jak ta z fotografii... Ostry podmuch wiatru przeniknął go do szpiku kości. Patrzył na tę scenę rozszerzonymi oczyma i nie mógł się ruszyć.

– Musimy iść! – wołał stary. – Jeśli wiatr przybierze na sile, zdmuchnie nas, jak będziemy schodzić.

Ale Bourne nadal stał jak skamieniały. Szeroko rozwartymi oczyma przyglądał się staremu, który pomykał spieszenie nad brzeg płaskowyżu, żeby zlustrować skalną ścianę. W tym momencie wiatr wyrwał mu z dłoni zdjęcie, zostawiając go z dwoma odłamanymi rogami, i poniósł fotografię nad skałą w stronę doliny. Bourne wyciągnął ręce, rzucił się w pogoń, omal nie spadł w przepaść. Zatrzymał się w ostatniej chwili i zerknął

ukradkiem na starego, który już pokonywał brzeg skalnego dachu. Jeszcze raz obejrzał się za fotografią – była teraz ledwie punktem, rozmazanym pyłkiem, płatkami śniegu ginącym wśród miliona innych. Miotana wiatrem, koziółkowała, spadając w zaciszną dolinę. Zaraz potem Bourne ściągnął rękawice, idąc w ślady starego, opuścił się nad krawędzią skały, odnalazł nogami półkę, ustawił na niej stopy i już szukał dłońmi jakiegoś miejsca, jakiejś szpary czy występu w skale, którego mógłby się uchwycić. Schodził niżej, centymetr po centymetrze. Macał miejsca, gdzie mógłby wbić ręce, myślał o tym, że musi odzyskać fotografię – choć dobrze wiedział, że to niemożliwe – szukał oparcia dla stóp, wciskając czubki butów w pęknięcia w ścianie, znów chwycił się jakiegoś występu, schodził, zawisał w powietrzu, macał wokół siebie, bojąc się bardziej niż pierwszego dnia ucieczki, kiedy siodłał konie. Wspinając się po ścianie, nawet mu do głowy nie przyszło, że w drodze powrotnej będzie musiał aż tak ryzykować. Ale kiedy stary stanął na dole, Bourne wisiał ledwie kilka metrów wyżej, trochę bardziej w lewo.

Między drzewami konie skubały trawę. Staruch i Bourne popatrzyli na siebie bez słowa i już zjeżdżali na butach po łożupkowym zboczach, by wpaść w świerkowy las. Stary nie musiał mu przypominać, że trzeba się rozdzielić i dobiec do koni z przeciwległych stron, na wypadek, gdyby ktoś tam na nich czekał. Dopiero kiedy Bourne zatoczył szeroki łuk i ujrzał konie drepczące nerwowo na polanie, uświadomił sobie, że skoro stary nie ma przy sobie broni, cały manewr jest bez sensu. Sklął siebie w duchu, że nie dał mu strzelby, choćby swojej dwudziestki dwójki. I nagle zrozumiał, dlaczego staruch wcale się o nią nie upomniał: cały czas coś przy sobie miał.

Kluczył między drzewami, zataczał kręgi, stawał, wsłuchiwał się w wiatr gwizdzący w konarach, przypatrywał się płatkom śniegu, które były w gałęziach świerków niczym kulki śrutu. Zobaczył starego na polanie, widział, jak z wyciągniętą ręką podchodzi do koni, jak je uspokaja. Dopiero później zreflektował się, że należało dokładniej sprawdzić las, ale wtedy pędził już na polanę, przestraszony, że stary odjedzie z końmi.

– To tylko wiatr i śnieg – tłumaczył staruch myszatej, poklepując ją uspokajająco.

– Gdzie to masz?

Stary odwrócił się. Był wyraźnie zdziwiony.

– Co mam? O co ci chodzi?

– Pistolet! Gdzie go wetknąłeś? Za pasek? Do buta? Gdzie?

Stary myślał chwilę.

– Mam go w kaburze pod kurtką.

– Co to za broń? Pokaż!

– Po co? Tylko nie mów, że mi go też zabierzesz. Z góry uprzedzam: na to nie

pozwolę.

Ochłonał. Znów pat, taki sam jak poprzedniego dnia, z tym że teraz już wiedział, że dziada nie zastrzeli. Bo na miejscu starego zrobiłby to samo. Po prostu się wściekł. Wiedział, że tamten go wykiwał, i się wściekł.

– Nie. Gdybyś chciał go użyć, już dawno wykorzystałbyś okazję. Miałeś ich pełno. Jestem podenerwowany tą zmianą pogody. Jak konie.

– Jasne, jasne – przytaknął stary, nie odrywając od niego wzroku. – To wojskowy colt, czterdziestka piątka. – Rozpiął kurtkę i wyciągnął broń: rewolwer o długiej lufie, podobny do magnum, jak z westernów. Ale była już zaśnieżona, a wzdłuż prostej drewnianej kolby biegło głębokie pęknięcie. – Nadal dobrze bije – zapewniał. – Nie ma obawy, umiem się tym posługiwać.

– Nie wątpię – zgodził się Bourne. I choć obaj nawet nie drgnęli, nie zmienili wyrazu twarzy, nie fatygowali się, żeby cokolwiek powiedzieć, wiedział, że wszystko będzie dobrze. – Przytrzymaj konia – rzucił i już rozplątywał sznur, którym przywiązał klacz do drzewa. Zwinął go i wrócił do starego.

17

Kiedy dotarli do miasta, na ziemi leżały już dwa centymetry białego puchu. Śnieg zacinał w budynki, walił w splecione końskie grzywy i tłukł ich po plecach, gdy zeszywniali zsiadali z koni. Przejeżdżając obok hotelu, Bourne dostrzegł stojącą przy oknie Claire. Zziębnięta, obejmowała się ramionami i patrzyła na niego. Sam był już tak przemarznięty i zmęczony, że zdołał tylko skinąć i potrząsnąć głową, niemo komentując pogodę. Wjechali do stajni, rozsiodłali konie, nakarmili je, napoili, sprawdzili, czy są dobrze uwiązane w boksach i dopiero potem zamknęli za sobą drzwi i wyszli na ulicę, by walczyć z wiatrem i śniegiem, wrócić do hotelu. Czuł, że brwi ma oblepione grubą wilgotną warstwą, zmrużył oczy i ruszył biegiem przed siebie, gdy nagle zorientował się, że stary został w tyle. Zatrzymał się i odwrócił. Staruch stał nieruchomo pośrodku ulicy i obejmował się mocno ramionami. Wrócił do niego i spytał:

– Co ci jest?

– Nie wiem – odparł stary. Stał sztywno wyprostowany, jakby najmniejszy ruch, choćby nawet oddech, mógł sprawić, że coś w nim za chwilę pęknie. I trwał tak bez ruchu, wystawiając zszarzałą twarz pod ostry wiatr. – Jakiś skurcz albo co – powiedział. – Od tej wspinaczki albo od toczenia głazów. Nie wiem. Zaraz mi przejdzie.

Ale nie przeszło. Sekundy ciągnęły się w nieskończoność, śnieg uparcie zacinał. Bourne wyciągnął rękę, żeby pomóc staremu. Ale nie wiedział jak, więc tylko tkwił przy nim i patrzył. W pewnej chwili staruch zamknął oczy, twarz mu stężała, skrzywił się

i nagle wszystko minęło niby cień, który przez chwilę jest, a potem już go nie ma. Zaczął oddychać swobodniej, z twarzy zniknęło napięcie, otworzył oczy.

– Widzisz? A co? Nie mówiłem, że wszystko będzie dobrze?

– No dobra. Chodź, podprowadzę cię.

– Mówiłem ci, nic mi nie jest.

– Jak chcesz.

Patrzyli na siebie przez chwilę, wreszcie stary ruszył gwałtownie naprzód i potracając Bourne'a, pomaszerował ciężko do hotelu. Bourne obserwował go jakiś czas, w końcu poszedł za nim.

W drzwiach czekała Claire.

– Chcę z tobą zamienić kilka słów – oznajmiła.

– Dlaczego? Co się stało?

– Słyszałeś, co mówiłam. Chcę z tobą porozmawiać. Teraz.

Odwróciła się, minęła bar i weszła do kuchni.

– Kłopoty rodzinne? – zapytał stary.

– Nie wiem – odparł zdumiony.

– Lepiej idź, zobacz, co się stało. Ja zostanę z małą.

Skinął głową i wolnym krokiem ruszył do kuchni. Słyszał, jak stary zdejmuje kurtkę, jak poklepuje psa.

– Co znowu? O co ci chodzi? – zapytał Claire.

Stała przy piecu, plecami do męża.

– Zamknij drzwi.

Zamknął.

Odwróciła się.

– Rano, po waszym wyjeździe, poszłam do ratusza. Sara czuła się już dobrze, poszła ze mną. Znalazłyśmy kroniki; o których mówił. Dwie księgi pokryte dwucentymetrową warstwą kurzu. Na półce z tyłu. Nie zlinczowali tu żadnego Meksykanina, nie było żadnej ospy. Miasta nie zbudowano w osiemset siedemdziesiątym dziewiątym, a w osiemset dziewięćdziesiątym i ludzie wcale nie musieli stąd uciekać. Po prostu skończyło się złoto i wyjechali szukać innego miejsca.

Nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Musiałaś je przeczytać. Księgi, gdzie zapisano tę historię.

Potrząsnęła głową.

– Przeczesałyśmy cały budynek wzdłuż i wszerz. Sprawdziłyśmy nawet piwnice i strych. Wierz mi, nie ma innych kronik.

– Pomylił daty, to stary człowiek. Pamięć mu pewnie szwankuje.

– To nie wyjaśnia sprawy linczu i ospy.

– Lincz nie jest wydarzeniem, które uwiecznia się w kronice miasta. A ospa mogła spaść na nich tak nagle, że nie zdążyli o niej napisać.

Znów potrząsnęła głową.

– Księgi były prowadzone do czasu, kiedy w mieście została już tylko garstka ludzi. Ostatni zapis jest krótki, lakoniczny. Zrobił go jeden z ostatnich mieszkańców. Napisał, że zamyka historię miasta. Gdyby szalała tu ospa, nie omieszkałby o mej wspomnieć.

– Skoro miał czas, żeby zrobić ostatni zapis, dlaczego tych kronik nie zabrał? Jesteś pewna, że to księgi tego miasta?

– Nazwa miasta jest wypisana na okładkach. Z zapisków wynika, że kronikarz chciał po nie kiedyś wrócić, ale nie wrócił. Nie w tym rzecz. Ten stary to wariat i nie czuję się przy nim bezpieczna. Chcę, żebyśmy stąd wyjechali, jak tylko przestanie padać.

– Ale dokąd?

– Wszystko jedno. Jestem niespokojna, kiedy kręci się koło mnie i Sary.

Sara! Obrócił się na pięcie, gwałtownie otworzył drzwi. Siedziała w rogu dokładnie naprzeciwko drzwi do kuchni, po uszy zapatulona w śpiwór. Koło niej, na podłodze, przysiadł stary.

– Mniej więcej o tej porze roku – opowiadał. – Wtedy też padał śnieg. Zupełnie jak dziś. Nie taki, żeby nie widzieć, co się dzieje na dworze, ale dość gęsty. Było wiadomo, że będzie go więcej, że trzeba uwijać się z robotą. – Siedział plecami do kuchni, więc nie widział Bourne'a. Monotonnie wypowiedane słowa miarowo sączyły się w pustkę. Zupełnie jakby chciał słuchacza zaczarować albo jakby opowiadał tę historię po raz setny i klepał z pamięci kolejne zdania. Jego głos brzmiał tak hipnotycznie, że Bourne, jak zniewolony, wyszedł cicho z kuchni i stanął przy barze.

– Była tam też dolina z rzeką – ciągnął stary. – Ale ta historia nie zdarzyła się w mieście, a w osadzie, i nie mieszkali w niej biali, tylko Indianie. Z góry, ze skały podobnej do tej, na jaką wdrapaliśmy się dziś z twoim tatą, widać było konie, indiańskie wigwamy i małe ogniska. Ogniska płonęły, odcinając się od zaśnieżonej ziemi, a wokół nich krążyły otulone kocami kobiety. Miałem wtedy szesnaście lat i po tym, co się stało, przyjechałem, żeby tu zamieszkać.

Bourne spojrział na Claire. Stała obok przy barze i patrzyła na starca. Nie wiedział dlaczego, ale bał się, że zaraz coś się stanie.

– Wiesz, ci Indianie kradli konie – opowiadał stary. – Ale widać mało im było i wzięli się też za kradzież bydła. Dwóch złapano podczas włamania do sklepu wielobranżowego w mieście. Miasto leżało za górami. A później jego mieszkańcy złapali Indianina, który dobierał się do białej kobiety, i go zlinczowali. To dało początek

wszystkiemu.

Zupełnie jak z tym Meksykaninem, pomyślał niespokojnie Bourne. Sara słuchała z oczyma wielkimi jak spodki, całkowicie pochłonięta opowieścią, wprost oniemiała.

– Tamtego wieczoru siedzieli w knajpie i pili całą noc, a rano postanowili dać Indianom nauczkę. Czterdziestu chłopów wsiadło na koń. Po drodze pociągali z butelek i gadali, rycząc ze śmiechu i wymachując strzelbami. Lecz kiedy podjechali do indiańskiej wioski, nie chcieli, żeby ich ktoś zauważył, więc rozjechali się wzdłuż całego płaskowzgórza, by zorientować się, jak tych Indian najlepiej zaskoczyć. Zaczął padać śnieg i musieli się spieszyć.

Ale co nagle, to po diable! Wymyślili sobie, że jeśli chcą to zrobić dobrze, muszą zaatakować jak Indianie. A to znaczyło, że trzeba zostawić konie, wejść do wioski po cichu, bez dzikich wrzasków, żeby tamci nie mieli czasu chwycić za broń, złapać koni i stawić opór. Nie, umyślili sobie, że zejda ze skały i ukryci w wysokiej trawie, podejda wioskę ze wszystkich stron. I kiedy na to wpadli, doszli do wniosku, że śnieg jest ich sprzymierzeńcem, bo daje dodatkową osłonę. Wypili jeszcze kilka łyków, podając sobie w kółko ostatnie butelki, aż wreszcie, gdy nie została już ani kropla trunku, zaczęli schodzić do doliny. Dopiero późnym popołudniem weszli w wysoką trawę. Do wioski dotarli po kolejnej godzinie. Byłem jednym z nich. Jak już mówiłem, miałem szesnaście lat i mało oleju w głowie.

Chciałem zobaczyć, co będzie. Pozwolili mi pójść. Dwóch innych chłopaków zostało przy koniach. Miałem się trzymać faceta imieniem Arondale. Arondale przyjaźnił się kiedyś z moim ojcem, ale wtedy, kiedy podchodziliśmy Indian, mój tata już od dawna nie żył. Arondale'a traktowałem jak drugiego ojca. Często do nas zachodził, żeby odwiedzić mamę. Myślę, że chciał się z nią ożenić. Podziwiałem go tak, że trudno sobie wyobrazić. Uczył mnie polować. I w ogóle niemal wszystko, co wiem, zawdzięczam właśnie jemu. Był dużym mężczyzną, szerokim w barach. Miał twarz jakby wykutą z kamienia. Ale łagodną, jak twój ojciec.

W tym momencie Bourne zdał sobie sprawę, że stary od dawna wiedział, że mówi nie tylko do Sary. Claire przysunęła się bliżej.

– Szedłem z nim przez trawę. Miałem strzelbę, taką jak teraz, z podwójną lufą. Trawa była sztywna; kiedy pełzliśmy, kładła się na ziemi. Tak, zdarłem sobie spodnie na kolanach. Nigdy tego nie zapomnę. A jak podeszliśmy tak blisko, że spomiędzy źdźbeł trawy widzieliśmy wysmarowane tłuszczem twarze kobiet, Arondale wyciągniętą ręką nakazał mi milczenie i tak czekaliśmy. Jeszcze na górze wyznaczaliśmy sobie godzinę rozpoczęcia akcji. Mieliśmy ruszyć, kiedy wszyscy zajmą dogodne pozycje. Dwie po piątej. Pamiętam ten zegarek na łańcuszku. Wyciągał go z kieszeni, żeby sprawdzić czas.

Miał pęknięte szkiełko. Arondale uderzył nim gdzieś w górach o skałę i szkiełko poszło. W pewnej chwili na drugim końcu wioski ktoś strzelił. Nie wiedzieliśmy, czy to jeden z naszych, czy Indianin, który zobaczył, co się święci. Rozpętała się strzelanina. Wyskoczyliśmy z trawy i strzelając na prawo i lewo, pędziliśmy przed siebie. Arondale biegł przede mną. Zastrzelił pierwszego indiańskiego osiłka, który wystawił głowę z wigwamu, żeby sprawdzić, co to za hałas. Nie, źle mówię. To nieprawda, że wyskoczyliśmy z trawy i wszyscy zaczęliśmy strzelać. Ja nie strzelałem. Biegłem z innymi i pewnie zdawało mi się, że strzelam, ale tylko biegłem, bo w tym ataku było coś niesamowitego, jakiś rytm, który pociągał mnie za sobą. Arondale załatwił kolejnych trzech Indian, którzy wyszli z tamtego wigwamu, i pobiegł do następnego. Nie czekał, aż ktoś wyjdzie, po prostu wymierzył w jelenią skórę wigwamu i wpakował w nią cały magazynek. Podziurkował ją jak sito i przyłożył kolbę po głowie biegnącemu Indianinowi. A potem zrobiło się takie zamieszanie, zaczęła się taka bieranina, zewsząd słychać było tyle strzałów, taki wrzask, że nie pamiętam, co zaszło potem. Wiem tylko, że stałem pośrodku tej kotłowaniny. Tak, to mam żywo w pamięci... Ale nigdy nie mogłem zrozumieć, jakim cudem przeżyłem ten dzień bez jednego draśnięcia. Właściwa walka trwała raptem pięć minut. Po pięciu minutach większość Indian leżała już na ziemi. Kilku naszych latało w kółko, dobijając rannych, inni strzelali do koni i bydła. Tego też nie byłem w stanie zrozumieć. Skoro przyjechaliśmy tam głównie po to, żeby rozprawić się ze złodziejami, to czemu nagle zaczęli zabijać własne bydło i konie? Ale tak było. Pamiętam jeszcze jedno. Szesnasto – czy piętnastoletnią Indiankę, w każdym razie wyglądała na moją rówieśnicę. Udawała, że nie żyje. Leżała przy zabitej matce i miała nadzieję, że nikt się nią nie zainteresuje. Ale Arondale ją sprawdził. Tracił ją w stopę, aż podskoczyła i zerwała się do biegu jak spłoszony królik. Zgubiła jeden mokasyn. Koc zsunął się jej z ramion, ukazując sukienkę z jeleniej skóry, naszywaną czerwonymi koralikami. Teraz myślę, że te czerwone kropki to mogła być krew. Dziewczyna biegła przed siebie, długie czarne włosy powiewały jej nad plecami. Uciekała pod wiatr, w stronę wysokiej trawy. Nie wiem dlaczego, ale biegłem za nią i za pędzącym przodem Arondale'em. Arondale swego czasu służył w kawalerii. U boku miał długi pałasz, który zachował jeszcze z czasów wojny i przed wyprawą wetknął go sobie za pas, tak dla zabawy. Biegł za dziewczyną i nie zadając sobie trudu, żeby ją zatrzymać, wyciągnął ten pałasz i ciął. Pałasz musiał być świeżo naostrzony. Arondale uderzył z boku, a ponieważ, jak pamiętasz, był wielkim, silnym mężczyzną, przeciął dziewczynę na pół. Claire chwyciła Bourne'a za ramię.

– I wiesz, ta dziewczyna wcale nie umarła, nie od razu – ciągnął stary. – Nie pytaj, jak to się stało, ale dogoniłem ich i przystanąłem koło Arondale'a. Stał nad nią i patrzył.

Indianka jeszcze żyła. Oddychała, otwierała usta, żeby coś powiedzieć, ale nie mogła. Z jej ust i ciała lały się strumienie krwi. Patrzyła na nas szeroko otwartymi, ciemnymi oczyma; białek nie było widać. Śliczna dziewczyna. Spojrzałem na Arondale'a. Dłubał przy spodniach, rozpinał rozporek, obnażał się...

Claire wbiła paznokcie w ramię Bourne'a. Wyrwał się z jej uścisku, przeszedł przez salon i stanął nad starym, który udawał, że niczego nie zauważa i monotonicznie opowiadał dalej.

– ...rozciął jej spódnicę, chwycił za nogi, złączył się z nią, wbijał mocno...

Bourne zacisnął dłonie na gardle starego. Dławił go, dusił, wbijał palce w krtań, zaciskał ze wszystkich sił, gotów urwać mu głowę, żeby tylko zamilkł. Ale staruch nie zamilkł. Uniósł ramiona, próbował oderwać od szyi zaciskające się dłonie, podważyć szczupłe palce Bourne'a, wyłamać je. I mówił dalej:

– Szybkimi ruchami nabijał jej ciało na siebie. Tam i z powrotem, tam i z powrotem, a ona patrzyła... – Nie powinien w ogóle wydać z siebie głosu, a przecież piszczał, przenikliwie piszczał, i walcząc z dławiącymi go palcami, kończył swoją opowieść: – Wtedy go zastrzeliłem. Przystawiłem mu dwie lufy do głowy i rozwalilem Arondale'owi łeb. Rozpadł się jak przejrzwały melon. Nigdy nie znaleziono wszystkich kawałków, żeby go jakoś poskładać. Dlatego nie ożenił się z moją matką, dlatego...

Nagle wyzwolił się z rąk Bourne'a. Odwrócił się błyskawicznie i w chwili, gdy Bourne uniósł pięść, jednym ruchem wyrwał mu zza pasa nóż i mocno przystawił do brzucha.

– Chcesz wiedzieć, co wtedy czuła? – krzyczał. Czerwona gęba mu nabrzmiała, oczy mało nie wyszły z orbit. – Chcesz się przekonać, synku? Jeszcze raz mnie dotkniesz, jeszcze raz podniesiesz na mnie rękę, a wypruję z ciebie flaki!

18

Nigdy nie miał pewności, co usłyszał najpierw: krzyk żony czy eksplozję, która rozwaliła lewe okno. Możliwe, że najpierw krzyknęła Claire, przestraszona nożem, który stary przystawił mu do brzucha. A może krzyczała z powodu wybuchu? Nigdy się tego nie dowiedział. W pierwszej chwili myślał, że wrzucili coś przez okno albo że wiatr wybił szybę. Wtedy dostrzegł w ścianie dwa otwory po kulach i padł na podłogę.

– Chryste! To oni! Kładź się! – nakazał Claire. – Kładź się!

Przebiegła przez salon i rzuciła się na deski obok Sary. Stary był tak wykończony, że stał jak wrośnięty w ziemię i ściskając w dłoni nóż, rozglądał się nieprzytomnie na wszystkie strony.

Przez rozbite okno walił do środka śnieg, wył wiatr. I nagle znów usłyszeli brzęk szyby, w drugim oknie, znów dobiegł ich grzechot kul. Wicher zawył jeszcze głośniejsze.

– Padnij! – ryknął Bourne do starego, ciągnąc go za nogawkę spodni. W końcu podciął mu nogi. Staruch upadł, grzmotnął twarzą o podłogę. Bourne zabrał mu nóż, wyciągnął magnum i wycelował we frontową ścianę domu. – Nadchodzą. Zaraz tu będą.

Stary potrząsał głową. Z ust ciekła mu strużka krwi.

– Broń! Wyciągnij broń! – rzucił Bourne.

Staremu wróciła przytomność, usłuchał rozkazu.

– Ty głupi osle! – krzyknął Bourne. – Te głązy wcale ich nie zmyliły. Huk ich tylko zwabił!

– Możliwe – odparł stary; w każdym razie tak to właśnie zabrzmiało. W tej samej chwili na dworze zagrzmiały strzelby i grad kul wbił się w pianino. Struny pękały, podzwaniały, młoteczki opadały na nie w parodii akordów.

– Uciekajmy tylnym wyjściem! – zawołała Claire.

– Nie. Jeśli zaczęli od ulicy, tył domu też na pewno obstawili – odrzekł Bourne.

– Racja – zgodził się stary. – Mamy tylko jedną szansę. Uciekać na górę.

– To szansa? To jeszcze gorsza pułapka!

Jak tylko zaczęli mówić o tylnym wyjściu, Bourne odwrócił się i spostrzegł, że Claire zamknęła drzwi do kuchni. Ktoś mógł teraz tamtędy wejść, a oni nawet by go nie zauważyli. Wydało mu się, że słyszy w kuchni jakiś ruch. Strzelił przez drzwi, Sara przeraźliwie krzyknęła, bliski huk rewolweru dźwięczał mu w uszach. Ale pies też musiał coś usłyszeć. Najeżony, obnażył zęby i zbliżał się do kuchni.

– Ciii... – mruknął stary.

Pies stanął.

– Ciii... – powtórzył staruch i pies zawrócił.

Stary musiał to wyczuć znacznie wcześniej. Teraz zauważył to i Bourne. Spod kuchennych drzwi wypełzał gęsty, gryzący czarny dym. Unosił się nad podłogą, wciskał górą, nad futryną, przenikał do baru szparami. Bourne zerknął w stronę ulicy i zobaczył, jak przez frontowe okna razem ze śniegiem wpadają łukiem dwie jasno świecące latarnie. Rozbiły się, uderzając o podłogę, i na moment przedtem, nim buchnęły pierwsze płomienie, uderzył go w nozdrza mdląco-słodki zapach benzyny. Płomienie strzeliły pod sam sufit, tworząc ścianę ognia odgradzającą ich od okien i drzwi.

Dym z kuchni gęstniał coraz bardziej, snuł się już pod powałą. Sara zaczęła kaszleć. W czarnych kłębach Bourne dojrzał jaskrawopomarańczowe języczki ognia, które zaczynały lizać dół drzwi.

– Zakryj usta bluzką! Oddychaj przez bluzkę! – rzucił do Sary.

– Na górę! – ponaglał stary. – Mówiłem, na górę!

Ale tam nie poszedł. Przepelzył do baru, gdzie Claire oparła strzelbę, a potem zniknął w czarnych kłębach dymu za kontuarem.

– Co robisz? Po co tam leżysz?

– Po to – odparł stary. Wypełzył z ukrycia, rozkaszał się i pokazał Bourne'owi inną strzelbę, którą ściskał w garści.

– Skąd to wzięłeś?

– Przyniosłem, kiedy spaliście.

– Chryste!

– A jakże. Teraz na górę, na górę.

Tym razem na nich nie czekał. Nisko pochylony, minął ich, wyprostował się i pomknął na górę. Ściana ognia była coraz bliżej i przy akompaniamencie trzeszczącego drewna, zżerała podłogę i sufit. Drzwi do kuchni spłonęły już niemal doszczętnie, płomienie tańczyły na ścianach, po obu stronach futryn. Bourne czuł na twarzy żar ognia.

– Idziemy! – Poderwał za sobą Claire, schylił się, żeby podnieść Sarę.

– Mogę iść sama.

– To idź. Szybko!

Biegąc w stronę schodów, odwrócił się nagle i odruchowo chwycił śpiwór Sary i swój plecak. Dogonił je na schodach. Jego kroki zadudniły głucho na stopniach. Żar przenikał plecy kurtki. Salon stał w morzu ognia.

– Tędy! – krzyknął stary; już tam na nich czekał.

– Ale pożar! Tu nas też dosięgnie!

Dym przedzierał się przez podłogę, w szparach między deskami widać było ogień.

– Nie ma czasu na wyjaśnienia – odrzekł stary. Biegł korytarzem równoległym do ulicy, to kryjąc się w cieniu, to znów uciekając od ognia, wreszcie dopadł jakichś drzwi na końcu i napał na nie ciałem.

– Pomóż mi.

Na dole szalał ogień, wszystko trzeszczało, żar bił spod wzdętej podłogi, dusił ich dym. Naparli na zamknięte drzwi, ale nie chciały ustąpić.

– Strzelba! – zawołał Bourne, sięgając po broń.

– Nie, usłyszą – zaprotestował stary. Jeszcze raz podjął desperacką próbę sforsowania drzwi. Bourne też rzucił się na nie całym ciałem. Pękły jak sucha listewka, a oni wpadli z rozpędem do jakiegoś pokoju.

– Jesteśmy w sąsiednim budynku – tłumaczył stary. – Ten dom też należał do właściciela hotelu. Tutaj było biuro.

Ruszyli biegiem obok dużego biurka i zbutwiałego krzesła z nadgryzioną przez myszy skórzaną tapicerką przy przeciwległej ścianie. Obok nich biegł pies. Bourne przykucnął, żeby precyzyjnie się bokiem przez wąską, wystrzępioną dziurę, która rozcinała ścianę od podłogi do wysokości ramienia. Z tyłu dochodził go ryk rozszalałego żywiołu. Te powietrze było chłodne i czyste.

– Zrobiłem takie dziury w każdym domu – mówił stary. – Żebym mógł się swobodnie poruszać, niezauważony, gdyby ktoś się tu kiedyś zjawił.

Przeszli do następnego pomieszczenia zawałonego drewnianymi skrzyniami, z których jedna stała tuż przy ścianie, żeby zasłonić dziurę. Obeszli ją, popędzili między szpalerem skrzyń, minęli klatkę schodową i przez następne przejście wpadli do więziennej celi.

Bourne cofnął się od grubych dwucentymetrowych krat, spojrzał na metalowe łóżko pod ścianą, myśląc: Chryste, znów jesteśmy w pułapce. Ale stary pchnął lekko kraty, drzwi zaskrzypiały i stanęły otworem – nie były zamknięte.

– Jesteśmy prawie na miejscu – stwierdził.

Przebiegli obok biurka, stojaków na strzelby, kołków na klucze i pasy do rewolwerów i tym razem nie było już dziury w ścianie, tylko kłapa w podłodze, a pod nią schody.

– Ja podniosę, a ty trzymaj broń w pogotowiu – rzucił stary, wsuwając palec w kółko uchwytu. Szarpnął kłapą do góry. Bourne wymierzył, ale nikogo tam nie było.

– Dobrze – mruknął staruch. – Tylko tego się obawiałem. Teraz ich mamy.

– O czym ty gadasz?

Ale on już schodził na dół. Zatrzymał się jeszcze w połowie schodów, żeby uważnie zlustrować pomieszczenie, i zniknął pod podłogą. Zeszli za nim. Mieli przed sobą biuro szeryfa. Kolejny rząd cel, biurko, pusty regał na broń, drewniana szafka kartoteczna w rogu od ulicy, mapa przypięta do ściany, wokół niej listy gończe, bez zdjęć, z samymi oskarżeniami i wysokością nagród: mordercy, podpalacze, gwałciciele. Zdażył tylko na to wszystko zerknąć, bo stary dopadł już tylnego wyjścia pod schodami przy celach, już otwierał drzwi, już wyglądał na zewnątrz. Chociaż Bourne stał pośrodku biura, natychmiast poczuł lodowate zimno. Wiatr dmuchnął śniegiem.

Spojrzał w małe okna po obu stronach drzwi od ulicy i wyteżył wzrok, żeby dojrzeć coś przez gęsto syjący śnieg. Popatrzył w stronę tylnego wyjścia. Stary zniknął. Potem wrócił.

– Nie ma nikogo. Teraz mamy szansę.

Przez chwilę Bourne czuł rosnące ożywienie. Może jednak wyjdziemy z tego cało, myślał. Ale natychmiast wrócił do rzeczywistości.

– A jeśli postawili kogoś przy stajniach?

– Przy jakich znów stajniach? O czym ty mówisz? Ja chcę ich dorwać!

Nie wierzył własnym uszom.

– Co?!

– Dwóch jest z przodu. Wrzucili przez okna lampy naftowe. Jeden czeka z tyłu, ten, co podpalił kuchnię. Weźmiemy się najpierw za niego.

– Przecież to szaleństwo! Skąd wiesz, że jest ich tylko trzech? Może ich być kilkunastu!

– Przy takim śniegu może ich być tylko trzech. To bez znaczenia. Załatwimy wszystkich, zanim się zdążą połapać.

– Załatwiaj ich sobie sam! Ja wyjeżdżam.

– Naprawdę? Posłuchaj. Uciekniesz teraz, to znowu cię dogonią. Taka okazja już nigdy się nie powtórzy. Wiesz, gdzie są, śnieg cię osłoni, oni nie mają pojęcia, skąd uderzysz.

– Nie tylko o to chodzi, co? Nie robisz tego dla mnie. Chcesz to zrobić dla siebie! Ale ja nie zamierzam ryzykować życia rodziny, żeby ci pomóc.

– Masz rację, robię to dla siebie. To moje miasto palą. Nie, nie tylko moje miasto. Oni palą mój dom! I mówię ci, nie ujdzie im to płazem.

– W imię czego? Miasta już praktycznie nie ma. Kiedy spłonie ta część, puszcza z dymem drugą. Jak skończą, nie zostanie tu kamień na kamieniu. Co innego, gdybyśmy mogli coś uratować, gdyby istniała jakaś szansa. Ale tylko dla zemsty? Nie ma mowy. Wyjeżdżamy.

– Zastrzelę cię. Tutaj, teraz.

Koło się zamknęło. Znowu stali naprzeciwko siebie. Stary mierzył w niego ze strzelby, on trzymał go na muszce magnum. Ale tym razem to Bourne musiał opuścić broń. Stary gotów był strzelić, nie miał co do tego wątpliwości. On sam nigdy by tego nie zrobił, zbyt przestraszony, że tamci usłyszą i przyjdą się z nim rozprawić. Nie, to nie był remis, to było samobójstwo.

Poczuł dym.

Stary odwiódł kurki.

– Dobra. Powiedz jaki masz plan.

Staruch uśmiechnął się.

– Zaraz zobaczysz.

Opuścił lufę. Bourne odetchnął.

– Ogień! – krzyknęła Claire.

Słyszał. Płomienie szalały, trzaskały. Gdzieś obok. Dym przeciskał się przez ściany.

– Musimy je ukryć w wysokiej trawie – powiedział stary, wskazując Claire i Sarę.

Kiedy stary wyprowadzał je w bezpieczniejsze miejsce, był taki moment, że Bourne mógł mu rozwalić czaszkę rewolwerem i biec po konie. Ale tego nie zrobił. Zupełnie jakby ktoś zdecydował za niego, a on tylko się podporządkował, wdzięczny, że wreszcie może działać. Uświadomił sobie, że stary ma chyba rację – lepszej okazji nie będzie. Za jakieś pół godziny wszystko mogło się skończyć raz na zawsze, z takim czy innym skutkiem. I nie będzie już musiał uciekać.

19

Śnieg walił mu prosto w twarz. Mimo blasku pożarów wzdłuż całej ulicy, niewiele widzieli. Dym mieszał się ze śnieżną zadymką i chociaż dochodziła dopiero czwarta po południu, było ciemno jak w nocy. Musieli iść pod wiatr, osłaniając twarze ramionami przed ostrym, zacinającym śniegiem. Okrążyli szopę, skręcili w stronę płonącego, prawie doszczętnie spalonego hotelu i niemal wpadli na mężczyznę, który kulił się za ścianą szopy, obserwując tył płonącego budynku.

Stary zauważył go pierwszy, zatrzymał się nagle i pchnął Bourne'a za szopę. Nie ryzykował nieporozumień: zakrył mu usta kościstą, lodowatą dłonią, powstrzymując od wszelkich pytań. Nachylił się, wyciągnął z buta długi zakrzywiony nóż i zniknął za rogiem.

Bourne nic z tego nie rozumiał. Skoro stary cały czas miał przy sobie nóż, dlaczego nie użył go w trakcie hotelowej bójkę? Dlaczego wyrwał mu nóż zza pasa? Bo tak mu było wygodniej? A może chciał pokazać, jak dziecinnie łatwo można go rozbroić?

Nigdy się tego nie dowiedział. W ryku śnieżnej burzy i szalejącego ognia nie słyszał, czy mężczyzna ugodzony nożem krzyknął, czy choćby pisnął. Staruch świetnie sobie radził, więc tamten nie zdążył pewnie nawet westchnąć. Stary już wracał, wyłaniał się ze śnieżycy. Wszedł zza tego samego rogu szopy, za którym przedtem zniknął, i ocierając nóż o spodnie powiedział:

– Chodź mi pomóc. – A Bourne, jak w transie, poszedł.

Mężczyzna leżał w śniegu, twarzą do ziemi. Chociaż zasy pod szopą rosły szybko, wszędzie było pełno krwi. Od śnieżnej bieli odcinały się karminowe, czerwone, wreszcie blad różowe plamy. Z oziębia wyrwała go dopiero głowa zabitego. Krew zakrzepła mu na resztkę włosów, spłynęła po szyi aż na ubranie. Stary musiał ją chwycić, naciąć skórę, szarpnąć i... Oderwał wzrok od głowy i spojrzał na śliską od krwi masę skóry i włosów zwisającą z paska starego. Cofnął się o krok i szepnął:

– Chryste! Oskalpowaleś go!

Staruch pogroził mu nożem i burknął:

– Zamknij się i pomóż. Ciebie też oskalpuję, jak się nie ruszysz. Wchodzisz mi w drogę, przeszkadzasz. Nie pozwolę na to.

Chwycił zabitego za nogi, obrócił ciało w drugą stronę, twarzą w dół, i tak powłókł go po śniegu do ognia. Za zwłokami ciągnęła się smuga krwi.

– Pomóż mi, do cholery! – sapnął.

Bourne usłuchał go i tym razem. Potknął się, złapał trupa za ręce, dźwignął nad ziemię i razem ponieśli go ku płomieniom; ścieżka z krwi była coraz szersza, coraz wyraźniejsza. Na kurtce Bourne'a topniał śnieg, włosy na jego dłoniach skręciły się i zszarzały. Bliżej podejść nie mogli. Rozhuścili zwłoki i cisnęli w ogień. Upadły ciężko na podwinięte ramię, tuż przed ścianą ognia, i Bourne poczuł ostry swąd palonych włosów, od którego żołądek wywracał mu się do góry nogami. Nie wiedział, czyje to włosy, zabitego czy jego. Szybko odwrócił twarz od ognia i potykając się, uciekł od żaru. Nagle stanął przy krwawej płataninie wnętrzości, które wypadły ze zwłok po drodze. Zasłonił ręką usta, patrząc, jak stary schyla się i trzymając jedno ramię za plecami, podnosi krwawe szczątki, by rzucić je w płomienie. Widział, jak lecą, rozłaząc się i podrygując w powietrzu, po czym spadają w ogień. Przeniósł wzrok na zwłoki. Ubranie mężczyzny już się zajęło. Opadł na kolana i trzymając rękę przy ustach, walczył z wymiotami.

– Wstawaj! – warknął stary.

Ale nie mógł wstać. Klęczał tak daleko od ognia, że zgrabiała mu ręce. Oblewał się zimnym potem i szarpany mdłościami, przyciskał dłonie do twarzy.

– Wstawaj, powiedziałem! – Stary chwycił go i ciągnął w górę. – Nie mamy czasu. Ja idę tędy. – Wskazał tył biura szeryfa. – Przejdę tamtędy na drugą stronę ulicy. Tz pójdziesz w tamtą stronę i zrobisz to samo. – Wyciągał rękę w przeciwnym kierunku, w stronę wjazdu do miasta. – Złapiemy ich w potrzask.

Chciał coś powiedzieć, ale nie wiedział co i jak, zresztą po co. Stary zniknął już w śnieżnej burzy i Bourne został sam na tyłach hotelu. Ciągłe się pocił i patrzył na krwawą smugę, szybko niknącą pod śniegiem, wciągał w nozdrza swąd palonych włosów, ubrania i ciała, wreszcie puścił się jak strzała we wskazanym kierunku, pędził wzdłuż płonących budynków i w końcu dotarł do bocznej uliczki, w którą miał skręcić.

Płomienie zdążyły już przenieść się na drugą stronę wąskiej przecznicy, zostawiając tylko niewielki przesmyk bez ognia – tędy by się nie przebił. Pobiegnął więc dalej, prosto przed siebie, mijając kolejne budynki, i nie wiedząc kiedy, dopadł uliczki, gdzie pożar jeszcze nie dotarł.

Nawet nie myśląc, zatrzymał się i przywarł plecami do tylnej ściany ostatniego

domu. Trzymając rewolwer w pogotowiu, ostrożnie wyjrzał za róg i zlustrował przestrzeń między budynkami, aż do skrzyżowania z główną ulicą.

Nie dostrzegł nikogo.

Znów ruszył biegiem, znów skrył się za rogiem i rozplaszczony na ścianie innego domu, obserwował główną ulicę, chodniki i witryny sklepów. Na szczęście zamieć siekła go teraz w plecy, nie w oczy, ale i tak mrużył powieki i wyteżał wzrok, by sprawdzić, czy w tej śnieżycy i zadymie kogoś jednak nie dojrzy.

Nie, nie dojrzał nikogo. Wstrzymał oddech i pomknął przez główną ulicę do następnego rogu. W dalszym ciągu nikogo nie widział, więc biegł przy krawężniku, zaglądając w każdą witrynę, badając wzrokiem przeciwległy chodnik, tonący w śniegu.

Na tej przecznicy nikogo się nie spodziewał. Sądził, że będą czekać naprzeciwko hotelu albo przy najbliższej bocznej uliczce, że będą czekać, aż hotel spłonie doszczętnie, święcie przekonani, że nikt się stamtąd nie wymknie. Z drugiej strony, mogli obstawić całą ulicę, zwłaszcza jeśli było ich więcej niż trzech. Na wszelki wypadek. Dlatego musiał wszystko dokładnie sprawdzać, zaglądać w każde mijane okno wystawowe. W końcu dotarł do miejsca, gdzie po przeciwnym końcu ulicy pożar przeniósł się już na sklepy. Zmrużył oczy i zobaczył przed sobą skrzyżowanie. Przed nim, po prawej stronie, płonął rząd domów. Wśród nich – hotel. Podchodząc do skrzyżowania, zwolnił, a gdy usłyszał strzały, zastygł w miejscu. Trzy. Gdzieś w głębi uliczki. Tak stłumione rykiem ognia i zamieci, że nie mógł rozpoznać, czy strzelali ze strzelby czy z broni krótkiej. Stary, pomyślał, i mimo wszystko chciał mu biec na ratunek. Ale nie mógł się ruszyć i ta sekunda wahania go uratowała, bo naraz ujrzał na skrzyżowaniu wyłaniającą się z zadymki postać, która z każdą sekundą rosła w oczach. Przecież on nie może być taki wielki, myślał, ale postać stawała się coraz większa i większa, aż wreszcie zrozumiał, że kiedy usłyszał odgłosy strzałów, odruchowo przykucnął i z tej pozycji perspektywa płała mu figla, a biały ochronny kombinezon idącego też robił swoje. Opadł na kolana i rzucił się twarzą w śnieg. Lepki puch zatkał mu usta i nos, Bourne dusił się, nie mógł złapać tchu. Wstrzymał oddech, serce waliło mu jak oszalałe, w piersi czuł ostry ból. Zerknął w górę na człowieka w bieli i widział, jak ten nagle skręca w przecznicę i biegnie w kierunku strzałów. Kolejne dwa. Gdzieś bliżej. Tym razem wiedział, że padły z rewolweru. O Chryste, stary zaraz zużyje całą amunicję! Nie będzie miał czasu, żeby załadować broń, a przecież nie miał przy sobie tej wielkiej armaty, bo dał ją Claire. Została mu tylko strzelba, ale w tej zamieci nie będzie w stanie nikogo trafić, chyba że dosłownie na niego wpadnie, a przy małych odległościach pożytek ze strzelby żaden.

Jeszcze jeden strzał, tym razem głośniejszy, wyraźniejszy, na pewno ze strzelby, tylko nie wiedział, skąd padł, a nie mógł ryzykować spotkania z kolejną postacią w bieli,

czyhającą w zawierusze. Tak, musiał się czołgać. Pełznął przez skrzyżowanie, na drugą stronę ulicy, daleko od pożaru, i raz po raz unosił głowę, by sprawdzić, czy kogoś przed sobą nie zobaczy. Zamierał w bezruchu, nasłuchiwał, sunął naprzód.

Dotarł do chodnika i pełził wzdłuż jego wysokiej krawędzi, wykorzystując ją jako osłonę przed wzrokiem tego, kto mógł czaić się w jednym ze sklepów. Bo tylko tam mogli czatować. Przy takiej zamieci nie zostaliby na dworze. I tak pewnie sądzą, że nikt z pożaru nie ocalał. Czekają w sklepach, aż minie burza, aż przygaśnie ogień, a wtedy pójda do hotelu i sprawdzą.

Nie, wcale nie tak. Skoro jeden z nich obstawiał skrzyżowanie, to na ulicy mogło ich być więcej. Co nie znaczy, że nie ma ich w sklepach. Pełził naprzód i bez przerwy rozglądał się na wszystkie strony. Ocierał oczy ze śniegu, macał dokoła, przystawał.

Kolejny strzał. I jeszcze jeden. Znowu ze strzelby. A teraz ktoś przeraźliwie krzyknął! Stary któregoś dopadł. Na pewno? A może to właśnie jego dopadli?

Nie mógł już tego wytrzymać. Zerwał się na równe nogi i zaczął uciekać, od śniegu, od nich wszystkich. Ręka przymarzała mu do metalowej obudowy rewolweru, wrywał naprzód, wciąż naprzód, przebiegł przez chodnik, Uderzył barkiem w drzwi sklepu i wpadł do środka. Przykucnął nisko, nasłuchując, czy nikogo tam nie ma. Sklep bławatny. Dawny sklep bławatny: długie lady po bokach, za nimi puste półki. Dał nura najpierw za jedną, potem za drugą ladę, sprawdzając, czy nikt za nimi nie czyha. Kurtkę oblepił mu kurz, brud i pajęczyny. Odwrócił się na pięcie w stronę drzwi, na wypadek, gdyby ktoś usłyszał, jak wpadał do sklepu.

Nikogo. Zawadzając nogą o jakąś skrzynię, cofnął się w głąb sklepu, w cień jednego z kątów. W tej samej chwili ktoś otworzył gwałtownie tylne drzwi i wprost ze śnieżnej zamieci do sklepu wbiegł mężczyzna z bronią w ręku. Rozpoznali się w ostatniej chwili, o mały włos by do siebie wygarnęli.

Staruch nie zwracał na niego uwagi. Miał papierowoblada twarz. Zatoczył się na przeciwległy kontuar i coś na nim postawił. W pierwszej chwili Bourne myślał, że stary jest ranny, że go postrzelili, bo tak dziwnie się ruszał. Później przypomniał sobie, że widział już te objawy: stary wyglądał dokładnie tak samo, gdy stanął wtedy na środku ulicy i chwycił się za brzuch. *Jakieś głupie skurcze*. Coś mu w środku pękło i nie mógł tego już dłużej ukrywać. I nagle Bourne zobaczył, przy czym staruch majstruje. Tam, na kontuarze. To była lampa. Potrząsnął nią nasłuchując, czy jest pełna, podniósł szklany klosz, zapalił knot, nałożył z powrotem klosz i chwyciwszy lampę, cofnął ramię wysoko za siebie, szykując się do rzutu.

– Co robisz?!

– Zamknij się! – uciszył go stary. – Daj mi spokój! – Gwałtownie wygiął się w bok,

wyślizgnął z uścisku ręki Bourne'a i grzmotnął latarnią o regał z półkami. Posypało się szkło, drewno niemal od razu stanęło w płomieniach, ogień skoczył w górę, obejmując półki aż po sufit.

– Zadekowali się w sklepach po tej stronie. Odpłacę im tą samą monetą. – Kiwając się niezręcznie, szedł do frontowych drzwi. – Zaczna uciekać na ulicę, a ja sobie na nich zaczekam.

To nie trzymało się kupy. Przecież chciał ich dopaść właśnie dlatego, że palili jego miasto, a teraz sam puszczał je z dymem. Nie, nie chodziło mu o to, by ukarać ich za to, co zrobili, po prostu musiał komuś dołożyć, wszystko jedno za co i dlaczego. Wpadł w taki szał, że Bourne słyszał, jak potykając się na progu, głośno chichocze. To dlatego powstrzymał jego i Claire przed dalszą drogą, to dlatego kuląc się z zimna, czekały teraz w śnieżnej zamieci. Tego już było za wiele. Zaczął krzyczeć. Wreszcie pisnął histerycznie:

– Cholerny sukinsynu! Ty głupi, pieprzony...

Ale nie miało to już żadnego znaczenia, bo stary zdołał wyjść tylko na chodnik. Upuścił strzelbę, zaplótł przed sobą ramiona, ścisnął się w pasie i opadł na kolana. Już nie chichotał – jęczał. Strzał, który rozległ się chwilę później, poderwał go na nogi, cisnął nim w drzwi i rozpląszczył na podłodze. Stary zabalgotał jeszcze i szarpany konwulsjami, skonał.

A Bourne jakby wrósł w ziemię. Wiedział, że powinien paść, schować się za czymś i strzelać do tego, kto krył się na ulicy. Rozsądek nakazywał uciekać tylnym wyjściem, nie czekać, aż po niego przyjdą. Ale tylko stał, patrzył przed siebie na starego przy drzwiach, na jego rozprutą klatkę i darł się:

– Ty sukinsynu! Ty głupi, pieprzony sukinsynu! – I strzelił do niego, trzy razy. Każdy pocisk podrywał zwłoki do góry. Tymczasem ogień z płonących półek ogarnął już podłogę i lizał czubki palców starucha.

Ostry świst. Kula wbiła się w kontuar, tuż obok Bourne'a. Strzelił jeszcze raz, roztrzaskując staremu głowę, potem jeszcze raz, ale tym razem w stronę ulicy, przez otwarte drzwi. I już go nie było.

20

Nigdy do końca nie zrozumiał, jakim cudem dotarł do Claire i Sary. Kiedy wyszedł tylnym wyjściem, burza jeszcze bardziej przybrała na sile i siekła śniegiem. Nie rozglądał się niespokojnie, by sprawdzić, czy ktoś na niego nie czeka, nie kulił się, żeby trudniej go było trafić, nie pędził od jednej osłony do drugiej, nie krył się za szopami ani w zaspie przy beczie na rogu budynku – po prostu biegł. Czuł, że w tak paskudnej zadymce i tak

nie zobaczą, jak będzie przecinał główną ulicę, ani jak wejdzie w jedną z przecznicy prowadzących w stronę pól, gdzie ukrył Claire i Sarę. Bieg stał się przymusem, nad którym nie panował, więc pędził, naprzód, przed siebie. Padał i wstawał, biegł dalej i myślał: „Ty cholerny sukinsynu! Ty cholerny, pieprzony sukinsynu!” A może nawet krzyczał? Tego też nigdy się nie dowiedział. Pędził na oślep, mijał sklepy i szopy, których nie widział – ale przecież musiały tam być – przecinał boczne uliczki, skręcał w alejki, potykał się, upadał, biegł dalej. Tego też nie mógł sobie potem przypomnieć: momentu, kiedy zorientował się, że jest już za miastem, na polach, i że na pewno zamarznie tam na śmierć. Dopiero znacznie później, kiedy odtwarzał wszystkie wydarzenia, doszedł do wniosku, że uświadomił to sobie w chwili, gdy padając, rozciął sobie twarz w ostrej trawie, i chociaż wtedy nie zwrócił na to uwagi, zrozumiał, że jeśli straci z oczu miasto, zabłądzi na polach, to zamarznie i umrze. Dopiero to przywróciło mu zdolność myślenia, to oraz fakt, że bez niego Claire z Sarą też zamarzną i umrą.

Miasto płonęło jak pochodnia. Stanowiło dobry punkt orientacyjny, znaczyło drogę powrotną. Obszedł chwiejnie domy stojące na skraju, przeciął drogę, którą dzień wcześniej zjeżdżał z gór, i popędził przed siebie, wzdłuż coraz gęściejszego rzędu budynków. Patrząc na ogień, przedzierał się przez trawę, by nagle wyjść wprost na Claire i Sarę. Siedziały zgarbione pod śpiworem, który wyniósł z hotelu. Otoczone wianuszkami zasp, schowały się w wygniecionym gniazdku pośród traw. Przykazał Claire, żeby strzelała do każdego, kto nadejdzie i nie krzyknie „Reuben”, więc zanim zorientowała się, że to on, mało go nie zabiła.

– Boże, nie wiedziałam, co się dzieje! Słyszałam strzały, pożar się rozprzestrzenił i już myślałam, że cię nigdy...

– Wiem. Wszystko w porządku. Nie martw się. Teraz już będzie dobrze – uspokajał ją z nadzieją, że mu uwierzy.

Byli na wpół zamarznięci, ale nie mieli czasu, żeby rozetrzeć ręce i stopy ani żeby się trochę rozruszać, bo znów musieli ruszyć w drogę. W pierwszej chwili pomyślał, żeby przejść przez pola do lasu, ale wiedział, że się zgubią, odmrozą stopy i nigdy nie dojdą do celu. Najpierw musieli wrócić po konie.

Zdawał sobie sprawę, że ktoś mógł pilnować stajni, ale i tak trzeba było spróbować. Choćby tylko spróbować. Jeśli okaże się, że stajnię obstawili... Cóż, wtedy powie sobie, że zrobili wszystko, co mogli. I pójdą przez pola do lasu, wiedząc, że nie mają innego wyjścia.

Zawrócili, zbliżając się do stajni od krańców miasta. Sara była już tak zziębnięta, że musiał ją nieść. Potykał się, wpadał w zasy i nagle poczuł, że Sara mości się na jego piersi, że głowa jej opada. Wiedział, że za wszelką cenę powinien ją zmusić do marszu,

bo inaczej zaśnie, bo sen spowolni wszystkie procesy organiczne i córka zamrze na śmierć. Postawił ją na ziemi i zmusił do samodzielnego marszu. Popychał ją naprzód, podtrzymywał, ratując od upadków, opierał ręce na jej ramionach, pchał przed sobą. Wreszcie doszli główną ulicą do przecznicy, w połowie której, po lewej stronie, były stajnie. Mimo zacinającego śniegu dostrzegł, że na jej końcu płoną już pierwsze domy.

– Wejźmy od przodu i od tyłu dokładnie w tej samej chwili – powiedział. – Jeżeli są w środku, musimy odwrócić ich uwagę z obu stron naraz.

– A skąd będziemy wiedzieć, że to właśnie „ta sama” chwila? – zauważyła Claire.

I miała rację. Plan był do kitu. Musieli wejść wszyscy razem. On przodem. Gdyby się teraz rozdzielili, mogliby się już nigdy nie odnaleźć. Wóz albo przewóz. Musiał ryzykować, nie było innego sposobu. Popychając Sarę, biegnąc przy niej, przeciął ulicę; Claire nie odstępowała ich na krok. Biegli kawałek ulicą, potem skręcili w lewo, w alejkę, i zatrzymali się na tyle daleko od tylnego wejścia do stajni, że miał jeszcze czas zlustrować najbliższą okolicę. Dał im znak, żeby zostały na miejscu, a sam, skulony, podszedł do drzwi. Obejrzał uważnie zasy przed wejściem, wyteżył wzrok, szukając śladów ludzkich stóp. Nic tylko dziewiczy śnieg; zasy były tak okazałe, jakby od początku burzy nikt nie otwierał drzwi. Obejrzał się i mrużąc oczy, zerknął na pożar. Potem spojrzął za siebie i zobaczył, że Claire i Sara skradają się w jego stronę. Zaczerpnął tchu, chwycił za drewniany uchwyt na drzwiach, rozkopał zasną nogą, wpadł do środka i dał nura do boksów na prawo. Przeturlał się błyskawicznie i wstał. Wyciągnął przed siebie rękę uzbrojoną w rewolwer, mierząc do sąsiednich boksów. Konie dreptały niespokojnie, zdenerwowane śwędem dymu i nagłym hałasem, z jakim wbiegł do stajni. Zerknął na strych i ruszył wzdłuż boksów, rzucając okiem na przeciwległe wyżki, ale przecież gdyby ktoś się tam czał, Bourne już by nie żył.

– Chodźcie! – krzyknął, biegnąc do srokaty. – Szybko, nie mamy czasu!

Rzucili się do koni. Claire siodłała gniadą, Sara rozcierała dłonie przy drabinie prowadzącej na wyżki i tupała, żeby rozgrzać stopy.

Bourne stracił czucie w zlodowaciałych, spuchniętych z zimna dłoniach i zakładanie popręgu srokaty trwało zbyt długo. Musiał przy tym kilka razy uderzyć dłońmi o udo, musiał je rozgrzać, zanim wziął się do zapinania sprzączek, ściągania pasów i zabezpieczania ich. Właśnie odwracał się, żeby przygotować mysz, gdy Claire przeraźliwie krzyknęła, a kiedy zerknął w górę, zobaczył mężczyznę stojącego na przeciwległej wyżce. Mierzył do nich ze strzelby; musiał czatować gdzieś w rogu i czekał, aż zaczną hałasować przy koniach, by niepostrzeżenie podejść do krawędzi strychu. Był młody, miał na sobie biały kombinezon. Stał odrzuciwszy kaptur i uśmiechając się od ucha do ucha, trzymał ich pod lufą.

Bourne rzucił się pod ścianę boksu. Usiłował wyciągnąć rewolwer, ale miał tak zgrabiałe dłonie, że broń wypadła mu z ręki i zupełnie bezradny patrzył, jak tamten uśmiecha się coraz szerzej, jak opiera kolbę strzelby o ramię, przytula do niej policzek, żeby idealnie wymierzyć. Nagle huknął podwójny strzał i mężczyzna dosłownie rozpadł się na kawałki: twarz poleciała w jedną stronę, ramię w drugą. Z wielką dziurą w piersiach, wypuścił strzelbę i podskoczył. Podskoczył wysoko, pod dach, tak jakby ktoś szarpnął za linę, do której był uwiązany. A potem upadł ciężko w róg, pewnie w ten sam, gdzie się wcześniej ukrywał.

Bourne nie wiedział, co się stało. Miał wrażenie, że Sara nigdy nie przestanie krzyczeć. Spojrzał na Claire. Wciąż trzymała strzelbę przy ramieniu i nadal mierzyła w miejsce, gdzie jeszcze niedawno stał młody mężczyzna. Zastygła w bezruchu, nie oddychała, nawet nie mrugała. Po prostu stała z wyciągniętą strzelbą. Mógł tylko opuścić jej ręce, to wszystko. Rozpląkała się, ale nie miał czasu, żeby ją pocieszać. Sam nie wiedział, jakim cudem zaczął działać precyzyjnie jak szwajcarski zegarek: wyprowadził z boksów gniadą i sroką, zmusił Claire i Sarę, by przeprowadziły konie przez tylne drzwi – klął przy tym i błagał, robił wszystko, żeby tylko się stamtąd ruszyły – a sam wrócił do myszatej. Narzucił na nią siodło, byle jak zapiął popręg, wcisnął jej uzdę do pyska i z nadzieją, że siodło nie spadnie, wybiegł z myszată ze stajni. Wskoczył na nią, dźgnął mocno piętami, mijając gniadą i sroką huknął je w zady i wrzasnął na Claire i Sarę, żeby je pogonić. Przegalopowali alejką, skęcili w boczną uliczkę, przecięli główną ulicę i już pędzili w stronę zasypanych śniegiem pól po drugiej stronie miasta. Gdzieś za nimi rozległ się strzał, ale Bourne nie słyszał świstu kuli. Znów dźgnął piętami myszată i kurczowo ścisnął wodze i lęk siodła, żeby nie spaść. Claire galopowała tuż przy nim, Sara też, po drugiej stronie. Burza przycichła na tyle, że widział już trawiaste pola, i właśnie wtedy, w chwili, gdy wjeżdżali w wysoką trawę, usłyszał drugi strzał i odgłos świadczący o tym, że kula sięgnęła celu. Dobrze, że Sara jechała z boku i nie mogła spojrzeć za siebie, by zobaczyć to, co on zobaczył. Tak, wiedział, co zobaczy, lecz mimo to spojrział. Ostatni obraz żony, jaki dane mu było zachować w pamięci: Claire spadająca z konia. Spadała głową naprzód. Jej zakrwawiona, rozłupana twarz pociągnęła za sobą resztę, a czarna dziura z tyłu czaszki zniknęła mu z oczu, kiedy ciało żony przekoziółkowało i runęło na ziemię.

Długo trwało, nim się opamiętał. Wstrząs, jakiego doznał na widok tego, co się stało z Claire, tak go poraził, że dźgał konia nieprzytomnie, zmuszając go do coraz szybszego

galopu. Sara pędziła tuż obok. W zapamiętaniu wjechał głęboko w las i galopował coraz wyżej i wyżej, coraz prędej. Ściągnął mocniej cugle, żeby ominąć ścianę krzaków, która niespodziewanie wyrosła na drodze, skręcił w lewo, żeby objechać zaporę ze zwalonych drzew, paroma kopniakami zmusił konia, by wcisnął się w wąską przecinkę między świerkami, wreszcie dotarł do jakiejś polany. Ale polana go przestraszyła, więc w ostatniej chwili ściągnął wodze i ruszył skrajem lasu. Kopiając klacz, grzmocąc ją po zadzie, pokonał następne wzgórze, potem skręcił w kierunku trzeciego, potem jeszcze innego. Właściwie mógł tak jechać w nieskończoność, dopóki myszata nie padłaby z wyczerpania, ale zorientował się, że Sara została w tyle. Ściągnął wodze, schylił głowę, klepnął myszatą, żeby zawróciła, i u stóp zbocza ujrzał córkę. Srokata ugrzęzła w zaspie. Pogalopował w dół, o mało nie spadając po drodze, ześlizgnął się z siodła, przywiązał klacz do drzewa i już biegł do Sary. Przerażony zauważył, że córka ma dziwnie podwinętą nogę, że koń ją przygniata, i wystraszył się, że ją złamała, ale nie, to tylko ten wysoki, sypki śnieg zakrył nogę Sary przed jego wzrokiem. Już do niej brnął, już wyjmował jej stopę ze strzemienia, już zszadzał ją z konia. Chwycił wodze srokatej i wyciągał klacz z zasy. Ciężko mu szło, potykał się, szarpał, wreszcie uwiązał ją do gałęzi świerku. Wysięk i szok po tym, co stało się z Claire, dały znać o sobie. Nogi mu drżały; ledwo zdołał osunąć się plecami po pniu drzewa, inaczej upadłby tam, gdzie stał. Burza cichła, śnieg lekko prószył – pod drzewami prawie nie padał, bo zatrzymywały go gałęzie – między konarami szumiał wiatr.

W końcu i wiatr ucichł. W ponurym zmroku, pod ciemnymi burzowymi chmurami, zapadła przytłumiona cisza, zakłócana jedynie głuchymi mlaśnięciami śnieżnych czap spadających z drzew w zasy.

– Gdzie mama? – zapytała Sara, czołgając się w jego stronę. Tłumiący dźwięki śnieg powodował, że jej głos brzmiał płasko, bezbarwnie.

Bourne nie mógł opanować drżenia rąk i nóg.

– Gdzie mama? – spytała ponownie.

– Została na dole.

– Dlaczego nas nie goni?

Nie odpowiedział.

– Przyjedzie do nas?

– Chyba nie.

Jej twarz. Rozerwana pociskiem, rozszarpana... Cały czas miał ją przed oczyma. Spojrzał w zachmurzone niebo, potem na swoje ręce, które wciąż drżały, i na Sarę. Wyciągnął do niej ramiona.

– Mama nie żyje, kochanie. – Przyciągnął córkę do siebie, utulił. Nawet nie drgnęła.

Odsunął ją trochę, zajął w twarz i nie dostrzegł w niej żadnych zmian. Buzia Sary była zimna, szara, bez wyrazu, taka sama jak od wielu, wielu dni.

– Co jej się stało?

– Zastrzelili ją.

– Na pewno?

– Kiedy uciekaliśmy z miasta przez pola. Widziałem mamę zaraz po tym, jak trafiła ją kula.

– Na pewno nie żyje?

– Na pewno. – Znów ją przytulił.

Pytanie Sary zapoczątkowało w nim pewien proces i właśnie wtedy zrodziła się wątpliwość, która już nigdy nie miała go opuścić. Tam na dole śnieg walił mocno, on pędził przed siebie tak szaleńczo, że widział twarz Claire tylko przez kilka sekund: w chwili, gdy spadała z konia. Wydawało się, że trwa to bardzo długo, ale przecież mógł to być tylko moment. Może jeszcze żyła? Może kula tylko ją drasnęła, może krew na twarzy nie kryła wyrwy po przelatującym przez głowę pocisku, może była skutkiem niegroźnego draśnięcia w policzek i gdyby zawrócił konia, gdyby ją stamtąd zabrał, może udałoby mu się ją uratować?

Nie. To nie krew widział na jej twarzy, to rozdarte ciało, a rozłupana dziura z tyłu głowy przypominała ranę od uderzenia motyką. Claire umarła, zanim spadła na ziemię, i żadne domysły ani rozważania nigdy nie wrócą jej życia.

Ale widok jej twarzy, ta ziejąca dziura z tyłu głowy... Nie mógł o tym zapomnieć. Chwytał Sarę, przytulił ją do siebie i usiłował uwolnić się od tego obrazu. Zamknął mocno oczy, zagryzł wargę, zacisnął pięści i drżał na całym ciele, by wreszcie stwierdzić, że wstrząs, którego doznał, jest w dużej mierze strachem, panicznym strachem, bo ta zmiażdżona twarz mogła być jego twarzą, bo to on mógł bezwładnie spaść z konia i runąć na ziemię, bo to jemu ból mógł rozsadzić czaszkę. Czuł, jak narasta w nim poczucie winy: Claire nie żyje, a on martwi się o siebie. Myślał o zwłokach, które zostały na dole, a przecież mogły to być jego zwłoki, i przypomniawszy mu się opowieść starego o zgwałconej Indiance. Wyobraził sobie, co tamci robią teraz z Claire, i jego poczucie winy tak się rozrosło, że nie mógł już tego wytrzymać. Nie powinien był jej tam zostawiać. W żadnym wypadku.

Odsunął Sarę od siebie.

– Posłuchaj mnie uważnie. Muszę zejść na dół. Śnieg przestał padać, wiatr ucichł i nie jest już tak zimno. Będziesz tu spokojnie spać. Zaraz rozłożę śpiwór i cię otulę. Konie zostaną tutaj, więc nie będziesz sama. Teraz szybko coś zjemy i zapakuję cię do śpiwora. Potem muszę wrócić na dół.

Nie zadawała żadnych pytań, tylko patrzyła na niego jak przedtem, ze zszarzałą, pozbawioną wyrazu twarzą. Sięgnął do kieszeni. Od chwili, gdy trafili do chaty w górskiej dolinie, pamiętał, żeby zawsze mieć przy sobie choć trochę jedzenia: czekoladę, odrobinę suszonej wołowiny, sól. Jedli w milczeniu. Konie grzebały w śniegu, usiłując dostać się do trawy.

– Nie mamy manierek – powiedział. – Ale nie wolno jeść śniegu. Wyziębia organizm. Jeśli będziesz chciała pić, nie jedz śniegu, tylko poczekaj na mnie, rozumiesz? Nie chcę cię tu zostawiać, ale muszę zejść na dół i nie mogę cię zabrać. Przyrzekam, że wrócę. Będziesz się tu czuła samotna i pewnie zaczniesz się bać, ale spróbuj zasnąć. I zobaczysz, że jak otworzysz oczy, będę przy tobie. Wrócę. Przyrzekam.

Trzymała czekoladowy batonik, patrzyła na niego i ospale kiwała głową. Ułożył śpiwór w śnieżnej niecce pod gałęziami świerku. Tak, jak zapowiedział, wsunął córkę do środka, zaciągnął zamek, pocałował ją na dobranoc i już go nie było.

22

Najpierw myślał, że zejdzie pieszo. Nie chciał, żeby koń niespodziewanie zarżał i zwrócił ich uwagę. Poza tym nocą przedzieranie się przez las bez konia byłoby dużo łatwiejsze. Ale stwierdził, że ma tak straszliwie zziębnięte stopy – ogarnięty paniką, musiał przegalopować dobre kilka kilometrów, zanim spostrzegł, że Sara została z tyłu – że nie da rady tam zejść, a potem wrócić na górę. Zatem wziął klacz i kiedy dojechał na skraj lasu, zapadła już głęboka noc. Myszata kluczyła wśród drzew po swoich wcześniejszych śladach, więc okazało się, że dobrze zrobił.

Ledwo zsiadł z konia. Pod butami zaskrzypiał śnieg. Uwiązał klacz do drzewa i ponad zaśnieżonymi łąkami popatrzył w stronę miasta. Wiatr jeszcze nie przegnał wszystkich chmur, ale miasto było dobrze widoczne. Nad zgliszczami stała jasnopomarańczowa luna, tu i ówdzie strzelały w górę płomienie. W blasku ognia stwierdził, że oprócz kilku płonących budynków i kilku ocalałych szop, miasto zgorzało niemal doszczętnie.

Szedł przez pola po śladach końskich kopyt. Były już ledwo widoczne, rozniesione przez wiatr bądź zasypane świeżym śniegiem, ale wciąż rozpoznawalne. Inny odcień szarości odcinał je od nocnej szarzyzny śniegu, a im bliżej miasta, tym lepiej je widział.

Najpierw szedł wyprostowany. Nie bał się, bo wiedział, że od strony miasta będzie niewidoczny, że jego sylwetka zginie na tle ciemnej ściany lasu. Jednak później zaczął się schylać, nisko, jeszcze niżej, zależnie od intensywności pożaru, którego blask mógł oślepić ewentualne czujki.

Tak, mogli je tu wystawić, ale nie bardzo w to wierzył. Nie spodziewają się, że zechce wrócić. To byłoby bez sensu. A jeśli liczą na to, że ściągnie go tu ciało Claire? Nagle obleciał go strach. Schylił się jeszcze niżej, wreszcie zaczął się czołgać. Miał na rękach grube wełniane rękawice, które rozgrzały mu dłonie i przywróciły czucie w palcach. Teraz musiał jedną zdjąć, wetknąć ją do kieszeni kurtki i wyjąć rewolwer. Naga dłoń przywarła do szczypiącego zimnem metalu.

Pełznąąc, usiłował przypomnieć sobie, gdzie spadła. Wyjechali już z miasta i zmierzali ku środkowej części pola. Nie, nie, chyba nie. Może tylko myślał, że są tak daleko, bo chciał, żeby tak było, bo chciał uciec od tego miasta jak najdalej. Claire spadła po jego lewej ręce, czyli teraz musiał jej szukać po prawej. Pewnie leży kawałek dalej. Tak, będzie musiał zboczyć ze ścieżki wydeptanej końskimi kopytami i przeczołgać się bardziej w prawo.

Blask ognia był coraz intensywniejszy. Usłyszał coś, nie wiadomo co, jakiś szelest po lewej stronie. Zamarł, chwilę nasłuchiwał. Podczołgał się jeszcze kawałek i znowu zastygł w bezruchu. Nic. Może to jakieś zwierzę? Może to królik albo świstak wyszedł z nory? A może mu się zdawało? Ruszył przed siebie przy samej ziemi.

Łuna nad miastem, czy raczej nad tym, co z niego zostało, była już tak blisko, że barwiła śnieg nowym odcieniem. Na tle płonących budynków dostrzegł zarys sylwetki idącego mężczyzny. Włożył rękę do kieszeni, zacisnął pięść, rozgrzał palce i mocniej ujął broń. Rozejrzał się i zaczął pełznąć w prawo, tam, gdzie Claire mogła spaść z konia. Wyobrażał sobie, że wyciągając ramiona, pełznąć po omacku, nie czując, że jej dotyka, natknie się na nią twarzą w twarz. Potrzęsnał głową.

Nie, tu jej nie było. To go nie zaskoczyło. Od początku zakładał, że musi trochę pobłądzić, zanim ją znajdzie. Znowu usłyszał jakiś szelest, tam, z lewej strony, i zastygł w bezruchu. Zdawało mu się, że wytrzymał tak pół godziny, zanim znów ruszył przed siebie, zanim znów zaczął walczyć z mrozem. Nie czuł już zimnego, kłującego bólu, tylko zupełne zdrętwienie. Włożył dłoń do kieszeni i ścisnął ją raz po raz, żeby się szybciej rozgrzała.

Dotarł do następnego miejsca, ale tu też jej nie było. Podeszedł już bardzo blisko do miasta i bał się, że mężczyzna chodzący pośród zgliszcz może go zauważyć. To za blisko, musiała leżeć gdzieś z tyłu... Odwrócił się i ruszył z powrotem, myśląc o Sarze, tak samotnej w ciemnym lesie. Chciał jak najszybciej znaleźć Claire i zanieść jej ciało tam, gdzie będzie mógł je pochować, jakoś, jakkolwiek: pod drewnianymi kłodami, pod stertą kamieni, byleby tylko jej rano nie znaleźli. Ale nie mógł się spieszyć. Żeby ją znaleźć, musiał postępować rozsądnie, bez pośpiechu, musiał sprawdzić każdą możliwość, obejrzeć każdą piędź ziemi, przeczesać cały odcinek pola po tej stronie

końskich tropów. Uniósł głowę, wyteżył wzrok i zaczął pełznąć. Naprzód, przed siebie, coraz dalej.

Za daleko. Był tego pewien. Był pewien, że kiedy padł drugi strzał, wjeżdżali na skraj pola. Musiała leżeć bliżej, tam, skąd dopiero wrócił, bliżej miasta, prawdopodobnie niedaleko miejsca, gdzie się niedawno zatrzymał, i gdyby tylko przeczołgał się jeszcze metr czy dwa, na pewno by ją znalazł. Więc znów zawrócił. Teraz sprawdzał pole metr po metrze, jeszcze dalej na prawo od końskich śladów, i czołgał się w kierunku miasta. Minął miejsce, dokąd dotarł wcześniej, podszedł tak blisko płonących budynków, że tu jej być nie mogło. Ruszył z powrotem. Znów przystawał, nasłuchiwał, znów pełzł i nawet nie wiedział, kiedy zaczął płakać. Nagle poczuł na policzkach łzy, przez chwilę ciepłe, potem lodowate w nocnym chłodzie. Usiłował je otrzeć, ale łzy ciągle płynęły, ciekły wartkim strumyczkiem, zamarzały i wreszcie dał sobie spokój – nie mógł zrobić nic, żeby je powstrzymać. Znaleźli Claire, tak, musieli ją znaleźć. Pomyślał, że Kess chciał pewnie dowodu. Ta Indianka z opowieści starego... Zerwał się, zachwiał i popędził przez odcinek pola, gdzie mogła leżeć Claire. Biegł w stronę lasu, gotów zrobić wszystko, byleby tylko zdusić w sobie upiorne myśli. Płacząc, szlochając, nadział się w końcu na stary pień drzewa i upadł na plecy.

Nie wiedział, czy stracił przytomność. Być może tak. Nie był pewien. Wiedział jedynie, że leży w śniegu, że usiłuje przedmuchać nos, by się nie udusić, że dotyka twarzy i czuje, jak z nosa cieknie mu ciepło-zimna, lepka krew. Tak, szukał po omacku konia, potem spostrzegł, że idzie w złym kierunku, wreszcie go znalazł, odwiązał, chwycił za grzywę, wspiął się na siodło i delikatnie ścisnął mu boki, żeby skłonić go do wspinaczki przez las. Tyle pamiętał.

Znaleźli Claire.

Nie mógł już nic zrobić. Dopiero kiedy powietrze zaczęło szarzeć, zrozumiał, że niebo pojaśniało, że na poszukiwaniach ciała Claire spędził niemal całą noc. Pocieszał się tylko tym, że Sara mocno śpi, osłonięta śpiworem i śniegiem. Machinalnie uwiązał konia do drzewa i zauważył, że gniada klacz, z której spadła Claire, jakimś cudem wróciła. Ją też uwiązał, po czym ostrożnie, by nie obudzić Sary, wsunął się do śpiwora, żeby dogrzać córkę swoim ciałem. Stał z twarzy śnieg i krew i czekając świtu, zapadł w drzemkę.

Część trzecia

1

Czas stracił dla niego jakiegokolwiek znaczenie. Z początku, kiedy tamci trzej podeszli pod dom i zmusili ich do ucieczki w góry, odnotowywał w pamięci każdy dzień. Piątek, dwudziestego czwartego października – pierwszy dzień exodusu. Co do tego nie miał żadnych wątpliwości. W sobotę nocowali przy tym głębokim basenie u stóp skały, z której spływał strumień. W niedzielę Sara zachorowała i tego dnia znaleźli chatę w dolinie. W poniedziałek trafili do miasta. Nie, nie tak. Do miasta zeszli w niedzielę po południu. Na pewno?... Tyle zdarzyło się w tak krótkim czasie. Może dodał jeden dzień, może jeden ujął? Nie mógł z całą pewnością stwierdzić, że Claire zginęła tego to a tego dnia. W poniedziałek? We wtorek? Kto wie, może w środę? A czas niepostrzeżenie uciekał, dni przeradzały się w tygodnie i Bourne zaprzestał wreszcie odtwarzania dat. W końcu zdecydował, że jest wtorek dwudziestego ósmego i przyjął tę datę za punkt odniesienia, lecz mijające dni wprawiły go szybko w takie pomieszenie, że nie wiedział już nawet, jaki jest miesiąc.

2

Zawsze to coś.

Spod okrytego śniegiem zbocza nie przeświecała już ziemia, lecz skała. Konie potykały się o kamienie i kiedy wyjechali z lasu, stok piał się stromo w górę i chyba jedynym plusem tego, że szli coraz wyżej, była narastająca cisza. I mniej tu wiało. Nie wiedział dlaczego. Może ściany żlebu łączyły się gdzieś w górze, tworząc zasłonę od wiatru. Potem stok łagodnie opadł i wyjechali na wąską przełęcz. Wichura ucichła, śnieg nie zacinał i dzięki temu Bourne widział okalające ich ściany, wystające spod śniegu głązy i obnażone pasma skał, z których podmuchy wiatru zerwały śniegową pokrywę. Gdzieś wysoko, hen pod szczytami, słyszał zawodzenie wichru, lecz tu, na dole, było całkiem spokojnie, a tuż przed nimi, po lewej stronie, stała zardzewiała metalowa szopa – ciemna plama na tle śniegu. Ale nie tego teraz szukał. Przypuszczał, że to, czego wypatrywał, znajdzie w skale koło szopy. Dlatego bez przerwy tam zerkał, dlatego tak badawczo oglądał skalne lico. I rzeczywiście. Było. Wejście do tunelu – na wpół ukryty otwór w skale.

Ścisnął piętami boki klaczy i skierował ją w tamtą stronę. Wejście do tunelu ginęło pośród śnieżnych kopców i kamieni. Kamienie nie wyglądały na kamuflaż, już raczej na materiał skalny wysadzony przez górników w tunelu, wyrzucony na zewnątrz i ułożony w coś na kształt wiatrochronu. Skorodowane blaszane ściany szopy świadczyły, że

zbudowano ją później niż miasto i że najprawdopodobniej służyła górnikom za schronienie przed odłamkami skalnymi sypiącymi się z gór w czasie wybuchu. Zobaczył wagonik do przewożenia urobku – leżał przewrócony na skalny kopiec – i uświadomił sobie, że pod śniegiem muszą być tory i podkłady. Zsiadł z konia, dał Sarze cugle gniadej – przesiadł się na nią z półślepej myszatej – kazał jej chwilę zaczekać i ruszył w stronę tunelu. Choć wiedział, że pod śniegiem są tory, natychmiast się o nie potknął. Wszedł między szyny, na niewidoczne podkłady, dotarł do wejścia i dokładnie obejrzał grube drewniane stemple, wzmacniające ściany i sufit korytarza. Szarpnął mocno za najbliższy, gotów błyskawicznie odskoczyć, gdyby drewno puściło i runął sufit. Ale stempel wytrzymał. Bourne odetchnął głęboko i ostrożnie wszedł do środka. Kiedy badał podpory w głębi korytarza, jego kroki odbijały się głuchym echem. Już nie szarpał stempli ze wszystkich sił, ale ciągnął wystarczająco mocno, żeby sprawdzić, czy jeszcze trzymają. Sprawdzał w ten sposób wszystkie po kolei. Powoli, ledwie oddychając, szedł w głąb tunelu, aż wreszcie, jakieś dziesięć metrów od wejścia, gdzie docierało już bardzo słabe światło, natknął się na skalną ścianę, drewniane kłody i odpryski: stare wyrobisko. Zatrzymał się, odwrócił i uważnie rozglądając się po drodze, wyszedł z tunelu.

– W porządku! – zawołał do Sary.

Po ciszy tunelu wyraźnie czuł powiew wiatru. Pomógł Sarze zsiąść z konia, przeprowadził dwie kłaczki przez zasypane śniegiem podkłady i bokiem przy torach – do tunelu, gdzie niebezpieczne podłoże było odsłonięte i gdzie pewniej stawały nogi. Powietrze znów znieruchomiało.

– Tu się zatrzymamy? – zapytała Sara.

Spojrzał na nią. Niewiele mówiła od dnia poprzedzającego śmierć Claire. Jej buzia była pozbawiona wyrazu, ale w głosie usłyszał nutę wątego ożywienia, jakby w Sarze odezwała się słaba nadzieja, że to już wreszcie koniec, że już za chwilę świat stanie się bezpieczny i uładzony.

– Nie – odparł. – Oni przypuszczają, że tak właśnie zrobimy. Z mapy wynika, że to jedyne schronienie w najbliższej okolicy. – Jego głos odbijał się echem od skał. – Ale muszą to sprawdzić, żeby mieć pewność. Liczę na to, że śnieg zasypie ślady i utrudni pogoń. Sądzę, że mamy nad nimi jakieś pół dnia przewagi. To wystarczy.

Nie rozumiała.

– No co? Nie jesteś głodna? Trzeba coś przegryźć. Nie mamy za wiele jedzenia, ale póki jest okazja, urządzimy sobie ucztę.

Po raz pierwszy od długiego czasu załśniły jej oczy. Słabym, przytłumionym blaskiem, ale dobre i to. I twarz nabrała nowego wyrazu, pojawiło się na niej coś na kształt uśmiechu.

Rozluźnił koniom popręgi. Nie chciał ich rozsiodływać, na wypadek gdyby ktoś jednak nadjechał i gdyby trzeba było szybko uciekać. Już odwiązywał śpiwór z siodła srokatej, chcąc nim otulić Sarę, ale nagle wpadł na lepszy pomysł.

– Mam dla ciebie zadanie – powiedział.

Nie chciał, żeby zabrzmiało to jak rozkaz, ale tak wyszło. Lecz myśl, że będzie mogła coś zrobić, wcale Sary nie zniechęciła, przeciwnie – rozbudziła w niej zainteresowanie.

– Jakie?

– Na końcu tunelu jest stare wyrobisko. Musisz być bardzo ostrożna. Pójdiesz tam i przyniesiesz trochę drewna, tylko nie odrywaj nic od ściany. Na ziemi leży wystarczająco dużo kawałków, w samym wyrobisku nic nie musisz ruszać. Jeżeli czegoś tam dotkniesz, może na ciebie runąć cały tunel.

W jej oczach zauważył niechęć.

– Nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Jeśli nie dotkniesz ściany, nic ci się nie stanie.

Spojrzała na niego bez przekonania, skinęła wolno głową i niechętnie odwróciła się w kierunku grotu. Bourne przywiązał wodze klaczy do podkładów między torami i wyszedł z tunelu.

3

Najpierw szopa. Ale mijając ją znalazł to, czego szukał: zardzewiały kawał blachy, oparty o ścianę szopy i do połowy zasypany śniegiem. Miał jakieś pół metra na pół. Dokładnie to, o co mu chodziło. Podniósł go z trudem, bo niełatwo jest utrzymać cienki metal w grubych wełnianych rękawicach, i obszedł szopę, żeby sprawdzić, czy da się otworzyć drzwi.

Były zamknięte na kłódkę. Nie chciał jej rozbijać, żeby nie zostawić wyraźnych śladów. Nawet przy tak słabym wietrze śnieg był dobrym kamuflażem i przy odrobinie szczęścia, zanim tamci tu dotrą, ślady mogą zniknąć na dobre. Mrugając – od wyteżania wzroku na wietrze do oczu napływały mu łzy – obszedł całą szopę. Nie miała okien. Ale w jednym rogu arkusze blachy, przybite do drewnianego słupa, wyraźnie odstawały. Szarpnął za jeden z nich, oderwał i zrobił szparę, przez którą mógł się przecisnąć. Wślizgując się do środka, rozdarł na gwoździu rękaw kurtki.

Komórka miała jakieś półtora na dwa i pół metra. Przez szczelinę, którą wszedł, wpadało dość światła, by coś zobaczyć. Przy ścianie stał roboczy stół, zupełnie pusty. W rogu zauważył na wskroś przerdzewiały silnik. Nie wiedział jaki, ani do czego służył. W drugim rogu jakieś rupiecie. Pod stołem też, jeszcze więcej.

Najwyraźniej przeprowadzano tu drobne naprawy albo przechowywano sprzęt. Górnicy z tunelu musieli spać w chatkach czy namiotach w lesie i wyjechali stąd, jak tylko wyeksploatowali żyłę.

Bał się, że gwóźdź rozdarł rękaw na wylot, że kurtka nie będzie już trzymać ciepła, i chciał jak najprędzej to sprawdzić. Na szczęście dziura nie była głęboka, rozdarcie uległa tylko wierzchnia warstwa wełny. Od razu poczuł się lepiej i kucnął, żeby obejrzeć rupiecie w rogu. Zardzewiałe puszki z dawno wypłowiałymi nalepkami, puste butelki po alkoholu, jakieś tryby i koła, głowica młotka bez trzonka. Podniósł ją, schował do kieszeni i grzebał głębiej. Na samym dole odkrył gniazdo polnych myszy, uwite z wyschniętych na wiór traw. Nic nie wskazywało na to, żeby mysz tu wróciła, tego czy nawet poprzedniego roku. Pośród drobnych gałązek i żółkłej trawy znalazł kawałeczki szarego futerka. Ułożył wszystko tak, jak znalazł.

Rupieciarnia pod stołem nie okazała się ciekawsza. Leżały tam części jakichś maszyn, jeszcze więcej puszek, butelek i para spękanych, wysokich skórzanych butów z odkrytymi palcami. Jediną interesującą rzeczą, jaką tam znalazł, był garnek rzucony pod samą ścianę. Stary garnek z przerdzewiałą na wylot dziurą. Wziął go i ułożył wszystko tak, jak było. Zabrał też blachę, którą znalazł na dworze, i prześlizgnął się przez szparę między słupem a blaszaną obudową komórki – tym razem uważniej, żeby nie zahaczyć kurtką o wystający gwóźdź.

Gdy wchodził do tunelu, Sara układała na ziemi narecze drewna i już się wybierała po następne.

– Po co to? – zapytała, wskazując kawał blachy.

– To będzie nasz kominek.

Chciał, żeby zabrzmiało to zabawnie, lecz nie wyszło. Nie włamywał się do blaszanej komórki, bo nie chciał zostawić widocznych śladów, tym bardziej nie mógł sobie pozwolić na rozpalenie ogniska, na okopczenie ścian tunelu czy nadpalenie podkładów. Musieli stąd odjechać i zostawić to miejsce w takim stanie, w jakim je zastali.

– Zobacz – powiedział, kładąc blachę na skale między szyną torów a ścianą. – Zrobimy tu ognisko, a na koniec zagrzebiemy popiół w śniegu. Nigdy nie odkryją, że coś tu gotowaliśmy, więc będą myśleć, że jesteśmy słabi i może przestaną nas tak gonić. Podaj mi kilka drewnienek. Ja zajmę się ogniem, a ty przyniesiesz śpiwór. Siądziemy sobie na czymś miękkim.

Schylił się i łamał suche drewno na małe szczapki, potem ustawił z nich nieduży stosik, zostawiając na dole dziurę na przepływ powietrza.

Teraz zapalki, pomyślał i wyjął pudełko z kieszeni. Nosił je zawsze przy sobie, podobnie jak sól. Na zapalki zwracał szczególną uwagę. Zapalił jedną, włożył do dziury

w drewnianym stosie i czekał, aż drewno zajmie się ogniem. Nic z tego, nie zajęło się. Słyszał oddech Sary, stojącej tuż przy nim. Zapalił drugą zapałkę, potem trzecią. Przy trzeciej spod stosu wypełznął słabutki płomyk. Liznął koniec cienkiej szczapki, spopielił go, skoczył wyżej, liznął drugi patyczek, wreszcie strzelił nieśmiało w górę. Konie szarpnęły wodzami, chcąc odejść jak najdalej od ognia. Bourne odsunął blachę i dorzucił więcej drewna.

– Nie można za dużo podkładać – tłumaczył Sarze. – Tylko kilka szczapek naraz, i to nie za dużych. W końcu nie chcemy tu gotować stu dań, chcemy tylko co nieco podgrzać, prawda?

Szczapki trzaskały, w tunelu unosiła się ledwie widoczna szarobiała mgiełka. Ognisko wydzielало słaby śwąd.

– Latem jest tu wilgotno. Drewno na pewno zaczęło gnić. Teraz, kiedy wilgoć się wypala, czuć zapach zgnilizny.

Obserwował smugę dymu. Dryfowała najpierw w głąb korytarza, potem unosiła się wyżej, zmieniała kierunek i ulatywała na zewnątrz.

– Dobra nasza – powiedział. Zdjął rękawice i rozcierał dłonie nad ogniem. – Dobra nasza. Chodź, przysuń się bliżej ogniska. Zaraz przygotuję kolację.

W plecaku, który zabrał z hotelu, miał trzy puszk. Podniósł je wysoko i zapytał:

– Co jemy?

Odparła, że wszystko jedno.

– Hmm, wybierz którąś.

– Zupę fasolową z boczkiem.

– Świetnie.

Wyciągnął nóż, głowicę młotka i usiadł obok Sary.

– Przytrzymaj puszkę, tylko uważaj, żeby cię nie skaleczył.

Wbił czubek noża w płaską pokrywkę puszk i uniósł namiastkę młotka. Uderzył, ostrze przebiło metal. Obejrzał czubek noża, a potem szybkimi uderzeniami młotka wyciął wieczko i otworzył konserwę. Znów sprawdził nóż, ustawił puszkę na rogu blachy, na tyle blisko ognia, żeby zupa się podgrzała, lecz nie wykypiała. Dorzucił jeszcze jedną szczapkę, wziął garnek, który zabrał z komórki, oczyścił go nożem i odwrócił do góry dnem, żeby wysypać zeskrobaną rdzę.

– No cóż, jest dziurawy i nie bardzo higieniczny, ale jest – skonstatował i wstał, żeby wyjść na dwór i przynieść w nim trochę śniegu.

Wiatr się nasilił i Bourne z prawdziwą przyjemnością wrócił do ogniska. Oparł garnek bokiem o skałę, tak żeby woda z topniejącego śniegu zbierała się w jego dobrej części, z dala od dziury w dnie.

– To wylejemy i uznamy, że naczynie jest wysterylizowane, co?

Druga porcja wody była ciepła i chrzęściła w zębach, zostawiając w ustach smak miedziaków. Ale nareszcie miał wodę. Odczekał chwilę, żeby sprawdzić, czy go czasem nie zemdli, i dopiero wtedy podał garnek Sarze. Upiła łyk, skrzywiła się, ale bez słowa wypiła do dna.

– A teraz trochę soli. – Był tak odwodniony, że gdy wylizywał z dłoni garść soli, nie czuł nawet jej smaku.

Musieli nałożyć rękawice, żeby utrzymać puszkę w rękach i ją sobie podawać. Dmuchi w zupę i pociągali ją małymi łydkami, bo raz upił za dużo i oparzył sobie podniebienie. Ale sos był gęsty, a dzięki fasoli mieli co gryźć. No i jeszcze te kawałeczki boczku: brązowawoczerwone, pływające na wierzchu... Skończyli jeść, nim na dobre zaczęli.

– Dalej jestem głodna – stwierdziła Sara.

– Ja też – przyznał, wiedząc, że powinni oszczędzać jedzenie. Ale miał to w nosie. – Którą teraz? Pomidorową czy z zielonego groszku?

– Nie cierpię pomidorowej.

– Jasne, tak samo jak groszkowej.

– Chyba pomidorową.

– Mnie wszystko jedno.

Sara trzymała puszkę, a Bourne przesuwiał nóż wokół wieczka i walił w trzonek głowicą młotka.

4

Po jedzeniu poczuli się jak nowo narodzeni. I kiedy wynosił na dwór blachę ze spalonym drewnem, czuł, że umysł ma jaśniejszy, a ciało bardziej sprężyste. Zanim daleko od tunelu znalazł zaspę odpowiednią na ukrycie szczątków ogniska, wiatr porwał kilka węgielków. Wiało teraz z innej strony – dmuchało w górę żlebu, nie w poprzek, jak wcześniej – dzięki czemu śnieg szybciej zasypywał ślady. I kiedy Bourne sprawdził, że konie nie zostawiły po drodze odchodów, kiedy zaniósł resztę drewna na wyrobisko, kiedy je tam rozrzucił, stwarzając pozory, że nikt tam nic nie ruszał, nabrał przekonania, że ścigający ich ludzie mocno się nabiedzą, chcąc stwierdzić, czy są na właściwym tropie. Dopiął popręgi, odwiązał wodze od podkładów między szynami, wyprowadził klacze na dwór i pomógł Sarze wsiąść na sroką. Sam dosiadł gniadej. Skręcili w lewo, minęli blaszaną szopę, dojechali do końca przełęczy i żlebem po przeciwnej stronie stoku ruszyli w dół. Wiatr wiał im w plecy.

Zaśnieżone kamienie uciekały spod końskich nóg, prawie niewidoczne na tle ziemi, żółtawej trawy i świerkowych igieł. Minęli jedno drzewo, drugie, przejechali obok dwóch zasypanych śniegiem chat o zawalonych dachach – uznał, że to stare domki górników – i znów znaleźli się w lesie. Tu pokrywa śniegu była grubsza, sięgała koniom niemal do kolan. Postanowił skręcić w prawo i zamiast na wprost, schodzić po zboczu ukosem. Chciał jechać górą jak najdłużej, bo tu śnieg był płytszy, a skalna ściana za plecami chroniła ich od wiatru. Wkrótce jazda stała się monotonna, dobre samopoczucie, z jakim wyruszyli po sutym obiedzie, też niebawem zniknęło i bardzo szybko poczuli się tak, jak kilka godzin wcześniej. Bourne miał wrażenie, że na mrozie, śniegu i lodowatym wietrze drętwieje mu nie tylko ciało, ale i mózg. Znaleźli tunel, zjedli. Było, minęło. Teraz nie miał przed sobą konkretnego celu i nagle stwierdził, że pochłania go rytm kroków gniadej: raz, dwa, trzy, cztery. I znowu: raz, dwa, trzy cztery. I znowu... Otulił się kurtką przed zimnem i zacisnął pięści.

Jechali tak całe popołudnie. Zapadł zmierzch, poszarzało, lecz Bourne nie umiał powiedzieć dlaczego. Słońce już zaszło? A może to przez tę cienką warstwę burych chmur, które z każdą chwilą pęczniały i zasnuwały całe niebo? Naraz spostrzegł, że las wokół gęstnieje i że pole widzenia znacznie się zawęża. Było coraz mroczniej, a oni musieli gdzieś spędzić noc. Nie miał wielkiego wyboru. Mógł zdecydować się na małe zagłębienie między świerkami albo na miejsce, gdzie splątane konary martwych, powalonych drzew tworzyły rodzaj szałas. Jedno warte drugiego: obie kryjówki były równie kiepskie. Ale dalej jechać nie mogli, nie mogli ryzykować, bo gdyby widoczność spadła do zera, nie mieliby żadnej alternatywy. Podjął zatem arbitralną decyzję, że zanocują między powalonymi drzewami, które padając, utworzyły na ziemi literę „V”. Zsiedli z koni w miejscu, gdzie pnie się ze sobą stykały. Uwiązał klacze, rozsiedział, dla osłony przed wiatrem ułożył siodła pod drzewami przy końcach rozchodzących się pni, w zamkniętym trójkącie obozowiska ubił śnieg, rozwinął derki, na derkach położył śpiwór i pomógł Sarze wślizgnąć się do środka. Potem wziął sznur, odprowadził konie nieco dalej od śpiwora, przywiązał je do pni obok siodła – chciał, żeby miały trochę przestrzeni, żeby wygrzebały spod śniegu choć trochę trawy – ale nadal trzymał je w pobliżu obozowiska, z nadzieją, że osłonią ich od wiatru.

Ale i tak niewiele spał tej nocy. Wślizgnął się obok Sary, zaciągnął zamek do końca, nad sobą i pod sobą czuł miękką wyściółkę śpiwora, a pod nią twardsze derki i śnieg. Zewsząd ciągnął chłód, więc przytulił się do córki, objął ją i ogrzewał ciałem. Dziwnie się czuł, wciskając ciężkie, grube i zeszywniałe od śniegu buty w podszewkę śpiwora; ilekroć któreś z nich się ruszyło, grube podeszwy butów Sary napierały na jego kolana. Ale nie, nie mogli ryzykować, nie mogli sobie pozwolić na zdjęcie butów w obawie, że

na tym mrozie nigdy by już ich nie nałożyli. Postanowił je tylko rozluźnić, żeby krew lepiej krążyła i żeby stopy nieco odpoczęły. Ale to wszystko. Wiatr to się nasilał, to cichł, noc gęstniała. Skulili się głębiej w śpiworze, chowając głowy przed zimnem. Na krawędzi podszewki skraplała się para z ich oddechów. Dusił się w dławiącej wilgoci, wreszcie wystawił głowę na zewnątrz, ale mróz zaszczypał go w nos, ściał śluz i musiał natychmiast schować głowę w ciepłe fałdy śpiwora.

Zbudziły go wilki. Najpierw kilka, potem całe stado. Miał wrażenie, że wyją tuż nad nim. Potem wycie odpląnęło gdzieś w dal i domyślił się, że to pewnie wiatr przywiał ich głosy. Konie dreptały nerwowo. Chwilę rozważał, czy nie wyjść i nie uwiązać ich mocniej, ale zrobił chyba wszystko, co się dało, a przecież nie mógł czuć przy nich całą noc.

– Co to? – spytała Sara.

– Wiatr.

– Nie wiatr, to drugie. Co to jest?

– Wilki, ale są daleko. Nie ma się czym przejmować.

Wyjął jednak broń i do rana trzymał ją obok siebie. Zapadał w płytką drzemkę, budził się nerwowo, słuchał niespokojnego parskania koni, znowu zasypiał. Kiedy ocknął się na dobre, spostrzegł, że nocą śnieg zasypał siodła i śpiwór. Czuł na sobie jego ciężar na długo przedtem, zanim odkrył, co to jest, i zanim wymotał głowę ze śpiwora, by ujrzeć na sobie kilkucentymetrową warstwę puchu. Podniósł kolana, żeby strącić śnieg, zbudził Sarę, przeczołgał się nad siodłami, wpełzając w ostre, mroźne powietrze szarego poranka. Słońca wciąż nie było. Choć wszystko tonęło w szarówce, mrużył oczy, rozglądając się uważnie, by stwierdzić, czy śnieg na śpiworze nie oznacza, że w nocy przeszła nad nimi kolejna burza, ale nie zauważył większych zasp, więc doszedł do wniosku, że to tylko wiatr przedmuchał śnieg z miejsca na miejsce. Potem odwrócił się, by zerknąć na konie, i odkrył, że srokata zniknęła. Nie wiedział kiedy ani jak. Gruba gałąź, do której ją uwiązał, była cała, i dawał głowę, że węzeł zaciśnięty na powrozie nie mógł puścić. Ale nie widział ani konia, ani sznura. W końcu zobaczył miejsce, gdzie srokata odłamała drobniejszą gałąź, która sterczała w górę i zabezpieczała powróż przed ześlizgnięciem się z grubego konaru. Trudno. Klacz uciekła, a wiatr tak zasypał ślady, że Bourne nie wiedział, gdzie jej szukać. Zresztą wilki i tak już ją dawno dopadły.

I nagle, wpatrując się w las, dostrzegł jakiś ruch pod nisko wiszącymi gałęziami sosny. Spomiędzy zasy i pnia wyczołgiwał się wilk. Już w niego wycelował, kiedy w wilku rozpoznał psa starego. Niewiele brakowało, a i tak by go zastrzelił. Powstrzymała go tylko myśl, że jeśli ludzie Kessa są niedaleko, usłyszą strzał.

– Mój koń uciekł.

– I mamy towarzystwo – odparł, wyciągając przed siebie rękę. – Trzymaj się od niego z daleka. Pomóż mi. Zwiń śpiwór.

Gdy Sara zwijała śpiwór, on narzucał obie derki na klacz. Potem zakopał jedno siodło w śniegu, drugie zarzucił na grzbiet gniadej i zapiął popręg. W odróżnieniu od minionego wieczoru, powietrze było całkiem nieruchome. Pies trzymał się jakieś pięćdziesiąt metrów dalej i obserwował ich bacznie. Prawie nie oddychał, nie mrugał, nie drgnął mu żaden mięsień. Po prostu stał pod sosną i czekał. Bourne zwinął sznur, którym uwiązał gniadą, przytroczył go do siodła, a juki ze srokatej zamocował z tyłu, na jukach gniadej. Przywiązał do nich śpiwór, podsadził Sarę, usiadł za nią i ruszyli. Przed snem nic nie jedli, bo doszedł do wniosku, że zupy, którymi posilili się w kopalni, wystarczą na cały dzień. Teraz wyciągnął z kieszeni suszoną wołowinę, zaoszczędzoną z posiłku ze starym w mieście, dał trochę mięsa Sarze, trochę wziął sobie. Mięso było zimne i łamliwe. Trwało chwilę, nim rozmiękło w ustach. Odwrócił głowę i patrzył, jak pies wychodzi spod gałęzi, jak zapada się w śnieg aż po brzuch, jak skacze, znowu grzęźnie, aż wreszcie, jak dobrnąwszy do szlaku wydeptanego przez konia, wolno podąża za nimi.

5

Trzymał się ciągle w tej samej odległości. Bourne odwrócił się raz – pies zniknął. Odwrócił się drugi raz – pies znów szedł za nimi.

– Dlaczego stajemy? – spytała Sara.

Pies także przystanął. Usiadł i wyprostował przednie łapy.

Bourne trącił gniadą kolanami. Pies wstał i ruszył za nimi. Zmusił konia do szybszej jazdy; pies dotrzymał im kroku. Przestraszony, że koń opadnie z sił, zwolnił. Pies też zwolnił, ale wciąż szedł za nimi.

Po jakimś czasie wiatr się wzmógł i dmuchał z prawej strony, sypiąc w nich śniegiem raz z przodu, raz z tyłu. Ale kłęby białego puchu wirowały najwyżej metr nad ziemią, tak że w górze widział zielone gałęzie sosen, a w dole nie widział nic. Zerknął przez ramię – pies przepadł. Wyobraził sobie, że skryte w tumanach śniegu zwierzę wyrwa ostro do przodu, skacze na nich, i z ręką na kaburze rewolweru, popędził trochę konia. Ale kiedy wiatr nieco przycichł, psa za nimi nie było.

Później zobaczył go znowu.

I tak szli. Pies to pojawiał się, to znikał, ale ilekroć się pojawiał, widzieli go zawsze w tej samej odległości. Tę noc musieli spędzić w kotłince między drzewami, w jedynym w miarę przyzwoitym miejscu, jakie po drodze wypatrzył. Teraz już nie mógł sobie pozwolić na sen. Leżał tylko w śpiworze obok Sary i trzymał dłoń na kolbie rewolweru.

Uwiązał gniadą, kilkakrotnie oplótł powrozem drzewo, drugim końcem sznura obwiązał sobie przegub dłoni na wypadek, gdyby nocą działo się coś złego.

Chyba zasnął, ale nie wiedział kiedy. I nagle wstał dzień. Koń był na swoim miejscu, pies, zachowując wciąż tę samą odległość, siedział pod drzewem. Osiodłał gniadą i ruszyli w drogę. Pies za nimi. Tego dnia wiatr zaczął wiać dużo wcześniej i miótł nie tylko śniegiem z ziemi, ale przywiał też płatki z nieba. Najpierw były duże i padały rzadko, potem nieco mniejsze, za to sypały bez przerwy, a po południu rozpętała się prawdziwa śnieżycą. Który to już dzień? Trzeci? Chyba tak, choć nie był pewien. Koń nie jadł od trzech. Szedł coraz wolniej, z coraz większym trudem stawiał nogi, raz opadł na kolana i Bourne'owi ledwie udało się go dźwignąć. Nie było szans, żeby wytrzymał.

I właśnie wtedy pies podszedł bliżej.

A może wcześniej? W końcu śnieg znacznie ograniczał widoczność, a bestia cały czas trzymała się z tyłu. Musiała podchodzić stopniowo, żeby nie tracić ich z oczu.

Nagle wszystko stało się białe. Dał silny wiatr, śnieg padał już tak gęsto, że niebo, powietrze, ziemia przybrały ten sam kolor spranej szarości, że bez przerwy wpadali na drzewa, niewidoczne z odległości pół metra. Ich twarze oblepiała lodowa skorupa, koń ledwie przebierał nogami. Świat z każdej strony wyglądał dokładnie tak samo i równie dobrze mogli stać nad niewidoczną w zamieci przepaścią. I kiedy gniada upadła, Bourne wiedział, że to już koniec. Klacz obsuwała się coraz niżej i niżej, wlokła ich za sobą, ciągnęła, spadli, Bourne przyciskał do siebie Sarę, chcąc ją uchronić przed zmiążdzeniem. Kiedy się wreszcie zatrzymali, nadal ścisnął w rękę końskie wodze, lecz klaczy nie widział, choć musiała leżeć gdzieś niedaleko. Ledwo wstał; śnieg sięgał mu do pasa. Szarpiąc rzemienie, próbował poderwać klacz na nogi, krzyczał, ale wiatr dławiał go i wtłaczał słowa z powrotem do ust.

Wreszcie koń wstał, lecz natychmiast upadł i stoczył się jeszcze niżej. Bourne stracił z oczu Sarę. W oślepiającym śniegu wyciągał do niej ramiona, szukał po omacku, wreszcie chwycił ją i pociągnął w zagłębienie wygniecione w śniegu przez gniadą. Wyczerpany, upadł na ziemię. Na krótką chwilę przypomniał sobie o psie, a potem nagle stwierdził, że wiatr ucichł.

Nie ucichł, tak mu się tylko zdawało. Leżeli w czymś w rodzaju okopu, osłonięci zewsząd śniegiem, a nad nimi szalała zamieć. I wiedział, że choćby to miał być ostatni pomysł w jego życiu, to jednak musi spróbować. Zaklął, zmusił się do działania i zaczął walczyć ze śniegiem.

– Kop!

– Ale moje ręce!

– Kop, do cholery!

Wygrzebywał śnieg zakrzywionymi jak szpony palcami, zagarniał go ramionami, kopiąc dziurę w ścianie zasy. Chwycił Sarę za dłonie i pokazał jej, co ma robić. „Kop!” – powtarzał bez końca – „kop”, i wciskał ręce coraz dalej, coraz głębiej, a im głębiej kopali, tym mniej wiało. Wreszcie nora była już na tyle duża, że mógł wpełznąć w nią Sarę i pracować dalej. Kopał, wygarniał, w końcu wpełznął do śnieżnej jamy. Miała z metr szerokości, niecałe dwa metry długości i z trudem się w niej mieścili; leżeli na boku, mocno przytuleni. Ale wiatr zelżał, znów dało się oddychać i chociaż śnieg ciągle sypał, to przecież zawsze mogli go później odkopać.

Wyczołgał się i poszedł szukać konia.

Nie mógł go znaleźć. Wreszcie znalazł. Klacz leżała niemal całkowicie zasypana śniegiem. Ledwie oddychała. Zadrżała pod dotykiem. Wiedział, że zdechnie, i jakoś nie mógł znieść myśli, że gniada może gdzieś odejść, że już nigdy jej nie odnajdzie. Zsunął rękawicę i zaczął wyciągać rewolwer. W osłepiającym śniegu nie widział jej głowy. Musiał przesunąć ręką po końskiej szyi, aż wreszcie wyczuł masywny łuk dolnej szczęki. Przystawił jej lufę tuż za uszami, odwiódł kurek i pociągnął za spust. Koń szarpnął się, potracił Bourne'a i obalił go w śnieg. Sara krzyknęła przenikliwie. Chciał na tym poprzestać, ale nie mógł znieść myśli, że koń jeszcze żyje, że cierpi, więc wstał, odnalazł głowę klaczy i strzelił po raz drugi. Zamieć stłumiła huk. Ciało konia drgnęło, ale tym razem tylko pod wpływem uderzenia kuli. Bourne'owi ulżyło.

Sara siedziała raptem kilka kroków za nim, a mimo to, kiedy odpiął popręg i zdjął siodło z konia, z trudem do niej trafił.

– Zastrzelełeś gniadą.

– Musiałem. Cierpiała.

Tak, i jeszcze coś. Nie wiedział, jak to przyjmie, ale musiał być wobec niej uczciwy.

– Zjemy ją. Dzięki niej jakoś przeżyjemy.

Powiększył jamę i schował w niej siodło. Zerknął na Sarę. Miał wrażenie, że pomysł zjedzenia konia nie wywołał w niej żadnych emocji. Może kiedyś go zjedzą, kiedyś, nie teraz, więc oparła się plecami o niską ścianę jamy i obronnym gestem zaplotła przed sobą ramiona.

Jeszcze raz wyszedł na śnieg. Ściągnął derki z gniadej, wrócił do nory, rozścielił na śniegu oba koce, potem przykryli się z Sarą śpiworem i ułożył głowę na siodle.

I jeszcze coś. Jak zawsze.

– Zrób sobie z juków poduszkę i zjedz trochę suszonej wołowiny.

Zostały ostatnie dwa kawałki: jeden dla niej, drugi dla niego. Skubali je w ciszy; ssał twarde mięso, póki nie zmiękło w ustach na tyle, by mógł je żuć.

Nie wiedział, kiedy zasnął, ale obudził go stęchły zaduch nieświeżego powietrza. Zorientował się, że wejście do grotty jest zasypane. Napał na śnieg, żeby je odsłonić, i wystawił głowę na zewnątrz. Ciemność, gwizdzący wiatr. Natychmiast się cofnął. Wiedział już, że jest noc i śnieg wciąż pada. Zaczerpnął kilka haustów czystego powietrza i zawrócił w głąb rozgrzanej oddechami jamy. Od strony Sary nie dobiegał go najmniejszy szmer. Dotknął jej, po czym uspokojony, że mała oddycha, opadł na posłanie i wsunął się pod śpiwór, miło ogrzany ciepłem ciała. Tej nocy śnieg jeszcze raz zablokował wejście. Bourne otworzył oczy i wypełził spod śpiwora, żeby go odwalić, ale tym razem, kiedy przebił się na zewnątrz, śnieg oślepił go inaczej. Burza minęła, wstał dzień, bezchmurne niebo było błękitne, a promienie słońca tak ostro odbijały się od grubej puchowej pierzyny, że po panujących w norze ciemnościach musiał szybko zmrużyć powieki i schować głowę do środka.

Podpełznął do Sary.

– Wstawaj. Już rano.

Nie drgnęła.

– Wstawaj, wstawaj.

Nadal się nie ruszała. Nagle ogarnęło go przerażenie. Chwycił ją pod pachy i co chwila trącając ją niespokojnie, dowlókł do wyjścia. Patrzył, jak na świeżym, ostrym powietrzu rozchylają się listki jej nozdrzy, jak trzepoczą powieki. Pewnie podtruła się zaduchem w jamie. Albo była aż tak wyczerpana. Wszystko jedno. Musiał ją dobudzić. Poklepał Sarę po twarzy, uniósł palcami powiekę. Odepchnęła jego rękę.

– Wiem – powiedział. – Razi w oczy. Ale tym się nie przejmuj. Teraz musimy wlać w ciebie trochę wody. Damy sobie radę. Rozumiesz, co mówię?

Rozumiała, lekko skinęła głową, ale czuł, że mu nie wierzy.

– Naprawdę. Posłuchaj uważnie. Dopóki mamy wodę, nic nam nie grozi. Jest takie prawo. Ktoś to kiedyś wyliczył na użytek tych, co gubią się w górach. Bez wody można przetrwać mniej więcej trzy dni, za to bez jedzenia aż trzy tygodnie! Po takim czasie człowiek się, rzecz jasna, zmienia, bardzo chudnie, ale przecież żyje. Żyje tyle czasu! A my wodę mamy. Bardzo dużo wody. Spójrz, ile tu śniegu! Jak Bóg na niebie, tego nam nie zabraknie! I mamy jeszcze koninę. Przeżyjemy, słyszysz? Przeżyjemy.

Znowu skinęła głową, tym razem z większym przekonaniem. Nabrała ręką śniegu i podniosła do ust. Musiał ją powstrzymać.

– Nie, nie to miałem na myśli. Mówiłem ci, ogrzewając śnieg w ustach, tracimy za dużo ciepła. Musimy zająć się jamą. Poszerzymy ją, podeprzemy, wymyślimy, jak ją

ogrzać i zrobimy sobie taki duży dom. I rozpalimy w nim ognisko.

To na nią podziałało. Na myśl o ognisku ożywiła się i kiedy odpoczęła, kiedy sam odpoczął i upewnił się, że nic jej nie jest, wrócili do jamy.

Wydłubał w niej kopulaste sklepienie, żeby sufit się nie zawalił. Zeskrobał ze ścian więcej śniegu, poszerzył ją, a tymczasem Sara – jak ją pouczył – wypychała śnieg na zewnątrz i po obu stronach wejścia formowała wały wiatrochronu. Teraz już się nie bał, że ich tu dopadną. Po takiej zamieci ani człowiek, ani nawet zwierzę długo w górach nie wytrzyma, daleko nie zajdzie. Poza tym sądził, że ludzie Kessa uznali, że oboje zginęli w czasie burzy.

Bo teoretycznie powinni byli zginąć. To niemal cud, że przeżyli. Ale teraz wszystko będzie dobrze, powtarzał sobie w duchu, trzeba tylko zdrowo popracować. Bał się myśleć, jak długo trwa zima w górach, ile jeszcze śniegu spadnie, ile mięsa zdoła wykroić z gniadej po tym, przez co przeszła.

Skoncentrował się na poszerzaniu jamy. Modelował ściany i sklepienie, zastanawiając się, czy dobrze zrobił. Może trzeba było od razu rozpalić ognisko, stopić trochę śniegu i napoić Sarę? Ale doszedł do wniosku, że postąpił prawidłowo. Przecież nie wiedział, kiedy nadejdzie kolejna burza, a w końcu bardziej potrzebowali schronienia niż ognia. Tak, wszystko albo nic.

Wyczołgał się z grotu i dobrnął do sztywnej od mrozu klaczy. Wszystko albo nic. Uznał, że skoro koń leży tuż obok, najpierw zadba o mięso.

Tylko nie wiedział, jak się do tego zabrać. Podziobał skórę czubkiem noża, ledwie ją rozcinając. Zobaczył, że jedna noga sterczy w górę niczym uschnięty konar, i to podsunęło mu pewien pomysł. Zebrał się w sobie, wstał i skoczył na sztywną nogę gniadej, chcąc ją złamać. Dopiero przy czwartej próbie usłyszał suchy trzask i na skórze okrywającej kolano ujrzał niewielkie pęknięcie. Usiadł i cierpliwie ciął skórę nożem. Martwił się, czy nóż to wytrzyma, czy się zupełnie nie stępi. Po co najmniej godzinie skoczył na nogę jeszcze raz i wreszcie jej dolna część odpadła. Kiedy ją podniósł, miał wrażenie, że trzyma w ręku łom, bo kopyto i podkowa nabrały dziwnie nienaturalnych rozmiarów.

– Masz. Zanieś do środka – powiedział Sarze.

Nie chciała jej nawet tknąć.

– Weź! Muszę poszukać drewna.

Znajdowali się w zagłębieniu otoczonym sosnami. Warstwa śniegu na ziemi była tak gruba, tak ciężko było się przez nią przedrzeć, że choć najbliższe drzewo rosło zaledwie pięć metrów od nory, wydawało mu się, że pokonał co najmniej sto. W butach, w nogawkach spodni i pod kurtką miał pełno śniegu. Zgięty wpół, próbował go przed

sobą ubijać, żeby dać stopom pewniejsze oparcie, ale plan zawiódł. Zawiodło wszystko.

O Boże, będę musiał się przekopywać...

Ale nie miał już sił.

Mimo to postanowił dotrzeć tam za wszelką cenę i kołysząc się to w przód, to w tył, ubijając grząski śnieg, poczuł, że zahaczył o coś kurtką. Szybko rozkopał zasną i zobaczył sterczący czubek gałęzi.

Nie, to nie czubek, to poszarpany i odłamany konar. Kopiając dalej, odsłonił wielki pień powalonego drzewa.

Leżał tam cały czas, zaledwie metr od niego. Bourne objął go mocno i podciągnął się w przód, wydźwigując ze śniegu dolną część ciała. Stał na pniu i teraz mógł już dosięgnąć najniższej gałęzi.

Ale wszystkie były pokryte zielonymi igłami, a przecież musiał dotrzeć do konarów przy samym pniu, żeby oberwać te uschnięte, większe i te zupełnie małe. No i jeszcze suche igły, do rozpalenia ogniska potrzebował suchych igieł. Wychylił się jak najdalej do przodu, chwycił najgrubszą gałąź, jakiej mógł dosięgnąć, i zacisnąwszy palce, mocno ją rozhuścił. Tak bardzo przecenił swoje siły, że mało brakowało, a rozluźniłby uchwyt. Desperacko walczył, by wytrzymać, i przesuwając dłonie wzdłuż gałęzi, podciągał się przez śnieg w stronę miejsca, gdzie zaspy nie były już tak głębokie. Wreszcie dotarł do innych konarów i opuścił się w dół. Tutaj śnieg sięgał mu tylko do ud. Bourne zaczął obrywać drobne gałązki, suche miotełki igieł i utykać je po kieszeniach. Oberwał też solidną gałąź, z którą walczył, rzucając na szalę wszystkie siły. Od tej dużej odchodziły mniejsze, obrośnięte suchymi igłami, i takie zupełnie malutkie. Starczyłoby tego na spore ognisko, ale że nie chciał chodzić po opał częściej niż to niezbędne, obszedł pień sosny i znalazł więcej dobrych gałęzi. Potem wspiał się nań, niewysoko, i uskubał jeszcze kilka gałązek, ale nie miał siły wejść ani centymetra wyżej, a kiedy stwierdził, że czepia się kurczowo pnia, że z coraz większym trudem łapie oddech, doszedł do wniosku, że nic już nie zwojuje. Ześlizgnął się w dół, omal nie upadł, pozbierał gałązki i rzucał je po jednej w stronę wejścia do śniegowej nory. Mniejsze doleciały bez trudu – Sara stała przy jamie, obserwowała go i zbierała gałązki na kupkę – ale te większe, szersze, z krótkimi odnogami sterczącymi po bokach, jakby płynęły w powietrzu i opadały gdzieś w połowie drogi. Musiał czołgać się po nie i rzucać jeszcze raz. Potem dotarł do pnia ukrytego pod śniegiem, stanął na nim, ostrożnie doszedł do wgłębienia, które wygniótł ciałem, i znów zmagał się z zaspami. Wreszcie wrócił do Sary. Zdążyła już wybierać większość gałązek. Czuł w głowie tak straszny zamęt, był tak potwornie zmęczony, tak paliło go w gardle, że usiadł przy wejściu do jamy i sphywając potem, dyszał niczym wyjęta z wody ryba. Patrzył na Sarę, która odłamywała drobniejsze gałązki od większych,

układała je w stertę i pod dyktando nosiła do jamy. Po jakimś czasie odzyskała siły na tyle, by wstać. Później zaczął skakać na grubsze konary i je łamać.

Kiedy skończyli pracę, słońce chyliło się już ku zachodowi i powietrze było dużo mroźniejsze. Pot zamarzał mu na plecach, wywołując dreszcze. Ale mieli to już za sobą i z ulgą wpełzli do śnieżnej groty, gdzie Bourne zajął się układaniem stosiku ogniska. Myślał o ciepłe i zapachu jedzenia.

Zawsze jest coś do zrobienia, upominał się w duchu. Zawsze. Nigdy nie można powiedzieć: „To już wszystko”. Bo jak tylko ułożył kawałek blachy, na nim kupkę zeschniętych sosnowych igieł i drobnutkich gałązek, jak tylko nakrył to kilkoma kawałkami w miarę cienkiego drewna, uświadomił sobie, że nie zrobił dymnika. Nie to, żeby spodziewał się wielkich kłębow dymu, ale ten, który powstanie, wystarczy, by zaczęli się dusić. Musiał coś wymyślić.

Najpierw chciał przebić sklepienie dwiema prostymi gałęziami. Wbił je blisko siebie, zamierzając wydłubać spomiędzy nich śnieg, tak żeby powstała w ten sposób dziura utworzyła w dachu rodzaj komina. Ale niestety, połamane gałęzie były za krótkie, a nie miał już sił na wyprawę po nowe. Poza tym bał się, że sklepienie nie wytrzyma.

Musiał wynaleźć inny sposób.

Pomyśleć tylko, że cały czas na to patrzył! Drzewo wspierające tylną ścianę zasy! Podczołgał się do stosu drewna, chwycił grubszą gałąź i zaczął wygrzebywać nią dziurkę w górnej części ściany, tuż przy drzewie. Gałąź miała metr długości; kiedy zagłębił ją w śniegu, podpełznął bliżej, przewrócił się na plecy, patrząc w górę, wyciągnął ramię i zaczął kopać. Śnieg spadał mu na twarz, zmuszał do nieustannego ocierania oczu i mrugania.

I nagle, nim zdążył o tym na dobre pomyśleć, przebił się na wylot. Przez dziurę wpadło przefiltrowane przez gałęzie światło i zobaczył nad sobą zielonoszare sosnowe igły.

Cofnął się do ogniska, przytknął zapalną do suchych igieł i obserwował, jak płoną. Płonęły szybko. Zbyt szybko, bo drobne gałązki ledwie zajmowały się ogniem.

Ale w końcu zajęły się i delikatne płomyczki harcowały już po grubszych patykach. Po chwili ognisko rozpalilo się na dobre. Gdyby tak jeszcze wydłubany w ścianie komin zadziałał... Patrzył na smużkę szarego dymu, która pięła się pod kopułę sklepienia i tam rozchodziła na boki. Dym miał słodki zapach sosnowej żywicy, zaschniętej na powierzchni drewna, i zbierał się pod dachem zbyt wolno, żeby Bourne mógł zobaczyć, czy ulatuje kominem. Dorzucił do ogniska więcej drobnych gałązek i drewienek, a potem, lekko spięty, dołożył dwa większe kawałki. Ale po chwili płonęły całkiem nieźle i już wiedział, że ogień nie zgaśnie. Jeszcze trochę, a będzie mógł podłożyć

grubsze gałązki, co zwolni go od nieustannego pilnowania ogniska.

Słodki czy nie, dym drapał w gardle. Bourne zaczął kaszleć. Sara też. Dopiero teraz zauważył, że otwór dymnika leży poniżej sklepienia nory, dlatego dym snuł im się nad głowami, zanim uleciał na zewnątrz. Czuł, że ze zmęczenia i głodu kręci mu się w głowie. Zbyt długo myślał, co zrobić, nim wpadł na oczywiste rozwiązanie. Wziął kawałek drewna i wydrapał w śniegu kanał od szczytu kopulastego sklepienia do dymnika. Od tej chwili dym ulatywał na dwór bez przeszkód, a oni mieli czyste powietrze. Kiedy dokładał do ognia, zauważył dodatkową korzyść płynącą z faktu, że znaleźli schronienie pod drzewem. Jeśli ludzie Kessa nadal ich szukają, dymu snującego się między konarami sosny tak łatwo nie zauważą.

Nie, nie mógł o tym myśleć.

– Jak się czujesz? – zapytał Sarę.

– Dobrze – odparła, ale dobrze nie wyglądała. Rozgrzewała dłonie nad ogniem. Miała bladą twarz i wstrząsały nią dreszcze. Wiedział, że choroba i wysiłek ostatnich kilku dni musiały ją bardzo osłabić.

– Zjesz i od razu będzie lepiej. – Podpełznął do juków i wyjął puszkę groszku, ciesząc się, że ją przezornie zachował. Żałował, że nie ma już zup, które zjedli wcześniej. Sara przytrzymała konserwę, on tymczasem zrobił w wieczku dwie dziury. Metal szybko ustąpił, ale nóż utknął w zmrożonej zawartości puszkę. Żeby wyciągnąć ostrze i otworzyć puszkę do końca, musiał przystawić konserwę do ognia i roztopić zamrożony groszek.

Końską nogę ułożył koło ogniska, żeby ją rozmrozić, ale uważał, bo nie chciał spalić skóry. Po chwili, kiedy zawartość puszkę stała się półpłynna, zdjął wieczko i dodał szczyptę soli. Obracał końską nogę przy ogniu, sprawdzając palcem, na ile zmiękła. Groszek zabulgotał, uniosła się para, w jamie zapachniało. Odsunął konserwę od ogniska, żeby ją ochłodzić, i z dwóch kawałków drewna zrobił płaskie łyżki. Zanurzali je w puszcze, wyławiali okrągłe ziarenka, i z trudem utrzymując groszek na prymitywnych czerpakach, dmuchali nań, by wreszcie nachylić się i zacząć jeść. łyżki nie były wygodne. Właściwie tylko przeszkadzały w jedzeniu, ale dzięki nim mogli się czymś zająć, kiedy czekali, aż płyn w puszcze ostygnie na tyle, żeby można go było wypić. Zresztą nie chciał, by jedli zbyt łapczywie.

– Jedz powoli – powiedział Sarze. – Nie dlatego, że chcę zachować groszek na dłużej, choć to nie byłoby takie głupie, ale tak dawno nie mieliśmy nic w ustach, że jeśli porządnie go nie przeżujemy, nie utrzymamy nic w żołądku. Żuj, dopóki nie poczujesz, że jest zupełnie płynny. Połknij troszkę i odczekaj chwilę.

Sprawdził, jak wygląda skóra na końskiej nodze. Zmiękła już na tyle, że dawała się ciąć nożem. Rozciął ją od stawu kolanowego do kopyta i zaczął odciągać od mięśni,

a raczej od tego, co z nich zostało. Doszedł do miejsca, w którym była jeszcze zamarznęta, i przysunął ją bliżej ognia.

– Myślę, że wywar z groszku nadaje się już do picia. Ty pierwsza. – Patrzył, jak Sara upija łyk płynu, jak opłukuje nim usta i w końcu przelyka. – Tak jest, bardzo dobrze. Po co się spieszyć. Mamy tyle czasu, ile dusza zapragnie.

Noga wreszcie zmiękła i mógł z niej zdjąć skórę. Rozłożył ją przy ognisku, wewnętrzną stroną do góry.

– Napij się jeszcze – zachęcił Sarę.

Potem sam przytknął usta do puszeki.

7

Jedli do późna w noc. Czuł, jak wywar z groszku rozgrzewa mu żołądek. Jama ogrzała się przyjemnie i nie czuł już przenikliwego ziąbu. Rozpiął kurtkę, wytrzepał śnieg, który się pod nią zebrał, rozluźnił buty, sięgnął do mankietów spodni, żeby i stamtąd usunąć śnieg. Zjadł kilka ziaren groszku, dołożył drewna do ognia, wyciągnął dwie puste puszeki po zupach, które zjedli w kopalni, napełnił je śniegiem i postawił przy ognisku. Znów zjadł kilka zielonych ziarenek i popił wywarem. Z końskiej nogi wykroił kilka cienkich pasków mięsa, właściwie mięśnia, i ułożył je blisko ognia. Potem wypił parę łyków wody z roztopionego śniegu, dał trochę Sarze, zjadł odrobinę soli i oparłszy głowę o siodło, rozciągnął się na derkach; Sara ułożyła głowę w jego nogach i w ten sposób sprawiedliwie dzielili się ciepłem z ogniska. Rozpiął śpiwór, nagrzał go nad ogniem, a potem otulił nim Sarę i siebie. Niebawem zasnął.

Gdy się ocknął, Sara spała, a ogień zgasł. Jakiś czas trwało, zanim rozpalil drugie ognisko. Zbudził córkę, dał jej resztkę groszkowego wywaru, zmusił do zjedzenia soli. Zasnęła niemal natychmiast. Wejście do jamy zionęło czarną pustką. Znów zapadł w drzemkę, ale przedtem wykroił z końskiej nogi trochę mięsa. Później to drzemał, to się budził, niespokojny, że ogień zgaśnie.

Dzień wstał ciepły, bezchmurny. Słońce paliło tak mocno, że nadtopiło górną warstwę śniegu. Bał się, że wierzchnia część zasy zmięknie i sklepienie jamy spadnie im na głowę. Ale w żaden sposób nie mógł temu zaradzić. Skorzystał z ładnej pogody, by dostać się do następnego drzewa i nanieść więcej gałęzi.

Upiekł Sarze i sobie po kawałku mięsa; nabił je na koniec patyka i trzymał nad ogniem. Patrzył, jak mięso kurczy się, ocieka tłuszczem, ciemnieje, pachnie ni to jagnięciem, ni królikiem, to znów przypomina dziczyznę. Cały ranek przeżuwali upieczone kawałki, wysysając z mięsa sok, rozmiękczając je zębami i obracając

w ustach. Odgryzali małe cząstki, przeżuwali je na miazgę, w końcu połykali.

Gdzieś koło południa dostali biegunki. Nie dlatego, że mięso było zepsute. Na pewno było dobre, nie miał najmniejszych wątpliwości. I nie dlatego też, że ich żołądki nie nawykły do trawienia koniny; gotowi byli zjeść naprawdę wszystko. Nie. Biegunka wzięła się stąd, że od dawna nie jedli stałego pokarmu; wygłodzone żołądki nie przyjmowały jedzenia. Ich ekskrementy były upstrzone drobinami nie strawionego groszku, którego organizm też nie przyjął, choć żuli go niezwykle starannie. Raz bał się nawet, że nie zdąży dojść do drzewa, pod którym urządzili sobie latrynę. Musiał mieć pewien nadmiar soli w organizmie, bo czuł wyraźne rozluźnienie kiszek; paliły go żywym ogniem. Czasem wydalął z siebie tylko płyn zmacony kłębiastą wydzieliną – sól działała jak środek przeczyszczający.

Oslabieni, siedzieli przed wejściem do nory i trzymali się za brzuchy. Nie miał ochoty najedzenie, ale wiedział, że muszą jeść. Niewiele, chociaż trochę, tyle, by odbudować nadszarpnięte siły. Więc jak tylko poczuł się nieco lepiej, wpęzł do jamy i zaczął piec następne porcje koniny. Nagle zmienił zdanie i dał Sarze kawałek mięsa, żeby go sama upiekła. Sprawdził, czy dobrze to zrobiła, i zajął się skubaniem swojego. Do wieczora skurcze brzucha ustąpiły. Wypili trochę wody z roztopionego śniegu – tylko kilka łyków – żeby zapobiec odwodnieniu.

Nocą przyszedł silny mróz, więc mocno skuleni, spędzili ją blisko ognia. Rano stwierdził, że nadtopiony śnieg zamienił się w lód, śliski, ale twardy, i odkrył, że może bez trudu doczołgać się do najbliższego drzewa po opał.

8

Przeprowadzali właśnie eksperyment z grubą gałęzią sosny, gęsto oblepioną zielonymi igłami – chcieli sprawdzić, czy da się na niej zjeżdżać jak na sankach – gdy usłyszeli śmigłowiec. Gładka, śliska warstwa śniegu natchnęła go myślą o zabawie. Kiedy zjedli kolejną porcję pieczonego mięsa, wziął mocny konar i wyciął nim w lodzie coś w rodzaju schodów wiodących w górę niecki, aż pod sosnę na szczycie. Uwiesili się na jednej z gałęzi, wisieli tak długo, póki nie pękła, oderwali ją od pnia i usiedli na rozłożystej poduszce z igieł. Kiedy Sara objęła go w pasie, skierował odłamany koniec gałęzi w dół zbocza, uniósł go w górę niczym ster i oderwał nogi od śniegu. Śmignęli w dół, w pędzie mijając sosny. Zimne powietrze smagało go po twarzy, obok migły uciekające drzewa. Zjechali na samo dno niecki, siła rozpędu wypchnęła ich aż do połowy przeciwległego zbocza. Odwrócili gałąź i ruszyli z powrotem.

Siedzieli i śmiali się do rozpuku. Co prawda nie chciał, żeby po ataku biegunki tracili nadwątlone siły, ale Sara prosiła o jeszcze jeden raz, więc wspięli się po schodkach,

a kiedy zjeżdżając w dół, byli w połowie górkę, poprzez szum wiatru i chrobotanie igieł po lodzie usłyszał wyraźny terkot śmigłowca. Nagiął koniec gałęzi w bok i skęcili w stronę najbliższej sosny. Zsunął się z gałęzi, chciał natychmiast wciągnąć Sarę pod drzewo, ale ona też usłyszała śmigłowca i dobrze wiedziała, co robić.

Leżeli płasko na brzuchu i zerkali w górę, między gałęzie, tam, skąd dochodził warkot śmigłowca. Nie widział go. Równie dobrze mógł nadlecieć z lewej, jak i z prawej strony, z tyłu i z przodu. Mogły być nawet dwa. Tak, już za chwilę piloci doleczą nad nieckę z jamą w zaspie i wypatrzą ich ślady.

Nie, był tylko jeden. Teraz go zobaczył. Na dole, na końcu doliny. Nadlatywał z lewej strony – maleńki błyszczący punkcik. Skręcił w lewo. Warkot silnika dotarł do nich z kilkusekundowym opóźnieniem, kiedy śmigłowca zniknął już z pola widzenia. Znow się pokazał – teraz leciał w prawo – potem znow zniknął, i znow wrócił. Bourne wiedział, o co chodzi. Przypuszczali, że zrobił to, co w gruncie rzeczy chciał zrobić: że poszedł po linii najmniejszego oporu i zjechał w dolinę, by nie przecinać zbocza. Sądzi, że się tam zatrzymał i zamiast iść w górę, został w dolinie i wędrował wzdłuż działu wodnego. Zakładali, że mógł przeżyć burzę, odczekali więc trochę, by zdążył wykopać się spod śniegu i zostawił ślady. Dali mu czas, chcieli, by nabrał pewności siebie i myślał, że przestali go ścigać. Liczyli na jego błędy.

I popełnił je, naturalnie, choć akurat ślady wokół zasy do nich nie należały; powstały z konieczności, lecz cóż, rezultat był ten sam. Z chwilą, gdy śmigłowca znajdzie się na wysokości jamy, załoga musi zauważyć ślady, jakie zostawił, ściągając drewno na opał. Z początku nie będą pewni.

Mogą nawet pomyśleć, że to jakieś większe zwierzęta – na przykład jelenie czy łosie – nie zeszyły jeszcze z gór i cudem przeżyły zawieruchę. Będą przypuszczać, że to ich tropy, ale na pewno wszystko sprawdzą. A kiedy już podleczą bliżej, nie będzie miał żadnych szans: on miał tylko rewolwer, tamci dobre strzelby. Obserwował śmigłowca. Maszyna wznosiła się coraz wyżej i wyżej, była coraz bliżej, ogromniała w oczach, widział już kopulastą kabinę i śmigło na ogonie. Ale teraz widział ją coraz krócej, bo im wyżej leciała, tym bardziej zaostrzał się kąt patrzenia. Lecz z każdą chwilą była coraz bliżej, stawała się coraz wyraźniejsza. Odbite od łopat wirnika słońce raziło go w oczy, ryk silnika ogłuszał, mógł już nawet dostrzec zarys dwóch postaci w kabinie i wciąż powtarzał sobie: „Przecież można coś jeszcze zrobić, na pewno! Leżeć beczynnienie i czekać?! Na pewno można coś zrobić!”

Ale nic nie wymyślił. Bo jak miał ukryć te głębokie ślady? Śnieg przecież zamarznął. A nawet gdyby był puszysty, narobiłby nowych, próbując ukryć stare. Spojrzał na zamarznęty zewłok, na doskonale widoczną ścieżkę, którą wykopał w śniegu, żeby się

dostać do mięsa. Musieli być ślepi, żeby tego nie zauważyć. I choć mógłby odłupać trochę śniegu i nakryć nim konia, nie miał już na to czasu. Śmigłowiec patrolował zbocze raptem sto metrów od nich; ryk silnika nie wlokł się kilka sekund za nim, lecz płynął równoległe z maszyną, Bourne wyciągnął rewolwer i poczuł, jak Sara tężeje. Spojrzał w stronę śmigłowca, wymierzył na próbę, zastanawiając się, jak blisko może go dopuścić, by trafić kogoś w kabinie. Nie chciał tego robić. Nie chciał zdradzać swojej pozycji ani tego, że jeszcze żyje. Ale nic innego mu nie pozostało. Faceci w śmigłowcu na pewno dostrzegą ślady; jedyną szansą był niespodziewany atak.

Nagle uświadomił sobie, że gdyby nawet cudem udało mu się zestrzelić śmigłowiec, byłby to oczywisty znak, że wciąż ukrywa się w górach. Jeśli helikopter nie wróci, ci, którzy go ścigają, wyślą następny, a nie wiedział, jak mógłby ukryć szczątki pierwszego. Gałęzie sprawy nie załatwią, bo wielki stos w środku lasu na pewno przyciągnie uwagę następnej ekipy. Nie mówiąc już o drzewach zniszczonych przez spadającą maszynę. Nie chciał, żeby go znaleźli, więc atak nie miał najmniejszego sensu. Obrona – tak. Dlatego czekał. Maszyna zbliżyła się znowu, potem jak zwykle zniknęła. Bourne czekał, ale nie wróciła.

W pierwszej chwili pomyślał, że to złudzenie, że oczy płatają mu figla.

Złudzenie i pełne napięcia oczekiwanie, które sprawia, że czas rozciąga się w nieskończoność.

Ale śmigłowiec nie wrócił. Z lewej strony słyszał warkot silnika, ale nie, ryk ani się nie wzmagał, ani nie cichł – utrzymywał się na tym samym poziomie, jakby ludzie w kabinie bacznie coś obserwowali. A potem warkot motoru przybrał na sile i zbliżył się w jego stronę. No to koniec, pomyślał i odbezpieczył rewolwer. Śmigłowiec skręcił w prawo.

Ale nie wzdłuż zbocza, tylko tam, skąd nadleciał, w kierunku doliny i działu wodnego. Nie mógł tego pojąć, lecz kiedy nagle ciemność zakryła słońce, zrozumiał, o co chodzi.

Wyczołgał się spod sosny i spojrzał w niebo, za siebie. Tak, przecież od dawna czuł, że wiatr przybiera na sile: z lewej strony nadciągały najczarniejsze, najgrubsze chmury, jakie kiedykolwiek widział. Miały wzdęte, kipiące brzuchy, pochłonęły już jedną trzecią błękitu nad doliną i pędziły przed siebie, by zakryć resztę. Temperatura raptownie spadła, wiatr wzmógł się, śnieg zaczął padać w chwili, kiedy Bourne chwycił Sarę za rękę i ściągnął ją po zboczu do niecki w poblizkiej jamy. Burza rozszalała się tak nagle, tak gwałtownie, że musieli mrużyć oczy, by odnaleźć tunel.

Bez tchu, na czworakach, uciekli do ciepłego zacisza nory. Na dworze szalał wicher, mióttł śniegiem w wejście przytuliska i Bourne musiał przesunąć siodło, żeby je zatkać. Nakrył siodło derką i uszczelnił szpary. Poczul się bezpiecznie.

– To tylko burza – powiedział Sarze.

Lecz nie oszukał ani jej, ani siebie. W życiu czegoś podobnego nie widział. Śnieg nie sypał, a walił głucho o ziemię, jakby chmury wypluwały z siebie jakiś ciężki ładunek. A skoro już na samym wstępie szalał taki wiatr, to co będzie potem, kiedy burza rozkręci się na dobre? Wicher wył i zawodził, uderzał z mocą w siodło, chcąc wedrzeć się do środka.

– Tatusiu, boję się.

Ja też, pomyślał.

– Wszystko będzie dobrze. Wierz mi, nie ma się czego bać.

Przyciągnął ją do siebie i przytulił. Obserwował derkę podrywaną ostrymi podmuchami wiatru i siodło, które skakało pod nią jak żywe. I słuchał w skupieniu przenikliwego, nie słabnącego krzyku wichury.

Nagle wszystko ucichło, derka przestała łopotać, siodło znieruchomiało.

– Śnieg zasypał wejście – powiedział, zanim się zastanowił.

W niskiej norze jego głos zabrzmiał głucho i płasko. Sara na chwilę odetchnęła, rozluźniła się w jego ramionach, szczęśliwa, że coś odgradza ją od rozszalałej burzy. Ale zaraz znów zeszywniała i popatrzyła na niego.

– Nie będzie czym oddychać.

– Będzie, będzie. Jest jeszcze dymnik. Gałęzie sosny ugną się pod śniegiem i osłonią go przed zasypaniem.

Ale dymnik ma za mały otwór, myślał. Za wąski, żeby zimne powietrze mogło wejść do środka i wymienić nagrzane. Obserwował płomień, który już drgał i przygasał, i wiedział, że mogą mieć tylko jedno – albo powietrze, albo ciepło. Coś za coś. Chwytał kawałek grubej gałęzi i podczołgał się do ściany, za którą stało drzewo. Zaczął wygrzebywać śnieg z drugiej strony pnia, na wysokości dymnika. Wpełził tuż pod ścianę, najgłębiej jak się dało, i wykopywał nowy otwór. Śnieg spadał mu na twarz. Wreszcie się przebił. Przynajmniej tak sądził. Na dworze było już całkiem ciemno i nowy otwór nie zmienił oświetlenia jaskini. Bourne poczul jednak powiew wiatru na policzkach i zerknąwszy na ogień dostrzegł, że płonie odrobinę jaśniej. Po chwili blask ogniska rozjaśnił wnętrze nory. Czul dopływ zimnego powietrza, łatwiej oddychał. To dlatego się przedtem dusił. Nie ze strachu, a z braku tlenu.

Odetchnął z ulgą i wrócił do Sary.

– Widzisz? Wszystko będzie dobrze.

Jasne. Tylko, że jeśli burza zrzuci na ich zaspę odpowiednio dużo śniegu, jego ciężar może zawalić dach. W życiu się stąd nie wygrzebią. Uduszą się, zginą.

Odpędził złe myśli. Znów trudniej mu było oddychać.

– Musimy to spokojnie przeczekać.

Rozważał, czy warstwa lodu na górze wytrzyma dodatkowy ciężar.

– Musi.

– Co mówisz? – spytała Sara.

– Nic. Zróbmy sobie coś do jedzenia.

W każdym razie mięsa mieli w bród. Poprzedniego dnia, kiedy było ciepło, a im jeszcze nie dokuczała biegunka, odłamał pozostałe nogi konia, obrał je ze skóry, pokroił mięso w paski i wepchnął głęboko pod ściany jaskini, żeby się nie zepsuło. Nie mógł sięgnąć spodniej części tułowia, ale z wierzchniej zdjął skórę i wykroił mięso. Sarze kazał zbierać drewno. Tak więc przynajmniej o jedzenie i opał nie musieli się martwić.

Zdawało mu się, że z góry dobiegł go jakiś trzask. Zerknął na sklepienie, szukając pęknięć w śniegu, ale nic nie zobaczył. Nie chciał straszyć Sary, więc dał jej następny pasek mięsa, żeby zajęła się pieczeniem. Sam też nadział kawałek koniny na patyk i trzymał go nad ogniem. Ich żołądki przyzwyczyły się już do mięsa i mogli teraz jeść szybciej, więc po chwili piekli następne porcje. Ocierał tłuszcz z warg i długo czuł w ustach charakterystyczny ostry posmak.

Bolały go oczy. Najpierw pomyślał, że to przez ten wiatr, ale potem zrozumiał, że jaskrawe promienie słońca odbite od śniegu podrażniły mu wzrok, i żeby zająć czymś ręce, zaczął robić z końskiej skóry coś, co przypominało opaskę na oczy. Na końcach opaski wykroił po dwa cienkie rzemienie, które mógł zawiązywać z tyłu głowy, następnie wyciął dwie cienkie szparki i uznał, że gogle są gotowe. Podobną opaskę sporządził dla Sary. Co jakiś czas w trakcie roboty przymierzał okrawaną skórę do jej głowy i żartował, mówiąc coś o wąsach i bandytach. Często rozważał, czy nie ściąć nożem wąsów i brody, ale doszedł do wniosku, że zarost chroni go przed wiatrem. Myśląc o tym, przyjrzał się Sarze. Buzię miała wyszczypaną wichrem, skóra schodziła z niej płatami. Wyrzucał sobie w duchu, że był na tyle głupi, by przed wyjściem na dwór nie posmarować jej twarzy końskim tłuszczem.

Następnym razem.

I wtedy dach jamy znów zatrzeszczał.

Sara też to usłyszała. Nie musiała pytać. Spojrzała tylko na ojca.

– Nie wiem – przyznał. – Niewykluczone, że puści. Ale nie mogę się tym martwić,

bo nie jestem w stanie temu zaradzić.

W grocie robiło się duszno od ich oddechów, dymu i zapachu pieczonej koniny. Na zmianę podpełzali do wywietrznika i wciągali po kilka haustów świeżego powietrza. Bourne pilnował, żeby ogień nie zgasł, niepokojąc się, że ciepło ogniska może rozmiękczyć ściany. Poczul głód i upiekł trochę mięsa. Zasypiał, budził się i znowu zapadał w drzemkę. Wyglądało na to, że burza nie ma końca.

10

– Nie znałem go. Zostały tylko jakieś fotografie, amatorskie zdjęcia, które zachowała matka. Ale nie widziałem zdjęć ślubnych ani żadnych innych, na których byli razem. Nie wiem, czy je zniszczyła, czy gdzieś schowała, żeby ich nigdy nie oglądać. Ale te trzymała w specjalnym albumie i czasem mi go przynosiła, żebym sobie pooglądał. Przypuszczam, że nie chciała, żeby fotografie ich dwojga plątały się gdzieś na wierzchu i ciągle ją raniły, ale mimo to uznała, że powinienem wiedzieć, jak wyglądał mój ojciec. Dlatego co jakiś czas przynosiła mi te zdjęcia, chwilę na nie patrzyła, a potem odchodziła do swoich zajęć. Wszystkie były podobne. Ojciec przy klombie koło domu, przy krzaku róż czy gdzieś na tle skalnego ogródka. Kiedyś spytałem matkę, czy po ślubie tam właśnie mieszkali. Powiedziała, że nie, że po ślubie wprowadzili się do zwykłego mieszkania, a ten dom należał do ich znajomych z New Jersey. Stał niedaleko szkoły lotniczej, gdzie uczył ojciec. Na zdjęciach zawsze był w mundurze, w nieskazitelnie eleganckich spodniach i w marynarce z idealnie zaprasowanymi rękawami. Na marynarce i czapce były insygnia lotnicze. Był niewysoki, dość drobny. Moje włosy są ciemne, on miał jasne, zupełnie jak ty, i młodzieńczy wyraz twarzy. Gładkie policzki, owalna twarz. Sądzę, że mógł mieć wtedy jakieś dwadzieścia osiem lat, mama nigdy nic nie mówiła. Zaraz potem zginął na wojnie.

– Tatusiu?

– Tak, kochanie?

– Ja nie chcę umierać.

– Ja też nie – odparł, złoścąc się w duchu, że pozwolił, by opowieść zeszła na ten temat. Chciał zająć Sarę innymi sprawami, a tymczasem przypomniał jej o śmierci. – I właśnie dlatego nie umrzemy.

Ale burza nie cichła. Mimo grubych śniegowych ścian i dachu, wciąż słyszeli histeryczne zawrodozenie wiatru. Niewiele mogli tu robić. Jedli, pilnowali, żeby ogień nie zgasł, spali. I tak bez końca. Nie wiedział, czy jest noc czy dzień; cyferki na zegarku straciły znaczenie. Równie dobrze mogło być południe, jak północ. Spali dwie godziny

czy może czternaście? A od ilu dni szaleje burza? Dobę? Pięć dób? Jak to sprawdzić? Opowiadał Sarze wszystko, co pamiętał. O tym, jak była mała i omal nie straciła palców na rozbitej szybie, o błaznach, którzy straszili ją w snach, i o tym, jak uwielbiała przyglądać się pracującym wywrotkom. Później poczuł, że głowę ma coraz cięższą, i nie mógł już nic opowiadać. Siedział przy ognisku i patrzył w płomienie. Wreszcie i tego nie był już w stanie robić, więc głównie spał.

11

Burza musiała się skończyć, zanim to sobie uświadomił. W jaskini panowała cisza, a on – siłą przyzwyczajenia – jeszcze jakiś czas słyszał stłumione wycie wiatru: stały akompaniament ostatnich dni. Nawet gdy podpełzł do wywietrznika przy drzewie i przez dziurę w śniegu zobaczył światło, z początku w ogóle nie zrozumiał, co to znaczy. Po prostu leżał tam, oddychał i tylko mrugał oczami. Wreszcie coś do niego dotarło.

– Już po burzy.

Powiedział to cichym, słabym głosem; nie był w stanie się ruszyć.

– Słyszałaś?

Ledwie kiwnęła głową.

– To chodźmy.

Ale nawet nie drgnęli.

Co się z nami dzieje?

Powietrze. Powietrze jest już tak fatalne, że prawie umieramy.

Wszystko, co mógł zrobić, to podczołgać się do tunelu, odepchnąć nakryte derką siodło i raz grzebnąć w śniegu.

Chryste, nie mam sił, żeby stąd wyjść. Umrzemy tu.

Z najwyższym trudem podniósł rękę, by grzebnąć jeszcze raz, i wyczerpany, z trudem łapiąc oddech, opadł na ziemię. I nagle nie mógł już tego znieść, tego więzienia, tych grubych ścian, które go dusiły. Ręce zaczęły pracować niezależnie od jego woli. Przyglądał się im zafascynowany. Postanowił im pomóc.

Na zewnątrz czekał pies. Bourne nie rozumiał, jak to się stało, że pies przeżył burzę, ale jakimś cudem przeżył, nie zginął. Wystawił nad zaspę łeb i kark, wypełznął spod gałęzi sosny – tym razem już tylko dwadzieścia metrów dalej, nie pięćdziesiąt – otrząsał się i wbił w niego ślepią. Ale Bourne, uradowany, że wreszcie ma przed sobą wolną przestrzeń i tyle świeżego powietrza, w ogóle na niego nie zważał. Leżał na lodowatym, nawianym przez wichur śniegu, pompował w siebie powietrze i mrużył oczy. I nagle pomyślał o Sarze. Wczołgał się do nory i wywlókł córkę na zewnątrz. Siedzieli przed

śniegową jamą i oddychali głęboko.

Potem znów zwrócił uwagę na psa. Nie to, żeby się go bał, ale zwierzę było potencjalnym źródłem mięsa. I nagle przestał się bać, że ktoś usłyszy strzał. Wyciągnął rewolwer, wycelował, lecz pies odwrócił się, dał nura w zaspę i zniknął wśród gałęzi. Później, kiedy Bourne odzyskał już siły na tyle, by przedrzeć się przez śnieg i podejść pod sosnę, zobaczył tam wygrzebaną w zaspie norę i ślady na głębokim śniegu, które pies wygniótł brzuchem, uciekając spod muszki rewolweru. Szlak ciągnął się między drzewami, w dół zbocza. W pierwszym odruchu chciał ruszyć w pościg, ale nie mógł zostawić Sary. Poza tym wiedział, że pies i tak wróci.

Ale zawsze wracał nocą i nawet gdy się na niego zasadzał, pies zawsze mu umykał. Rano Bourne wypełzał z jamy i oglądał miejsce, gdzie zwierzę wygrzebało kość albo z której strony usiłowało – ciągle bez powodzenia – uskubać coś ze zlodowaciałej końskiej padliny.

Kiedy urządzał żmudne, męczące wyprawy po opał – odchodził coraz dalej od jamy, bo w najbliższej okolicy zebrał już wszystkie suche gałęzie – cały czas miał wrażenie, że pies jest gdzieś w pobliżu, że go obserwuje. I jeszcze coś. Sara. Kilka dni w śnieżnym zamknięciu musiało być dla niej przedsmakiem tego, co ją czeka, i dziecięcy umysł nie chciał podtrzymywać jej przy życiu. Bo co tu robić? Tak mu powiedziała, a on zrozumiał, w czym rzecz. Stawali na głowie, żeby tylko ocaleć, lecz wszystkie dni były do siebie podobne i Sara traciła zainteresowanie. Wymyślał dla niej zabawy, żarciki, zagadki. Śpiewał z nią, wynajdywał jej różne zajęcia. Co z tego? Pewnego dnia zauważyła, że jedzenie się kończy. Zjedli już wszystkie paski mięsa, które wykroił z konia, a potem chwycił tak silny mróz, że nie był w stanie odkroić więcej. Patrzył na padlinę, widział miejsce, gdzie nadgryzł ją pies, i nie mógł pogodzić się z myślą, że już nie potrafi odciąć następnej porcji i zanieść jej do jamy na pieczyste. Jedzenie leżało w zasięgu ręki, a im groziła śmierć z głodu.

Cały dzień trwało, nim znalazł rozwiązanie. Skoro nie mógł przynieść mięsa do ognia, to może zanieś ogień do mięsa? Wziął metalową podkładkę z ogniskiem – przez wełniane rękawiczki, bo parzyła mu dłonie – wyszedł na dwór, ułożył ją na końskim boku i podsycił ogień, żeby blacha przypiekła mięso pod spodem. Później wziął kij i przesunął ją dalej, by upiec następną porcję. Konina upiekła się tylko z wierzchu, na grubość zaledwie dwóch palców, i była mocno nadpalona, ale ważne, że znalazł jakiś sposób. Upiekł jeszcze jeden kawałek, odczekał, aż ogień przygaśnie, i przeniósł do jamy ognisko wraz z mięsem. Sara jadła chętnie, ale z biegiem czasu jej radość topniała, bo z każdym dniem mięsa ubywało; w końcu i tak nigdy nie było go za wiele. Wkrótce objedli bok padliny do samych kości. Widzieli, w których miejscach pies nadgryzał je

nocą. Pewnego ranka zobaczyli jego ślady obok siodła i okazało się, że kiedy spali, pies ukradł im ostatnie kawałki koniny. Którejś nocy Sara zaczęła kaszleć.

Koniec nastąpił zaraz potem. Ataki kaszlu stawały się coraz silniejsze i dłuższe. Sara coraz mniej piła, za to coraz więcej spała. Odrąbał lód wokół konia, którego szkielet przymarzył na dobre do śniegu, i wyteżając wszystkie siły, uniósł końskie ścierwo. Pokazał Sarze, że mają jeszcze mnóstwo jedzenia, ale nie miała nawet sił na nie spojrzeć. Chciała tylko wrócić do śpiwora, bliżej ognia. Robił wszystko, co tylko mógł, żeby ją uratować. Pod siodło i derki podesał napęczniałą igłami gałąź – dodatkową warstwę izolacyjną – wlewał w Sarę gorącą wodę, ścigał ciasniej kaptur wokół jej buzi, przygarniał małą do siebie, ogrzewał własnym ciałem. Wszystko na próżno. Zabijał ją nie tylko mróz, ale i coś, co siedziało w niej samej. Góry jej nie służyły, od samego początku. Można tu było chorować z niedostatku tlenu czy z braku soli we krwi, bo to reakcje chemiczne związane z wysokością, ale choroba bakteryjna? Nie, to się prawie nigdy nie zdarzało. Po pierwsze, na tej wysokości bakterie prawie nie występowały, po drugie te, które się cudem uchowały, są zbyt słabe, żeby wyrządzić człowiekowi krzywdę. Ale wszystko sprzysięgło się przeciwko Sarze. Wymioty znacznie ją osłabiły, ucieczka z wymarłego miasta odebrała resztkę mocno nadwątlonych sił i bakterie zbierały teraz swe żniwo. Jej nocny kaszel nie dawał mu spać. Nie dlatego, że był taki głośny, tylko że ją tak bardzo męczył. Najpierw martwił się, żeby nie zmarzła, teraz odwrotnie: leżała rozpalona gorączką, a on porwał swoją koszulę, maczał w letniej wodzie kawałki materiału i obmywał jej płonąca twarz. Czuł, że ubranie Sary przesiąkło potem, że bucha gorącem i wchłania zimno. Zdejmował z niej poszczególne części garderoby i suszył nad ogniskiem, blachę z ogniem wnosił na dwór, żeby tam piec mięso. I poganiał się w myślach, wiedząc, że córka nie powinna zbyt długo być bez ognia, spieszył się jak mógł, wnosił ognisko do jamy, znów rozgrzewał Sarę, by za chwilę ją chłodzić. Zmuszał ją do jedzenia, ale nie miała siły żuć. Obmywał jej twarz, słyszał bulgotanie w gardle i piersiach i żeby jej ulżyć, przewracał ją na bok, na brzuch, później na drugi bok i z powrotem na plecy. Ale ulga była krótkotrwała i z każdym wschodem słońca stan Sary ulegał pogorszeniu. Majaczyła, jakby znów byli razem w domu, zanim się wszystko zaczęło. Zdawało jej się, że właśnie idzie do łóżka, i szykowała ubranie do szkoły na następny dzień. Przypomnił sobie wieczór, kiedy ją kąpał i suszył jej włosy. Układali wtedy wierszyki – obleśne, głównie o wydalaniu – i zaśmiewali się do rozpuku. Patrzył teraz na brudne strąki sterczące spod zawiązanego kaptura i widział tamte gładkie, delikatne złocisto-kasztanowe włosy. Aż musiał odwrócić wzrok. W pewnej chwili zapytała:

– Mamo, czy mogę zaprosić koleżankę na noc? – Jak gdyby to Claire siedziała przy

niej.

Któregoś ranka umarła.

Nawet nie drgnął, choć słyszał, jak pies dobiera się do resztek mięsa na końskim szkielecie. Po prostu siedział i patrzył na córkę. Patrzył w jej otwarte oczy, nie mogąc nadziwić się ich martwocie. Niewidzące oczy. Przecież to jakaś parodia! Wreszcie zamknął jej powieki, udając przed sobą, że Sara tylko śpi. Wciąż na nią patrzył, nie kiwnął palcem, gdy pies przyszedł po raz drugi. Nie spuszczał wzroku z jej blednącej twarzy i ciała, które układało się po swojemu, sztywniało. Trwał tak w bezruchu, aż w końcu zauważył, że światło się zmienia. Dotarło do niego, że przesiedział w norze cały dzień, ale nawet wtedy ruszył się tylko dlatego, że chciał ją dalej chronić. Wyrąbał niską wnękę w lewej ścianie jamy i wsunął w nią Sarę. Wiedział, że jeśli będzie ją trzymał blisko ognia, ciało zacznie się rozkładać.

Zasnął, a kiedy otworzył oczy, wyciągnął córkę z wnęki, żeby znów na nią patrzeć. Potem naszła go myśl, żeby zachować ją w tym stanie jak najdłużej, więc wsunął zwłoki pod lodową ścianę i obłożył je śniegiem. Wyszedł na zewnątrz za potrzebą i mrużąc powieki – wstał nowy dzień, śnieżny blask słońca raził go w oczy – gapił się na dwa rozpryskane, zamrożone placki moczu tuż obok tego, który właśnie robił. Najwyraźniej wychodził już dwa razy, ale nie pamiętał kiedy. Spojrzał obojętnie na ponadgryzany przez psa szkielet i wrócił do jamy. Niechętnie topił śnieg, niechętnie pił wodę i cały czas nie spuszczał Sary z oczu.

Z biegiem czasu jego troska o zachowanie zwłok w dobrym stanie przybrała na sile. Zamurował Sarę w śnieżnej zaspie. Co rano wyciągał ją, oglądał jej twarz, a potem znów obkładał trupa śniegiem. Wynosił ogień na zewnątrz, tam piekł mięso. Nie miał apetytu, ale zmuszał się do jedzenia. Chociaż trochę, tylko odrobinę. Mięso straciło wszelki smak. Coraz bardziej oddalał się od nory w poszukiwaniu drewna. Jadł więcej, żeby mieć siłę chodzić. Wracał do jamy w strachu, że pod jego nieobecność pies dobrał się do dziecka. Ale pies nawet nie próbował, ani razu. Codziennie rano przed wyjściem Bourne najpierw spoglądał na buzię córki, potem na szkielet gniadej i któregoś dnia zrozumiał, że nawet gdyby Sara nie umarła, i tak by nie przeżyli. Resztki koniny zaraz się skończy, nie przetrwaliby. Nie przetrwają też razem z psem. Znalazł więc sobie zajęcie: całymi dniami i nocami rozmyślał, jak utrzymać go z dala od mięsa. Pobudzał się do działania, udawał, że idzie po opał, tymczasem krył się w pobliżu i czatował na psa, żeby go zastrzelić. Próbował czuwać w nocy. Wyteżał słuch w oczekiwaniu odgłosu, jaki towarzyszy obgryzaniu kości, ale pies zjawiał się zawsze wtedy, gdy Bourne naprawdę wychodził po drewno albo kiedy przysnął. Chciał nie chciał, dzielił z psem resztki mięsa, aż wreszcie zostały same gnaty. Odlamywał zebra, gotował je, wypijał rosół, wysysał szpik, zjadał

wszystko, co tylko nadawało się do jedzenia. W końcu któregoś dnia – przemyślawszy, jak jeszcze mógłby wykorzystać szkielet – wziął dwa najbardziej zakrzywione żebra, złączył je, tak że utworzyły wydłużone „O”, związał górne i dolne końce, krótsze kości ułożył w równych odstępach w poprzek środkowej części żeber i oplótł je skórą. Powtórzył wszystkie czynności jeszcze raz i tym sposobem został właścicielem pary śnieżnych raket. Zastanawiał się, co zrobić z pozostałymi kośćmi, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Zjadł, co się dało, resztę zostawił psu.

A potem nie było już nic. Siedział w jamie, pilnował ostatnich skrawków mięsa, od czasu do czasu spoglądał na Sarę i myślał, co dalej. Wymyślił, że założy śnieżne rakiety i spróbuje się stąd jakoś wydostać. Ale nie chciał zostawiać tu Sary, a przecież nie dałby rady jej zabrać. Bo choć odłożył sobie trochę mięsa, wiedział, że tak naprawdę nie ma już sił, żeby dość dokądkolwiek, że wykończy go pierwsza lepsza śnieżyca. Nie było też na co polować, więc siedział w norze. Kilka cieplejszych dni natchnęło go nadzieją, że nadchodzi wiosna, ale to bzdura, bo dobrze wiedział, że na wiosnę jest jeszcze za wcześnie. Wróciły mrozy, cięższe niż przedtem, i musiał spalać więcej drewna. Wbrew swojej woli zdjął sweter z Sary, pociął go i kawałkami wełny omotał sobie głowę i barki pod kurtką. Skafandra z niej nie zdjął, bo nie mógł znieść myśli, że córka miałaby leżeć wprost na śniegu. Sprawdził godzinę. Zegarek stanął. Drapał się po udach, pod pachami i brodą. Skóra swędziała go z brudu i niedożywienia.

Któregoś dnia pies przyszedł do jamy, zatrzymał się u samego wejścia i wbił w niego ślepią. Musiał tam tkwić już od jakiegoś czasu, bo kiedy Bourne otworzył oczy, zobaczył, że pies leży na brzuchu i nie spuszcza z niego wzroku. Zwierzę spojrzało na przysypane śniegiem mięso, później znów na niego i przysunęło się bliżej. Nie namyślając się, Bourne wyciągnął rewolwer i wycelował w psie oko. Zwierzę przysunęło się jeszcze bliżej. Pomyślał, że gdyby strzelił, miałby więcej jedzenia i większą szansę na przetrwanie zimy, ale zaraz doszedł do wniosku, że to bez znaczenia. Przeżyje jeszcze tydzień czy dwa, co przecież nic nie zmieni, a w końcu i tak umrze z głodu. I może dlatego, że wciąż nie oprzytomniał ze snu – a może było mu już wszystko jedno? – nie strzelił, tylko opuścił broń i rzucił psu skrawek mięsa. Pies złapał mięso w locie i połknął. Bourne natychmiast pożałował tego gestu, ale gdy podniósł rewolwer, psa już nie było. Opadł na plecy, zaklął, podniósł się i podpełzł do wyjścia – żywego ducha. Znów zaklął, upadł na twarz, zamrugał i przysnął.

Mięso skończyło się dwa dni później. Przypomniawszy sobie, co mówił Sarze o trzech dniach bez wody i trzech tygodniach bez jedzenia. Postanowił stąd wyjść, ale nie miał siły. Zdawało mu się, że pies wraca, że strzela do niego, obdziera go ze skóry, że je. Miał nawet wizje, w których widział kawałek koniny, jakim poczęstował psa. Przypomniawszy

sobie historie o ofiarach katastrof samolotowych. Ci, którzy przeżyli, ginęli w górach z głodu, aż w końcu, żeby ocalić życie, zjadali ludzkie zwłoki. Pomyślał o Sarze i potrząsnął głową. Ale kto wie, czy do tego nie dojdzie? Nie mógł udawać, że to niemożliwe. Zakaz kanibalizmu obowiązuje tylko do momentu, dopóki umysł jest w stanie kontrolować ciało. Wiedział, że za jakiś czas zacznie zachowywać się jak zwierzę i zrobi wszystko, żeby przeżyć. Pewnego ranka zbudzi się, wyciągnie Sarę z wnęki i rozważy taką możliwość. Innego dnia wytłumaczy sobie, że przecież Sara by tego chciała. I któregoś wieczoru zacznie odrzynać kawałeczek jej ciała. Ręka mu zadrży, ale i tak to robi. Upiecze odcięty kawałek, będzie się nim dławił, ale jakoś przełknie. Z czasem zapomni o obrzydzeniu, a zacznie patrzeć na to z nabożeństwem, rozgrzeszając się i myśląc o komunii.

Prawie już nie wychodził po drewno, tylko siedział ospale, pił wodę i czuł, że ubranie wisi na nim coraz bardziej. Wyobrażał sobie, że mierzy do psa z rewolweru, że do niego strzela i że go w końcu oprawia. Trochę trwało, zanim zrozumiał, że to nie wytwór wyobraźni, że to wizja mającego umysłu. Pies stał przed nim naprawdę, u wejścia do jaskini, stał i patrzył. Bourne podniósł rewolwer i odbezpieczył go, myśląc: „Jeśli go teraz nie zabiję, następnym razem on zabije mnie”. Wycelował. Już zaciskał palec na spuście, gdy nagle zobaczył, co pies trzyma w pysku. Ta jedna sekunda wahania zdecydowała o wszystkim.

Królik.

Przyniósł mu królika, wszedł głębiej do groty i upuścił zdobycz. Bourne nic z tego nie rozumiał. Skoro pies złapał królika, to czemuż go, do diabła, nie zjadł? I co tu właściwie robi? Dlaczego wypuścił go z pyska i się cofnął? Dlaczego nie wyszedł z jaskini, tylko leżał na brzuchu i czeka? Nagle go oświeciło. Mięso! Pies zasmakował w pieczonym mięsie! Bourne chwycił królika, rozciął go nożem, wypatroszył, zdjął skórę, nabił na kij i upiekł. Niemal zapomniał podzielić się z psem, taki był głodny. Ale kiedy jadł, zwierzę zawarczało, więc oderwał upieczoną nogę i rzucił ją psu. Jedli razem. W ciągu następnych kilku dni pies jeszcze dwukrotnie przynosił mu królika. Potem wiewiórkę. A po jakimś czasie zamieszkał z Bourne'em w jamie.

Pierwszego ciepłego dnia wyszedł z nory na dobre. Najpierw wspiął się na skałę powyżej zagłębienia ze śnieżną jamą. Odwalił kilka mniejszych głazów i zniósł je na dół. Wyciągnął Sarę z nory i przykrył ją kamieniami. Wciąż niezadowolony, wszedł między drzewa, tam, dokąd się jeszcze nie zapuszczał. Odłamał kilka uschniętych konarów,

wykopał ze śniegu kilka gałęzi, wciągnął na górę tyle drewna, ile był w stanie przydźwigać, i nakrył nim kamienie. Na wierzchu kopca ułożył kilka soczyście zielonych gałęzi, ukręconych z pobliskiego świerku. Spokojny, że teraz żadne dzikie zwierzę nie odkopie zwłok, zajrzał do jamy i wziął z niej to, co mogło mu się przydać: dziurawy garnek i trzy puste puszki, po zupach i groszku. Naczynia, derki i blachę włożył do worka, który zrobił ze zwierzęcych skór. Worek przerzucił przez jedno ramię, zwinięty śpiwór przez drugie – przytroczył go do tułowia rzemieniami z końskiej skóry – zawiązał gogle i ruszył w las. Wełniane rękawice już dawno się wydarły, zastąpił je teraz mitenkami. Sam je uszył, z kawałków futra związanego rzemieniami; przyłożył skórę do skóry, tak że futro miał i na zewnątrz, i od wewnątrz. Rakiety okazały się o wiele trwalsze, niż przypuszczał. Czasami pękał jakiś rzemień i musiał go wiązać na nowo, ale zdarzało się to rzadko i nie utrudniało marszu. Zresztą wyrobił w sobie nawyk, żeby co wieczór je sprawdzać.

Stanął na krawędzi zbocza, na którym spędził całą zimę, i spojrzął w stronę niewyraźnego kopca kamieni, suchych konarów i zielonych świerkowych gałęzi. Obiecał Sarze, że wróci, i zaczął pięć się wyżej, ku przełęczy wiodącej do zardzewiałej szopy i starej kopalni. Dotarł tam dopiero po czterech dniach, starając się iść dokładnie tą samą drogą, którą wchodzili na zbocze. Pewnego wieczoru zanocował z psem w kępie drzew, gdzie niegdyś zatrzymał się z Sarą na noc. Następnej nocy założył obóz pośród zwalonych pni w kształcie litery „V” i tam upiekł trochę mięsa z królików i wiewiórki, upolowanych przez psa. Pies spał z nim w śpiworze, na derkach. Bourne prawie się nie odzywał. Wstawał rano i szedł przez las, a pies zapuszczał się między drzewa, by później go dogonić; zwykle przynosił w pysku jakieś małe zwierzę. Wreszcie dotarli do przełęczy. Przebili się przez śnieg koło poprzewracanych górniczych chat i parli naprzód, w górę. Doszli do szczytu, gdzie wiatr wyczyścił śnieg do nagiego kamienia i gdzie Bourne mógł zdjąć rakiety. Idąc między skalnymi ścianami, dotarli w końcu do blaszanej szopy i starej kopalni. Jedli w tunelu, jak przedtem z Sarą. Rozpalił ogień, upiekł mięso, ogrzał się trochę i poszukał śladów ścigających go ludzi. Nie znalazł. Następnego ranka przywiązał rakiety do butów i ruszył w dół, w stronę miasta.

Wszystko tonęło w śniegu. Minał zapadlisko, gdzie po śmierci Claire zatrzymali się z Sarą na noc. Szedł między drzewami trasą, którą – tak przynajmniej sądził – pełznął, szukając żony. Przeciął zasypaną śniegiem łąkę i doszedł do miejsca, gdzie dawniej stało miasto. Teraz widział tu tylko białe pagórki i doły, które równie dobrze mogły uchodzić za naturalne nierówności terenu. Tu i ówdzie sterczały nadpalone kikuty belek i kawałki drewna, miejscami spod śniegu prześwitywały ciemne deski i czerniąc się na tle zasp, świadczyły o przeszłości. Zbudował z nich szałas, a potem krążył po najbliższej okolicy,

szukając tych, co tu zostali: oskalpowanego mężczyzny, którego wrzucili w płomienie, mężczyzny zastrzelonego w stodole przez Claire, wreszcie samego starucha. Ale nic nie znalazł. Nie znalazł też ciała Claire, choć przecież to przede wszystkim jej szukał. Wiedział, że jej nie zabrali, bo i po co? Wystarczył im drobny dowód, że ją wykończyli, a zwłoki zakopali pewnie gdzieś w pobliżu. Może nawet spalili? Ale teren był zbyt rozległy, mogli je ukryć wszędzie. Więc i żonie złożył obietnicę, że któregoś dnia do niej wróci. I zaprzestał poszukiwań.

Co jakiś czas natykał się na tropy dzikich zwierząt, ale samych zwierząt nie widział i nie było do czego strzelać. Tego wieczoru pies przyniósł kolejną wiewiórkę, ostatnią, jaką musiał sam upolować. Następnego ranka, kiedy doszli do rzeki, Bourne zdjął buty i przetarte wełniane skarpety, wepchnął wszystko do worka, wziął psa na ręce i przepłynął się przez bród. Kiedy stanął na drugim brzegu, kiedy wytarłszy zlodowaciałe nogi, nakładał skarpetę, zobaczył królika. Wystrzelił zbyt pośpiesznie, kula trafiła między łopatki i rozerwała zwierzę na pół. Ale i tak mieli trochę jedzenia. Oprawił królika, zawinął mięso w futro, wetknął je do worka i znów ruszył wzdłuż rzeki, w górę przez las, aż do skalnej rozpadliny, którą chciał dojść do Pustyni Owiec. Zaczął się szósty dzień ciepłej pogody. Łód na rzece pękał i Bourne musiał przechodzić przez wodę. Rozpadlina była tak wąska, że śnieg ją prawie oszczędził i bez zbytnich kłopotów pokonali głazy, które zepchnął w nią stary. Raz źle skręcił i trafił w ślepy zaułek. Wrócił, poszedł inną odnogą i wreszcie przebił się na drugą stronę. Teraz wyraźnie widział zmiany, jakie nadeszły z wiosną. Śnieg topniał. Wciąż jeszcze zalegał grubą warstwą, ale tu i ówdzie sterczały spod niego nagie, mokre skały. Obeszli kanion i doszli do miejsca, gdzie pod śniegiem leżało wyschnięte koryto strumienia.

Zrobili postój w małym wąwozie pod wiszącą skałą. Po raz pierwszy rozpalili naprawdę duże ognisko. Spostrzegł, że kończą się zapalki i ucieszył się, że tam, w jamie, nieustannie podsyczał ogień; ledwie płonął, za to cały czas. Zostało mu tylko kilka ostatnich zapalek, ale to nic, bo z każdym dniem zbliżał się do ludzi i nawet jeśli skończą się, zanim zejdzie z gór, cóż, radził sobie bez ognia już przedtem, poradzi sobie i teraz. Musiał jednak zacząć myśleć o tym, jak wejdzie między ludzi. Na pewno nie tak. Byłoby za wiele pytań, ściągnąłby na siebie zbyt dużo uwagi, w dodatku przedwcześnie. Usiłował doprowadzić się do porządku, wyglądać czysto. Zagrzał wodę i umył się przy ognisku. Najpierw obmył rany i lizaje na twarzy, ramionach i nogach. Wypłukał włosy i brodę, potem przyciął je nożem. Zdjął bieliznę i też ją przepłukał; po to rozpalił tak duże ognisko, żeby się rozebrać i nie zmarznąć. Obejrzał nogi i klatkę piersiową i zdumiał się ich widokiem. Prawie nie było na nich ciała, tylko same kości, wrzody i rany. Nie mógł sobie pozwolić na porządne pranie, bo bał się, że jeśli zacznie mocno

trzeć materiał, porwie go i zostaną mu w rękach wystrzępione łachy; zresztą to, co miał na sobie, niewiele łachom ustępowało. Kiedy uprał, co mógł – wełnianą bieliznę, majtki, kurtkę – podsycił ogień i patrzył, jak susząca się garderoba paruje. Później, już ubrany, czując miłe ciepło rozgrzanego materiału, podzielił się z psem resztką mięsa i śpiworem.

Następnego ranka zastrzelił drugiego królika. Tym razem zrobił to właściwie; kula trafiła w głowę. Upiekł go, zjedli i wyszli z wąwozu. Próbował rozszyfrować układ zachodzących na siebie stoków i grani, żeby odnaleźć drogę do doliny z górskim szałasem. Z podartych, zmiętych map niewiele zostało, korzystał więc z kompasu, ale bez mapy kompas wskazywał tylko orientacyjny kierunek. Po prawie dwóch dniach błędzenia, kiedy już uznał, że nic z tego, nagle wyszedł na skałę, skąd widział go jak na dłoni. Szałas stał w dole, na polanie, zupełnie niedaleko. Lecz on musiał obejść skałę, musiał przebić się przez las i czekał go półdniowy marsz. Jednak doszedł do celu przed zmrokiem. Ostrożnie sprawdził obejście i zbadał, czy dotarła tu pogoń. Chyba nie, a jeśli ludzie Kessa tu trafili, to zawiesili kłódkę na skoblu dokładnie tak samo jak on. Otworzył drzwi i przez chwilę stał, przyglądając się półkom zjedzeniem. Wyglądało na to, że nikt tu po nim nie zaglądał. Wszystko leżało tak, jak pamiętał, i natychmiast pochłonął go widok puszek z brzoskwiniami, kukurydzą, wołowiną i błyskawicznego ciasta naleśnikowego, z którego mógł upiec chleb. Trzy dni spędził w szałasie. Domywał się i dokarmał, wiedząc, że musi mieć dużo sił, by doprowadzić rzecz do końca. Nigdy nie siedział tam zbyt długo i; oczywiście, nigdy tam nie spał. Obozował w lesie, daleko od szałasem, nie rozpalając ogniska. Obserwował topniejący śnieg, odpoczywał, grzał się.

Czwartego dnia ruszył w dalszą drogę. Od miesięcy nie czuł się tak dobrze, lecz nowo odkryte luksusy – świeża flanelowa koszula, para czystych skarpet, zapas chleba, konserwowane brzoskwinie i wołowina w puszkach – w jeszcze większym stopniu uzmysłowiły mu, co wycierpiał w lesie. Dlatego kiedy sześć dni później wyszedł na kamienisty żleb z kikutami pni, ten sam, którym z Claire i Sarą wspinali się pierwszego dnia ucieczki, odczuł wielką ulgę. Kryjąc się pośród drzew, schodził w dół, coraz niżej i niżej. Dotarł do wybiegu dla koni i szopy na sprzęt. Im bliżej podchodził, tym wolniej szedł. Śniegu tu było mało, zarówno z powodu wiosny, jak i mniejszej wysokości. Wokół domu tu i ówdzie wyzierały spod śniegu kępki trawy, w słońcu błyszczały szyby okien. Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak to zapamiętał, kiedy ruszali w góry. Wieżyczka na dachu, szopka z tyłu, wychodek. Żadnych śladów na śniegu, dymu z komina, najmniejszych oznak, że ktoś się tu ostatnio kręcił. Obszedł dom z daleka i stanął z innej strony, od frontu. Studnia, ganek, drzwi, kamienie przy fundamentach, belki ścian – wszystko wyglądało tak samo jak przedtem. Cały dzień obozował w dolinie i nie spuszczał oka z chaty. Wreszcie uznał, że może wejść do środka.

Wszedł kuchennymi drzwiami. Sprawdził pokoje na dole, nawet szafki w kuchni. Potem zostawił psa na parterze i poszedł na piętro. Obszukał sypialnie, szafy na ubrania, wreszcie zajrzał na wieżyczkę. Nikogo. Okno wieżyczki było otwarte, tak jak je zostawił, górne szybki rozbite kulami w czasie strzelaniny, podłoga zasypana śniegiem. Dom wyglądał dokładnie tak jak wtedy, nie zauważył żadnych zmian. I nic z tego nie rozumiał. Od czasu ich ucieczki nikt tu nie zaglądał. Na dole, w salonie, stała lampa naftowa ze zdjętym abażurem. Stała na stole w miejscu, gdzie ją zostawił, kiedy wymieniał knot. Nikt jej nie tknął. Za nic nie mógł tego zrozumieć. Przecież od dawna nie opłacał czynszu i zaniepokojony właściciel musiał tu zaglądać, właściciel albo pośrednik. Przy szafie wisiało lustro, więc przystrzygł przed nim brodę i włosy. Zjadł zapasy, które wyniósł z górskiego szałas, i zajrzał do domowej spiżarni. Podgrzał sobie gulasz i ryż, otworzył puszkę z leguminą. Wszystkim dzielił się sprawiedliwie z psem. Potem wykąpał się i włożył świeże ubranie, które znalazł w szufladach komody w sypialni na dole. Co chwila wyglądał przez okno w obawie, że zza drzew wyjdą nagle ludzie Kessa, jak wtedy. Denerwował się tym w czasie kąpieli, na szczęście pies siedział przed frontowymi drzwiami i obserwował okolicę. Najszybciej, jak mógł, wrócił do leśnego obozowiska, bacznie lustrując teren. Następnego dnia zajrzał do domu, żeby coś zjeść, potem znów wycofał się do lasu, i tak przez cały tydzień. Wreszcie uznał, że jest gotowy. Zastanawiał się, czy nie zgolić brody i nie wystawić twarzy na kojące promienie słońca, ale nie, nie chciał zmieniać wyglądu. Chciał, żeby go rozpoznano.

– O, witam pana. Dawno tu pana nie było.

– Wyjeżdżałem.

– Czym mogę panu służyć tym razem?

– Poproszę tę strzelbę z górnej półki, tę sześćdziesiątkę piątkę. Do tego silny celownik optyczny i dwie paczki amunicji.

– Znakomity wybór. Jak poszło?

– Słucham?

– Polowanie. Ile sztuk pan ustrzelił?

– Mniej niż chciałem.

– Taa... Wszyscy tak mówią.

Potem odwiedził pośrednika od nieruchomości, który pytał o to samo.

– Ale proszę się nie martwić. Pańscy koledzy przychodzili tu co miesiąc i płacili czynsz, zgodnie z pańskim poleceniem.

Tego się właśnie domyślał, bo tylko to mogło tłumaczyć fakt, że przez cały ten czas nikt nie zajrzał do chaty w dolinie. Byli cholernie precyzyjni. Uznali, że jeśli żyje, na pewno tu zawita. Zakazał pośrednikowi puszczać parę z ust. Niech opłacą czynsz za

następny miesiąc i przyjdą sprawdzić, czy w chacie wszystko w porządku. Chce im zrobić niespodziankę. Tak powiedział pośrednikowi, wiedząc, że na pewno wszystko wypale. I bardzo dobrze. Brak śladów na śniegu świadczył, że po zimie jeszcze tam nie zaglądali, ale najwyraźniej mieli zamiar rozpocząć poszukiwania, kiedy nadejdzie odwilż. Dlatego płacili czynsz, zachowywali ostrożność, dbali o wszystko, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Niestety, śnieg topniał wolniej, niż Bourne by sobie tego życzył. Tamci mogli zwlekać jeszcze miesiąc, a nie chciał tak długo czekać. Tak więc albo zajrzą tu w dniu kolejnej płatności, tak przy okazji, albo – co bardzo prawdopodobne – pośrednik podsunie im ten pomysł. Wtedy zjawią się na pewno. Tak czy inaczej, któregoś dnia przyjdą. Prędzej czy później. W jakimś sensie nie miało to znaczenia. Spojrzał na kalendarz w biurze. Dwudziesty piąty kwietnia. Jeśli wszystko wypali, zostało mu tylko kilka dni. Kupił płachtę pod śpiwór, wrócił do lasu, położył się między drzewami i czekał.

Leżał na pagórku z lewej strony frontowej części domu. Widział stąd szopę, boczną ścianę domu, kawałek ganku i studnię. Miał dobry widok na zbocze i drogę w zagajniku. Jeśli stamtąd nadejdą, jak wtedy, na pewno ich zobaczy. Jednak gdyby zaszli go od tyłu, od strony lasu, miałby kłopot, ale liczył na to, że pies ich wyczuje. Chciał ich zmylić, więc zadał sobie trud i krążył po okolicy, zapuszczał się głęboko w las, żeby zostawić jak najwięcej śladów. Dużo śladów zostawił przy domu, ale nie przejmował się, bo przecież o to mu właśnie chodziło. Rozpalił w piecu ogień – niech myślą, że tu jest – i noc w noc, kiedy księżyc zachodził, wracał i dorzucał do ognia szmaty i wilgotne drewno, żeby z komina wałyły kłęby dymu.

Liczył dni. Dwudziesty dziewiąty kwietnia. Wieczorem, gdy wszedł do domu, usłyszał jakiś dźwięk, jakby skrobanie w kęcie. Pomyślał, że to oni. Zesztywniał, skoczył w róg, ale strzały nie padły. Nie miał pojęcia, co to było. Jakieś zwierzę? Strach wzmógł jego czujność i później, ilekroć schodził w pobliże domu, zachowywał dużo większą ostrożność. Musiał tu przychodzić, bo nie chciał dać się zaskoczyć. Wiedział, że jeśli przyjdą nocą, z obozowiska ich nie zobaczy.

Trzydziestego kwietnia i pierwszego maja ogarnęły go wątpliwości. Może się przeliczył? Może pośrednik dotrzymał tajemnicy? Może wcale się nie zjawią? A jeśli przyjdzie mu czekać jeszcze dwa tygodnie albo nawet miesiąc? Drugiego maja, tuż przed zachodem słońca, coś go zelektryzowało. Usłyszał warkot samochodu. Daleko, na dole. Potem silnik zgasł. To jeszcze nic nie znaczyło. Może goście przyjechali do kogoś mieszkającego półtora kilometra dalej? Albo ktoś odwiedzał starego hodowcę koni; miał ranczo w tamtej okolicy. Albo...

Jeśli szli teraz przez las, musiał zostać na miejscu. Niewykluczone, że już doszli do

domu i na niego czekają. Leżał nieruchomo i nasłuchiwał. Cisza. Pies przed niczym go nie ostrzegał. Mimo to zastygł w bezruchu. Wyteżył słuch, czekał, aż silnik znowu zawarczy, choć przecież niczego to nie przesądzało. Jeśli to jacyś goście, mogli tam zostać na noc. Gdzieś koło trzeciej nad ranem zdawało mu się, że słyszy w lesie cichy trzask. Ktoś złamał gałązkę. Może zwierzę. Przyczyny mogły być różne. Na przykład oni. Więc czekał.

Było ich trzech. Jeden stał z tyłu, wśród drzew, dwóch leżało tuż pod krawędzią stoku od frontu domu. W porannym brzasku widział ich wyraźnie. Mieli na sobie jasnobrązowe ocieplane kurtki i spodnie, ale z tego, co widział, nie byli to ci sami mężczyźni, których spotkał jesienią w miasteczku. Chciał ich mieć na oku, wszystkich razem, poza tym musiał się zorientować, co knują, więc czekał. Co chwila patrzyli na zegarki, sprawdzali czas i nagle, najwyraźniej o umówionej porze, zaczęli strzelać. Pociski wielkokalibrowych strzelb typu *pump-action* roztrzaskiwały okna, kanonada niosła się echem wśród drzew, ramiona mężczyzn podskakiwały od odrzutu broni. Tylko ten pod lasem nie strzelał. Stał wśród drzew, skupiony i gotowy, zupełnie jakby czekał, aż ci dwaj pod domem wypłoszą mu ofiarę, żeby mógł dokończyć dzieła. Walili bez opamiętania, aż wystrzelali po dwa magazynki, a kiedy spostrzegli, że Bourne nie wychodzi z domu, przestali. Leżeli niezdecydowani, wystawili głowy – najpierw jeden, później drugi – sprawdzając, czy nic się tam nie rusza. Oczywiście, nic się nie ruszało. Dwaj mężczyźni od frontu leżeli w pewnej odległości od siebie. Teraz odsunęli się jeszcze bardziej i jak na komendę, jeden z nich zerwał się z ziemi i popędził na ukos do drzwi wejściowych. Drugi leżał i go osłaniał. Kiedy ten pierwszy dopadł drzwi i zniknął Bourne'owi z oczu, do biegu poderwał się drugi strzelec. Pędził w stronę domu, jakby teraz ten pierwszy dawał mu osłonę. Mężczyzna wśród drzew nawet nie drgnął. Ci dwaj na ganku zaraz wyważą frontowe drzwi, któryś z nich wejdzie do środka, będą się na zmianę ubezpieczali, zaczną przeszukiwać dom... Usłyszał łoskot rozwalanych drzwi i wiedział, że stało się właśnie to, co przewidywał.

Tak, sprawdzą cały dom, parter i piętro, wyjdą kuchennymi drzwiami, żeby pogadać z tym trzecim, i właśnie wtedy będą razem. Wczołgał się do lasu, wstał i pobiegł z psem między drzewami. Zwolnił w obawie, że tamci mogą go usłyszeć, wreszcie dotarł do miejsca, skąd mógł obserwować tylne drzwi. Zajął pozycję. Trzeci mężczyzna stał odwrócony plecami do niego, jakieś sześćdziesiąt metrów dalej. Bourne przysiadł, wycelował. Dobrze widział drzwi. Krzyżyk w celowniku utkwiał dokładnie między łopatkami napastnika ze strzelbą. Bourne przesunął lufę w stronę drzwi. Właśnie się otworzyły. Wyszli z domu. Rozmawiali, wzruszali ramionami. Trzeci mężczyzna, ten spod lasu, opuścił broń, powiedział coś i zaczął wychodzić im naprzeciw. Wtedy Bourne

pociągnął za spust i zabił go za pierwszym strzałem. Błyskawicznie wycelował w jednego z tamtych dwóch i wypalił po raz drugi. Trafił, mężczyzna upadł. Ale jego kumpel zwał, uciekł do domu.

Bourne nie czekał. Musiał przebiec przez las na drugą stronę zbrocza na wypadek, gdyby pozostały przy życiu bandyta czmychnął frontowym wejściem i zbiegał w dół stoku. Poślizgnął się, upadł, podniósł się i uwalany błotem, popędził przed siebie. Dotarł do miejsca, skąd widział i drzwi frontowe, i kuchenne. Istniała co prawda możliwość, że tamten już zdążył nawiać, ale, po pierwsze, Bourne biegł bardzo szybko, po drugie, ścigany przez niego mężczyzna musiał być teraz ostrożny i przed następnym ruchem upewnić się, z której strony czyha niebezpieczeństwo.

Nie chciał tego przedłużać i strzelił w lampę, którą ustawił na parapecie okna sypialni na wypadek, gdyby przyszło mu szturmować dom. Szkło się rozprysło, nasączone fosforem tasiemki, które przykleił do klosza, wyleciały w powietrze, błysnęły ogniem i podpaliły rozlaną naftę. W każdym razie tak to sobie wyobrażał. Nie widział oznak pożaru i myślał już, że popełnił jakiś błąd, gdy z okna buchnęły płomienie. Teraz musiał tylko czekać. W przeciwległej ścianie domu nie było okien – od strony kuchni stał za nią piec i szafki kredensowe, od strony salonu kominek – więc osaczony pożarem mężczyzna będzie musiał uciekać frontowymi bądź kuchennymi drzwiami. Cała sypialnia stała już w ogniu; Bourne wyraźnie widział dym snujący się przez okna na górze, potem na dole. To nie mogło trwać długo, bandyta musiał lada moment wyjść, ale nie, zwlekał do ostatniej chwili. Wyskoczył tylnym wyjściem, kiedy płomienie ogarnęły całe piętro i zaczynały lizać wieżyczkę – Bourne spoglądał w tamtą stronę i omal tego nie przegapił – przebiegł obok dwóch rozciągniętych na ziemi ciał i popędził do lasu. Wtedy Bourne zwolnił spust. Spudłował, strzelił ponownie. Kula podcięła uciekającemu nogę, rzuciło nim w bok, na drzewo. Leżał tam, potrząsając głową, próbował wczołgać się w krzaki, ale Bourne strzelił mu nad głową.

– Nie ruszaj się, bo zabiję! – krzyknął.

Gwizd trzeciej kuli osadził mężczyznę w miejscu. Wystraszony, cofnął się na polanę. Leżał, trzymał się za nogę i wykręcał szyję, żeby coś zobaczyć.

– Odrzuć strzelbę!

Ranny odrzucił broń, jak coś żywego.

– Ani kroku! – rozkazał Bourne, schodząc między drzewami.

Mężczyzna leżał skulony na skraju polany i ścisnął nogę. Był blady; krew wsiąkała w śnieg.

Bourne wyszedł z lasu i spojrzał za siebie. Płomienie tańczyły po dachu domu i obejmowały wieżyczkę. W górę waliły gęste biało-czarne kłęby dymu, wewnątrz szalał

pożar, ogień trzeszczał i huczał jak w wielkim piecu. Dookoła topił się śnieg, a z wilgotnej kurtki zabitego mężczyzny zaczynała unosić się para. Przyjrzał się uważnie drugiemu trupowi i ruszył w stronę rannego bandyty.

Przeszukał go. Zabrał mu nóż, rewolwer kalibru 0.38, założył opaskę uciskową na nogę, wcisnął mu garść aspiryn i poderwał go z ziemi. Rozejrzał się i dostrzegł ułamaną gałąź z rozwidleniem na końcu. Była mocna, w sam raz na kulę, więc podał ją rannemu i zmusił go do marszu w stronę leśnego obozowiska. Zebrał swoje rzeczy, włożył je do worka ze skór, strzelbę wetknął w śpiwór, zwinął posłanie, przerzucił je przez ramię i pognął bandytę ku wzgórzom.

Mężczyzna był w szoku. Co za różnica? Ale musiał go zagnać wyżej, więc kiedy widział, że ranny opada z sił, zezwalał na krótkie odpoczynki. Dawał mu aspirynę, karmił, poił i znów pędził wyżej. Co jakiś czas oglądał się za siebie. W pewnej chwili usłyszał wycie syren, ale nikt za nimi nie szedł. Spojrzał na skalną ścianę, do której się zbliżali. Wiedział, że nie pokonają żlebu, że ranny nie da rady tędy przejść, więc wybrał okrągłą, wolną od śniegu łąkę między drzewami, tuż u podnóża skały. Pchnął jeńca na ziemię i przez chwilę tylko czekał.

– Rozbieraj się – rzucił wreszcie.

– Co?

– Słyszałeś. Zdejmuj ubranie.

– Po co?

Kopnął go w postrzeloną nogę i mężczyzna od razu zaczął się rozbierać.

– Połóż się płasko na ziemi. Rozłóż ramiona i nogi.

Ranny ani drgnął, Bourne kopnął go ponownie, co odniosło natychmiastowy skutek. Skóra leżącego odcinała się bielą od zimnej brązowej ziemi, jego noga była uwalana skrzepłą krwią i spuchnięta. Dostał pod kolano, ale pocisk nie naruszył kości i widać było tylko czarną dziurę w ciele. Podczas wspinaczki Bourne co jakiś czas rozluźniał opaskę uciskową, by po chwili związać ją mocniej. Teraz zrobił to samo.

– Nie chcę, żebyś stracił za dużo sił.

Wystrugał cztery paliki i wbił je głęboko w ziemię. Przywiązał do nich ramiona i nogi rannego, który leżał teraz rozpostarty, wypinając do nieba klatkę piersiową oraz intymne części ciała. Bourne wyciągnął nóż i przeciągnął ostrzem od sutka do pępka mężczyzny. Bandyta zaczął wrzeszczeć, zanim nóż dotknął skóry. Ciało rozeszło się na boki, rana napłynęła krwią, krew ściekła po skórze. Bourne chwycił leżącego za twarz i spojrzał mu prosto w oczy.

– Słuchaj mnie uważnie. Nie powtórzę pytania. Byłeś z nimi, kiedy palili miasto?

Rozszerzone oczy mężczyzny nerwowo umykały na boki.

– Nie wiem, o co chodzi.

Bourne zrobił drugie nacięcie. Facet krzyknął przenikliwie i zaczął gwałtownie potakiwać.

– Tak, tak! Byłem.

– To dobrze. Nawet nie wiesz, jak dobrze. Gdybyś tam nie był, nie miałbym z ciebie żadnego pożytku i musiałbym cię zabić. No dobra, pytanie numer dwa. Co zrobili z zastrzeloną kobietą?

– Zakopali ją.

– Nie o to mi chodzi. Co jej zrobili?

– Odcięli jedno ucho.

– A potem?

– Nic. Pochowali ją.

– Gdzie?

– Nie wiem. Tamci się tym zajęli.

– Ale co mówili?

– Że pochowali ją w chacie po drugiej stronie rzeki.

– W której?

– Nie wiem.

– Dobra. Wierzę ci. Jedźmy dalej. Chcę wiedzieć, komu podlegacie?

I tak krok po kroku wyciągał z niego informacje. Czasem mężczyzna wzbraniał się przed odpowiedzią, czasem wyraźnie kłamał, ale Bourne robił nowe nacięcia, dłubał czubkiem noża w ranach, dziurawił klatkę piersiową, ramiona i zdrową nogę, a od czasu do czasu zerkał na obnażone genitalia, co bardzo przyspieszało odpowiedź. Chciał wiedzieć, kto jest ich bezpośrednim zwierzchnikiem, komu ten zwierzchnik podlega, jaka jest struktura organizacji. Trwało to może z godzinę i przez ten czas zdążył pociąć bandytę wzdłuż i wszerz. Wycisnął z niego wszystko, co mógł, poznał nazwiska tych, którzy z nim wtedy byli; groził rannemu, że go zabije, jeśli przestanie mówić. Wreszcie uznał, że wystarczy. Nie przychodziły mu do głowy nowe pytania, więc siedział, patrzył na leżącego i rozpamiętywał swoje krzywdy. A kiedy nie mógł już tego znieść, wbił ostrze noża i mocno zakręcił.

Epilog

Zajął mu to rok. Wrócił do miasta, gdzie wszystko się zaczęło. Stał po ciemku między świerkami i patrzył na swój dom. Zaszedł na cmentarz, gdzie leżał Ethan, i długo wpatrywał się w nagrobek. Potem wrócił w góry. Szedł znanym szlakiem między skałami, obok górskiego szałas, aż minął Pustynię Owiec i trafił do spalonego miasta. Znalazł Claire. Tak jak mówił ranny, pochowali ją w płytkim grobie w jednej z rozpadających się chat za rzeką pod lasem. Miała obcięte ucho. Szybko zakopał ją z powrotem. Później poszedł wyżej, w kierunku zardzewiałej szopy i starej kopalni, przez przełęcz, do kopca na zboczu. Kopiec wyglądał tak samo, tyle że zielone szpilki na gałęziach już zbrunatniały. Nie chciał przeszkadzać Sarze, więc tylko posypał kopiec szczyptą ziemi z grobów Ethana i Claire, wygarnął garść prochu z jej grobu i wrócił do Claire. Poproszył jej mogiłę ziemią z leśnego kopca i z grobu Ethana, a kilka tygodni później, znów stojąc w ciemnościach na miejskim cmentarzu i patrząc na nagrobek syna, wysypał nań leśny proch zmieszany z ziemią z chaty. Dopiero wówczas zaczął polowanie.

Leżał na brzuchu na skraju zagajnika nad żyzną doliną. Minęło trzy czwarte roku – lato, jesień, zima – nim wreszcie tu dotarł. Odnalazł wszystkich, których wyspał torturowany przez niego mężczyzna. Ich też zmusił do mówienia i zanim umarli, poznał nazwiska tych, którzy stali wyżej. W końcu odnalazł trop, potem jeszcze jeden. Pracował wszędzie, włączył się po całym kraju, przybierał różne nazwiska, czasem nosił brodę, czasem nie. Łapał robotę na farmach, w tartakach, naprawiał płoty, malował stodoły, robił wszystko, co mógł robić na lewo, bez karty ubezpieczeniowej. Uciekając przez zimą, kierował się na południowy zachód, ale i tak było mu po drodze. Pies towarzyszył mu wszędzie: przez Kansas, Kolorado, Arizonę, aż do Kalifornii. I znów nadeszła wiosna, a on leżał pośród drzew i obserwował dolinę.

Była tam farma. Duży, rozłożysty dom i przybudówki, wszystko białe na tle zieleni zbóż. Przy stole na podwórzu siedziała cała rodzina: Kess, jego żona, dwie córki i syn. Jedli, śmiali się, uśmiechali i rozmawiali. Widział ich wyraźnie przez celownik optyczny.

Siedzieli dość daleko od domu i nie wszyscy zdążyliby uciec do środka. Może załatwi wszystkich naraz? Może wpadną w panikę, zaczną rozglądać się na boki, pomagać sobie nawzajem i nikt nie dobiegnie do domu?

Teraz, kiedy uważniej przyjrzał się obejściu, zauważył ochroniarzy: jeden stał przy garażu, drugi za siatkowymi drzwiami domu. Ale oni się nie liczyli. Zanim go namierzą, zdąży zniknąć. A przy odrobinie szczęścia ich też zabije. I kota hasającego po rabatce.

Wyrówna wszystkie rachunki. Musiał tylko zdecydować, od kogo zacząć.

Wycelował w Kessa. Nie, to byłoby zbyt łatwe. Kess umrze i nie zazna mąk, jakie kazał znosić innym. Trzeba to zrobić inaczej, jego własnym sposobem. Ale do kota nie strzeli, w każdym razie nie od niego zacznie. Kilkoro z nich mogłoby uciec i schować się w domu. Nie, zacznie od ludzi. Od najmłodszego do najstarszego, a kota zostawi na koniec, kiedy już wszystkich zabije. A jeśli Kess się przypadkiem wymknie... Trudno, nie szkodzi. Wtedy ruszy jego śladem i będzie go ścigał, jak tamci ścigali jego. Niech poczuje, jak to jest. Tak więc musiał tylko wybrać najmłodszego członka rodziny...

Dziewczynka siedząca po prawej stronie stołu miała ze dwanaście lat. Przeniósł celownik na chłopca obok. Był starszy od siostry. Wymierzył więc w małą. Miała śliczne długie włosy koloru piasku i twarz usianą piegami. Uśmiechała się. Potrząsnął głową.

Wymierzył jeszcze raz i znów potrząsnął głową. Nic z tego. Za każdym razem, kiedy w nią celował, widział buzię Sary. Przesunął celownik na chłopca i stanął mu przed oczyma Ethan. Kobieta przeistaczała się w Claire. Widział ich wszystkich: Claire, Sarę, Ethana. Jedli, parskali śmiechem. I nie mógł tego zrobić.

Mówił sobie, że to głupota. To co, że dziewczynka przy stole przypomina mu Sarę? To co, że rodzina Kessa przywodzi mu na myśl jego własną? Tym bardziej powinien ich zabić.

Ale nie potrafił.

Postanowił zastrzelić mężczyznę. W tym przypadku nie miał żadnych skojarzeń. Ale cóż z tego? Myślał wyłącznie o tym, jak w takiej sytuacji zareagowałiby jego bliscy: on ginie, a Claire, Sara i Ethan są świadkami jego śmierci. Nie, nie mógł tego zrobić.

Tłumaczył sobie, że jeśli ich nie zabije, Kess będzie wysyłał za nim pościg za pościgiem. Wiedział, że musi z tym skończyć raz na zawsze, bo nigdy nie zazna spokoju, bo już zawsze będzie uciekał. Nic nie pomogło. To było ponad jego siły. I przedtem, i teraz. Nie, po prostu nie mógł tego zrobić.

Siedzi w pokoju, w jakimś mieście, nawet nie wie w jakim. Czasem wychodzi na dwór, ale bardzo rzadko. Obok niego pies – sam nie wie po co i dlaczego.

Wciąż myśli o pielgrzymce w góry, od grobu Ethana do grobów Claire i Sary, i o drodze powrotnej. Wspomina, jak sypał na nie ziemię. Nocami śni o nich, budzi się i czasem myśli, że strużka prochu przesypującego się między jego palcami nie ma kresu. Podobnie jak te słowa.